

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Marek Nowakowski

**Wesele raz jeszcze!
Zdarzenie w Miasteczku**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Wesele raz jeszcze

Ciągnęli z różnych stron. Dalszych i bliskich. Pekaesem, podmiejskimi elektryczniakami, furkami wymoszczonymi słomą, młodzi na motorach mimo zimnicy bijącej lodowato w twarz, a niektórzy piechotą po zmarzniętej grudzie, poprzetykanej tu i ówdzie płatami starego śniegu. Zima w tym roku mroźna, ale skąpa w śnieg. Szaro było i brzydko. Słońce pokazywało się na krótko i zaraz zanikało w chmurach. Wrony siedziały na telegraficznych drutach. Pejzaż martwy i posepny. Monotonna równina z nielicznymi kępami zagajników. Białe pnie brzoź przy drodze. Dymy snuły się z chłopskich chałup. Strzecha już z rzadka w tej wsi, coraz częściej eternitowe dachówki i anteny telewizyjne powtykane w dachy.

Sterczały wieże kościoła i dwóch Chrystusów z dwóch stron wsi na krzyżu rozpiętych.

Tłum zebrał się w tym przestronnym, niedawno wybudowanym kościele. Organy zagrały pięknie i ksiądz kanonik zadał zwyczajowe pytania młodożęncom, następnie wcisnął im obrączki na palce. Grube, z dukatowego złota zaświeciły czerwono.

Hrabia, czyli Pan Młody, był w czarnym, jak należy garniturze, z muszką w bordowe grochy pod szyją.

Panna Młoda, hoża, wsiowa dziewczyna, w długiej sukni z białej przezroczystej materii i welonie. Wypieki zakwitły jej na policzkach i głuchy stuk własnego serca słyszała.

A kiedy odchodzili od ołtarza sztywnym, drobnym kroczkiem, to rozpląsał się przed nimi miejscowy fotograf.

Wystawili się rodzice młodej z weselną uczcią. Stoły w podkowę ustawione i biesiadników do setki zliczyć można. Gospodarz co znaczniejszym gościom kłaniał się w pas dawnym zwyczajem i jego oczy zapalały się satysfakcją. A dla każdego jadła i napitku w bród. Biegała z półmiskami Gospodyni, uwijały się inne kobiety do pomocy najęte.

Do okien chałupy przylepiały twarze dzieci. Zbiegła się ich cała chmara. Przepychały się roztrącały. Rozplaszczone na szybie nosy i oczy zachłannej ciekawości.

– Jak to mówią, czym chata bogata – powtarzał gospodarz i gości sadzał troskliwie.

W piecach napalono porządnie, blacha czerwona i buchał od niej żar. Druga izba przygotowana do tańca, podłoga wysypana trocinami i ściany przybrane kolorową bibułą. Muzykanci z powiatowego miasta już niebawem przybyć mieli.

Rozsiedli się goście, wszyscy w świątecznych garniturach, z krwią nabiegłymi twarzami, kołnierzyki non-ironów cisnęły szyję. Na honorowym miejscu przy stole Pan Młody, czyli Hrabia, i jego wybranka. Ksiądz kanonik też został zaproszony i nie odmówił. Siedział starowina i pojadał sobie z apetytem, a też po łyżku z kielicha odpijał. Polewał mu osobiście Gospodarz koniaku ruskiego, pięciogwiazdkowego. Wiadomo, ksiądz na trunki wybredny; u siebie nalewki rozmaite w gąsiorach trzyma, pijesz, pijesz, wchodzi to jak miód, a potem wstać nie można.

Zastukał więc ksiądz kanonik widelcem w talerz i z mową bogobojną do młodożęnców się zwrócił:

– Tak oto, dziatki moje, sakrament małżeństwa jesteście połączeni i Bóg już przypieczętował wasz związek, radosna to dla mnie, duszpasterza tej parafii, chwila, córka zacnych, szanownych i pobożnych gospodarzy na tę drogę wstąpiła, drogę uświęconą religią naszą rzymsko-katolicką. Chciałbym jeszcze, dziatki moje, przypomnieć wam o obowiązkach każdego stadła małżeńskiego, o wierności, czystości i wzajemnym poszanowaniu. Wierność, o tym szczególnie pamiętajcie, w dzisiejszych czasach rui i porubstwa jest klejnotem najpierwszym. – Wzruszył się rzetelnie starowina, oczy mu się załzawiły i głos zadrżał. – Powiadam

wam: pamiętajcie o tym w każdej godzinie dnia i nocy. I niechaj rosną wam na pociechę udane dzieci!

Matka Młodej pochlipywać zaczęła.

Komendant powiatowy, Łuczak, który siedział z drugiej strony młodych, podgadywał z przekąsem: – ...A gospodynie młodą ma, a dziewczuch niby nie podszczypywał, co?

Tak podgadywał, ale cichaczem. Pierwszy też po księżym przemówieniu zaklaskał w dłonie.

– Gorzko, gorzko! – zawołał od końca stołu. Więc Hrabia wstał. Wyliniały już, ale jeszcze przystojniak, skłonił się lekko i pocałował Pannę Młodą w policzek.

– Lepiej! – wołać zaczęli miastowi goście.

Więc pocałował Pannę Młodą w usta, a czyrak na karku, podrażniony kołnierzykiem, zapulsował zniecka nieznośnym bólem. Ale Pan Młody trzymał się dziarsko i nic nie dał poznać po sobie.

– Porządniej, z jęczyzkiem – zarechotał technik budowlany, Skarupa Zbyszek.

Było to wesele Hrabiego z wiejską dziewczyną. Liczył sobie Pan Młody już czterdziestkę, a Hrabia go niegdyś nazwano, bo maniery miał szykowne i z każdej sytuacji wychodził należytym bajerem. Skończył się jednak ten jego hrabiowski czas, kiedy nie tylko maniery, ale i gotówka była przy nim. Zostały maniery. Parę lat przesiedzianych w pudle miał za sobą, nikt też żadnym interesem nie chciał się już z nim wiązać. Niefartowny, powiadano, nie ten model co dawniej. Bo dawniej fart miał przy sobie. Ojciec nauczył go życia. Razem pracowali w kwaterunku, następnie prowadzili biuro nieruchomości. Kobiet zawsze koło nich rój, interesy, ten państwowy, jak również prywatny nieźle szły, co dzień łatwy grosz wpadał do kieszeni. Tyle że ojciec, który po wojnie wrócił od Andersa, w miarę lat coraz częściej powtarzał: – Błąd, synu, uczyniłem, ciasno się tu robi, coraz ciaśniej, a naturę mam szeroką, szlachecką, więc co robić, używać, póki czas, była taka piosenka, synu, parafrazując rzec można: za krótki czas nie będzie nas. – I wyróżzył sobie ojciec. Umarł przedwcześnie, nie szanował się, kobiety i gorzałka, serce nie wytrzymało, tyle że z honorem, podczas miłosnych igraszek wykorkował. Został Hrabia sierotą, matki już dawno nie miał, modelką była u Braci Jabłkowskich i w wojnę zadała się z Niemcami, później zginęła bez wieści. Sierotą więc został, ale wtedy jeszcze był przy nim fart. Pracował w dolarach, miękkie i twarde, w międzyczasie ta Bożenka z Grochowa, to była miłość, matczyną biżuterię z domu wyniosła, puszkę złota w ogródku wykopała. Z tym to skarbem rodziców przyszła do Hrabiego ta siedemnastoletnia prawiczka. Przebalowali wszystko do szczętu. Co dalej z Bożenką, nie wiadomo, pewnie wróciła do domu. Hrabia lubił być jak ptak, na dłużej się nie wiązał. Wtedy właśnie kolejny interes prowadził. Firma „Art Moderne” się nazywała i akwizytorzy penetrowali teren, zbierając zamówienia na portrety. Interes szedł znakomicie i Hrabia ciągle górą. Lekkie miał życie i za bardzo wierzył w swoją gwiazdę. Chętnie mówił tak: – Według rodzica mego, Wernyhory, już sama ciasność przecież, a dla mnie ciągle luz. – Nawet tych kolorowych portretów z fotografii robić mu się nie chciało, zbierał tylko zamówienia, z bloczka kwity na zaliczkę wystawiał i nic. Wyczerpała się cierpliwość ludzka. Takim sposobem dostał się Hrabia do więzienia. I skończył się jego czas.

Lata swoje dołożyły, zmarszczki i siwizna, panienom coraz rzadziej wpadał w oko. Z ła-ski żył, zahaczył się jako akwizytor w znajomej firmie. Ani się obejrzał, stuknęła czterdziestka, kątem u ludzi mieszkał, bez pieniędzy, zupełnie sam, jak kołek na świecie. Zrozumiał więc, że coś przeleciało mu przez palce i nie da rady już dogonić. Jałowa wegetacja dokuczać zaczęła, pieniędzy ciągle brak i na giełdzie męskich walorów całkiem spadły jego notowania.

Z ostatnich czasów właśnie następującą miał Hrabia opowieść, przytaczał chętnie, z masochistyczną szczerością, na dowód kłęski już nieodwołalnej: – Dał mi jeden kumpel trochę zagranicznego towaru do sprzedania, dobry kumpel, wiedział, jak kiepsko stoję, od obrotu dziesięć procent dla mnie, trzymałem ten towar u siebie, popiłem wtedy z nudów i taką smar-

kulę w kawiarni „Jagódka” poderwałem, z pewnym wysiłkiem do chaty ją doprowadziłem, a ona od razu na tę kupę łąchów, butów, całego tego zagranicznego barachła rzuciła się jak lwi-ca, przymierzyła włoskie, modne lakierki, pasują, bardzo ładna, cycofon na długich nogach, jak to pokolenie wyrosło, rozgrzała mnie jej uroda, mówię: bierz te skoki, ręce mi na szyję zarzuciła i cyckami szturcha, następnie przypadł jej do gustu sweterek, krótkie rękawiczki, francuski, zdjęła bezczelnie głowę, bierz, mówię i na wyro ja ciągnę, a ona: nie, nie ma mo-wy, co ty sobie, dziadu, wyobrażasz, nogi splotła, rozciągnąć nie mogę, wtedy zła krew mnie zalała, to ty chcesz wszystko za nic!, dotąd byłem dżentelmenem, ale będę łobuzem, wiącę puściłem, dawaj girę, mówię, zaraz ci w kolanie złamię, srajdo rozwydrzona, wtedy dopiero zaczęła zachowywać się przyzwoicie i nogi poluzowała, później sweterek jej odebrałem, buty włoskie wystarczą... – I kończył to żalosne wspomnienie tak: – Żeby zęby sobie wstawić, garniturek modny, regularne odżywianie i tak dalej, wtedy bym jeszcze zabuszował...

– Krzywił twarz w tęsknym uśmiechu do dawnych podbojów, kiedy to pierwszy był z nie-go tancerz i dziewczyny same się napraszały, jak powiadał, żeby tylko laska gotowością na-starczyła.

W takim okresie upadku Hrabia „emeryt” nawet już na niego wołali, uganiając się za za-mówieniami na portrety po wiochach i mieścinach zapadłych, poznał tę Olę, teraz Pannę Młodą właśnie. Wykrzesał resztki dawnych czarów, co wieś, to nie miasto, czary podziały i zadurzyła się w nim dziewczyna. Wysoko ona mierzyła i żaden z miejscowych fatygantów jej nie odpowiadał. Co prawda niemłoda już na wiejska miarę, trzydziestki dobiegała.

Hrabia ani zwlekać, ani szukać czegoś innego nie miał czasu.

Więc zęby teraz wstawione, garniturek nowiutki i oto za weselnym stołem na honorowym miejscu w wiejskiej chałupie siedział.

I kiedy znowu „gorzko – gorzko!” posłyszał, to z całym kunsztem i zapalem pocałował swoja wybrankę w usta, tym razem rzeczywiście z jęczyzkiem. Ona aż sapnęła i poczerwie-niała.

Pochylił się Hrabia nad Panną Młodą. Postawny jeszcze i przystojny, choć czas poznał go przecież.

Podobny do ojca – pomyślał Literat, który jego dzieje znał najlepiej. Niedziela upalna, lip-cowa. Przyszli wtedy obaj nad gliniankę. Opaleni, muskularni, jeden szpakowaty, drugi brun-et, obaj z mocnymi, lekko garbatymi nosami. Przeżegnali się i rzucili równocześnie dowody z wysokiego brzegu. Silnymi rzutami ramion posuwali się na środek stawu, tam przewrócili się na grzbiety, leżeli długą chwilę nieruchomo. Jak wybrańcy bogów wtedy oni dla Literata. I może dlatego zapamiętał na lata całe tych dwóch, ojca i syna, w upalnym słońcu nad glinian-ką...

Wiejskie dziewczyny życzliwie patrzyły na Hrabiego. Chłopaki też. Wdziękiem swym i skromnością zdołał zaskarbić sobie już względy niektórych. Teraz kieliszek podniósł i uro-czyście zdrowie swych teściów wypił. Dużą, setkową lufę sprawnym haustem wychylił.

Kierownik skupu warzyw i owoców, niejaki Grzegorzcyk, skończył akurat swoją sprawę z Prezesem. Coś tam jeszcze szeptał, a wyglądał jak słodka do ostateczności i robaczywa wę-gierka. Prezes kiwał niedbale głową. Grzegorzcyk wpatrzony w niego z napięciem.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział wreszcie Prezes.

Warkot samochodowego silnika uwagę na zewnątrz skierował. Pojechała Nyska z GS-u. Parę skrzynek wódki dowieźli. Wnosili po schodkach lodowym szklivem pokrytych. Pośli-znął się jeden i upadł. Skrzyńka stoczyła się po stopniach. Rzucili się weselni goście na ratu-nek. Ale kilka butelek rozbitych. Zafrasował się Gospodarz. Nie tyle stratą, co złym znakiem. Gospodyni też. Ktoś podpalił tę gorzałkową kałużę. Paliła się niebieskim płomieniem. Pełzały jęczory ognia po schodkach i ładnie to wyglądało. Reksiu wyskoczył z budy i zaczął szczekać zajadle.

Goście ze strony Hrabiego to byli miastowi. Wyboru dokonał, łącząc sentyment z wyrachowaniem. Więc technik budowlany, Skarupa Zbyszek, towarzysz zabaw z odległej młodoci. Jego przyjaciółka Lucy, bufetowa w „Obywatelskiej” na Woli. Następnie Rysiek zwany Urzędnikiem, jeszcze z dzieciństwa koleżka. Został też zaproszony Czarodziej Długi Nos, on to Hrabiemu towar zagraniczny do sprzedaży z dobrym zyskiem dostarczał. Obłeśny i ruchliwy jak glista ten Czarodziej. Literata szczególnymi względami Hrabia obdarzył i najbliższej gości powiatowych go posadził. Chciał przecież Pan Młody mieć dzisiaj nie tylko kumpli od serca, ale i takich, żeby wsiowym zaimponować, tym samym dla siebie zyskując uznanie.

I pokazując tych swoich asów atutowych, szeptał: – Same figury, proszę ojca forsy zarabiają... Jeden pisze książki, w telewizji występuje, a drugi profesorem niedługo zostanie.

Był jeszcze Powstaniec, malutki, schludny, z niewielkim, jak szczotka wąsikiem. Od lat warsztat ślusarski prowadzi i nieźle sobie żyje. Tylko po wódce coś mu się przekręca i testy zadaje.

– Kogo kochacie?

Polskę – należy odpowiedzieć.

Wtedy Powstaniec poźółkłą fotografię wyciąga. Chłopak ze stenem, panterka, białoczerwona opaska; stoi sobie nad włazem do kanału. Wypije więcej i szepcze tak: – Całe życie dla niej, pali się miasto, dzielnica po dzielnicy... – raptem zasypia.

Ale na razie trzeźwy i milczący. Obok niego siedział przyszły profesor właśnie.

Naukowiec. W powszechniaku już „chiński uczoney” na niego wołali. I tak zostało. Pierwsza to miastowych ozdoba. Wykwintny i zdawkowo uśmiechnięty. Na wylocie, można powiedzieć, miał bowiem w kieszeni kontrakt na wykłady za Oceanem. I cały czas uśmiechał się chłodno. Wyraźnie na dystans brał wszystko; w nic już się nie wciągał.

– Tak, proszę ojca – szeptał Hrabia – prawie profesor, w dolarach mu będą płacić.

– Stąd też paru wyjechało – powiedział Gospodarz – jeden limuzyną taka wielką w odwiedziny teraz zjechał...

– Grzegorzycowej brat – wtrąciła Gospodyni.

I znów: – Tylko w usta! – zażądali wesołkowie z całą stanowczością.

Tym razem Hrabia skromnie w policzek Pannę Młodą pocałował. Nie można przecież przeciągać struny.

– Cieszysz się? – szepnęła ona.

Pokiwał głową i pod stołem udo jej przycisnął.

A wsiowi, czyli ze strony Młodej, uśmiechali się powściągliwie. Była ich kupa niemała, cała wieś prawie przyszła. Krok zza Lasa, Sierotnik, co księdza pod baldachimem w Boże Ciało prowadzi, Bułka Jan spod Krzyża, Skrzek przezywany Żabim, cała familia Wyglądaków...

To był początek i pierwsze butelki dopiero opróżniać zaczęto. Wśród obecnych stary Sierotnik wyróżniał się śmiechem tubalnym i zaraźliwym. Zawołanie miastowych „tylko w usta!” bardzo mu się spodobało. Więc śmiał się i na księdza kanonika filuternie zerkał. Ale ksiądz zachował spokój niewzruszony. Sołtys też coś chciał powiedzieć. Jaka się ten sołtys i nim swoje wystęka, naczekać się trzeba długo. W weselnej wrzawie nie zwrócono na jego wysiłki uwagi. Tylko Traktorzysta z pobliskiego PGR-u cierpliwie potakiwał. Dobry z niego chłopak. I wstydlivy, czerwieni się jak dziewucha. Rok będzie, zachciało mu się matury, kupił od takich, co lewe dokumenty wystawiali, i później przed sądem stanął.

– Na co świadkowi ta matura? – pyta sąd.

A on z nogi na nogę przestępuje, czerwieni się i głowę opuszcza, czapkę w dłoniach miętosi.

Wreszcie wyksztusił: – Zawsze lepiej z maturą niż bez. – Śmieją się dotąd z niego ludzie.

Choćby teraz: – Maturzysta! – przygroził dla żartu Komendant. Twarz chłopaka od razu zalały burakowego koloru rumieńce.

A sołtys dukał niezmordowanie: – Pppo prawwwdzie... ccci powiem... ccco zrobić ttakie-mu...

Przy końcu stołu od drzwi dwaj Sauterzaki siedzieli. Już nieźle napici. Z niemieckiej krwi oni. Ojciec nawet niegorszy był człowiek, ale jak Niemcy stąd odeszli, to cała ludzka nienawiść na niego spadła i zatłukli go nocą. Mówią ludzie: – Sauterzaki wiedzą, kto się do śmierci najwięcej przyczynił. Wiedzą i czekają. Na sposobność czekają. – Może to i prawda. Niejeden z drogi im chyżo ustępuje.

Popili sobie Sauterzaki i podśpiewywać zaczęli: – „Za stodołą, za przełazem leżało ich dwoje razem... Dwoje razem!!” – I głośniejsz, ryczą prawie: „Żeby bober nie truchotał, to ja Magdę wyruchotał!!”

Kobieta Gospodarza ofuknęła ich gniewnie:

– Cichojsza, głuptaki!

Tak to wobec miastowych popisywali się Sauterzaki, nie chcieli być gorsi.

Powoli rozgrzewała się zabawa. Twarze krwią nabiegały, ludzie szarpać już zaczęli i rozluźniać kołnierzyki.

Siedziały też przy tych stołach w podkowę ustawionych rozmaite figury z powiatu. Komendant i inni, każdy według swego znaczenia godnie posadzony. Najmarniejsze miejsce wypadło dla tego Frołka, co zaraz po wojnie trząsł całym powiatem. Teraz ma kram z warzywami na rynku w miasteczku. Niby nikt, ale nie zaszkodzi zaprosić takiego.

Wpadł też Weterynarz. Ale jak po ogień. Palnął kielicha, życzenia młodym złożył i poleciał.

– Zarobi – powiedział Gospodarz.

– Do byka go wezwali – dodał Sierotnik. – W Janowie.

A jak zbierali na wianek dla Młodej, to najbardziej postawił się Prezes PZGS-u. Lekką ręką tysiącłotowy banknot wrzucił do koszyka. Jak ryba kolorowy papierek tam wpadł. Przy tym zbieraniu na wianek Hrabiemu tylko oczy się świeciły. Nieźle rzucali ludzie, najmniej setkę, były też dosyć gęsto pięćsetki. Prezes cały czas koszyk sprawdzał, czy aby kto go w hojności nie przebiję darem.

– „A nasz druzba tak się skubie, tak się drapie jak ta myszka na pałapie...” – zawodziły najstarsze kobiety nikłymi, porwanymi głosami. Banknot wrzucany do koszyka przyjmowały tak: – „A nasz dziedzic nie żałował, tysiąc dukatów darował...”

Najbardziej z tego zwyczaju niezadowolona Lucy. Ale co mogła zrobić. Długo i ostentacyjnie grzebała w torebce i dość gruby zwitek dwudziestek na wianek przeznaczyła.

– Cwaniara... – roześmiał się Rysiek Urzędnik. – Nieźle to wygląda i różnie mogą obliczać.

Literat zapatrzył się na nalaną, pokrytą warstwą kosmetyków twarz Lucy, na jej oczy ze sztucznymi rzęsami i czarne kreseczki brwi. Wzrok dłużej zatrzymał na dłoni kobiety, grubej i szerokiej w przegubie, o tłuczkwatych palcach z purpurowymi paznokciami.

– Rzeźnicka łapa – stwierdził półgłosem. Rysiek Urzędnik przytaknął ze zrozumieniem.

Twarda ta Lucy. Twarda i zimna jak lód. Do forsy każda droga jej pasuje. Wielbicieli forsojących często wdziękami swymi obdarza. Ostatni łysy kierownik komisju, regularne z nim spotkania. Skarupa Zbyszek oczy na to przymyka; do matki wyjeżdża, tak wyjaśnia kolegom jej nieobecność. Zobaczył ją niedawno Literat. Wysiadała z samochodu. Ten łysy żegnał się z nią czule. Ona dłonią mu pocałunek przesłała. Tam pięćsetkę z torebki wyciąga i książeczkę oszczędnościową podaje do okienka. Własną książeczkę posiada starowna, dalekowzrocza Lucy. Myśli o przyszłości.

Podchmielona Lucy tak teraz marzy sielsko: – Frajera z gotówką poderwać, wózek, musi być Taunus albo Opel, lubię tylko duże, wycieraczki, Jugosławia, Włochy... – Spojrzała na nich wyzywająco. – Czy myślicie, że bym była złą żoną? Dla takiego chłopca wszystko – twardo zacisnęła usta.

Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran, milczy ponuro. Co mógł mieć do powiedzenia? Techniczek budowlany, domek-maszkaron po rodzicach, na Trabanta zbiera...

– Przebojowa kobyła – przyznał Rysiek Urzędnik – tylko, niestety, lata swoje już ma.

– Fakt – nie zaprzeczył Literat.

Patrzyli na nią ukradkiem. Ona zaś zawodowym okiem gości weselnych obmacywała. Dłużej zatrzymała spojrzenie na Prezesie. Komendanta ominęła od razu, był przecież z żoną.

Niespodzianie wyszczerzyła zęby do Literata.

– Gryziopiórku... – zażartowała – oczy sobie wypatrzysz!!

Hrabia akurat potakiwał uniżenie proboszczowi, który prawił o małżeńskich obowiązkach.

– ...Sakrament ten... – ciągnął ksiądz kanonik, wznosząc ręce jak na ambonie – jeden z najważniejszych w naszym życiu. A dzisiejsze czasy zgniłe takie, cyniczne i jadem szatana przepojone...

– Apage satanas – wykrzyknął Literat.

– Pięknie to, synu, powiedziałaś – przytaknął z powagą ksiądz.

Wtedy to starsi gospodarze z szacunkiem popatrzyli na Literata. Tak nieoczekiwanie za-skarbił sobie ich względy.

– Widzi ojciec... – ucieszył się Hrabia – jaki łeb ma!... Do wszystkiego!

Ksiądz proboszcz stęknął naraz.

Z niepokojem do niego Sierotnik:

– Co wielebnemu?

– Nic, nic – odparł ksiądz – odbiło mi się.

– Zgryzotę ma wielebny – wyjaśnił Gospodarz powód niepokojem o księdza – dał krewniakowi sto tysięcy na tynkowanie kościoła, a ten nic nie zrobi i własną taksówką zaczął jeździć, taki to złodziej, niczego nie uszanuje...

– Ale wielebny sądem mu przygroził – dodał Sierotnik – i ratami s płaca ten ancykryst...

– Proboszcz nasz jedno miał tylko życzenie do Boga – powiedziała Gospodyni – postawić kościół piękny i wysoki... Święty człowiek, nic dla siebie – popatrzyła na niego z tkliwością.

Przy końcu stołu wybuchło zamieszanie niewielkie. Sauterzaki znowu sobie stara sprawę przypomnieli. Ten bardziej zapalczywy, Robert, potoczył błędnym okiem po obecnych i wychrypiął:

– Tatę nam zamordowali!

Obaj zgrzytnęli zębami. Wiercić się zaczęli gospodarze. A jeden nawet jakby się chował za innych.

Komendant wstał, obciągnął mundur i donośnie jak komendę: – Spokój! – huknął.

Posłuchanie to on ma jednak. Ucichli Sauterzaki i głowy nad stołem pozwieszali. Kołysały im się te głowy pijane jak słoneczniki.

– Ciekawe – zamyślił się Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran – na ile szmalu można takich dziesięciohektarowych liczyć?

Odpowiedzi nie dostał.

– Rozmaicie... – rozważał Rysiek Urzędnik. – Zależy, co uprawiają.

– Albo hodowla jakaś – wtrącił Literat – na przykład świnie.

– Ten Hrabia tak się wzenił, ho, ho – nawet Powstaniec ożywił się znacznie. – Tak się wzenił – powtórzył i nieokreślony uśmiezek zabląkał mu się pod wąsikiem.

Czarodziej Długi Nos przypomniał sobie kolegę z seminarium, który chciał zrobić majątek na badylarskiej córce.

– Nic mu jednak nie dali – powiedział. – Tylko do roboty pędzili jak psa. Nieufne te ciemne forsoroby.

Tak sobie w kąciku Czarodziej przycupnął. I po młodych wieśniakach zerkał. Do męskiego ciała rosła w nim chęć natarczywa. Po to przecież tu przyjechał. Gorączka weselnej izby, pot i wódka. Uderzyło mu już to do głowy i nozdrza jak ogar myśliwski rozdymał. Okiem strzelał.

Kark czyjś naprężony, szyja ogorzała, czupryny na czoło nawisłe. Tu i tam widział łydy wyłazające z nogawek, brzuchy koszulą obciśnięte, oczy maślane lub dzikawe z gorzałkowego zamroczenia. Ruchliwa gęstwa męskich ciał tańczyła przed oczyma. A gorąc bił od tej gęstwy. Monolog jak modlitwę sobie snuł: – Chłoptasie moje jedyne, pokuszenie najśłodsze, ciżbo ty moja śmierdząca, cielska moje nabite, gęby tępe i zady kałesonami obciśnięte, platformy w ciasnych buciorach uwięzłe i cuchnące, torsiki chłopięce z puchem zamiast kłaków, wy moje słodkości poszukiwane w trudzie i znoju, oj, dziobałbym was, moje smrody pszeniczne, oj dziobałbym...

Literat przyjrzał mu się z obrzydzeniem. Nie to, żeby do zbroczeń miał uprzedzenie. Moralną awersję czy coś. Nie to. Po prostu ohydny szczur z Czarodzieja. Spasiony, wije się jak glista, i ten nos, haczyk monstrualny.

Czarodziej minę uczynił słodką na odzew jakby czekając. Nikt z młodych nie zwracał na niego uwagi. Wargi suche obślinać zaczął zaczął jęzorem. Aktorską wyraźnie miał skłonność. To fakt. W latach swoich młodzieńczych należał do kółka dramatycznego w domu parafialnym. Był żołdakiem rzymskim, a czasem faryzeuszem. Wtedy chudy, z tym nochalem, na scenie jak złowieszczy ptak wyglądał. Jeszcze raz półgłosem powtórzył: – Oj, dziobałbym was, dziobałbym – tu nowego określenia użył – ścierwa wy moje przekłete.

– Co proszę? – zapytał uprzejmie sąsiad, Kierownik POM-u.

Czarodziej Długi Nos przyjrzał mu się z bezczelnym, dwuznacznym przedłużeniem. Urodę jego taksował. Był to przystojny facet, może trzydziestoletni, z kozackim, smolistym czubem nad czołem.

– Jest co robić – językiem znów przesunął po wargach.

– Ale Kierownik POM-u już odwrócił się od niego. Z galanterią półmisek wędlin Lucy podsunął. Spodobała mu się od początku. Duża, cycata i w obcisłą wbita spódniczkę. Cieszyła wprost oczy spragnione wypukłości.

– Proszę – zaprosił – może pani sobie nałoży?

– Nic tu po mnie – westchnął Czarodziej i ręce błazeńsko rozłożył.

– Niezłe widowisko – zagadał do Literata – siermiężny lud, miastowe szakale, i cóż my w tym robimy, wolne ptaki?

– Wolne ptaki – powtórzy Literat. – Ty raczej od łapania takich ptaków w sidła, no nie?

Spłoszył się Czarodziej wyraźnie. Od razu pojał aluzję. Nieczyste miał sumienie. Zwilgotniały mu dłonie. W takich sytuacjach zawsze wilgotnieją. A oczy, rozbiegane, nie mogą znieść uporczywości czyjś spojrzenia. Tak i teraz. Opuścił głowę.

W taki sposób przypomniana została sprawa z Edzikiem. Paskudna to była sprawa. Lat temu dwanaście uciekł Edzik z wojska. Nieokiełznany chłopak, dziki i zapalny. Jak szubieniczna pętla wszelki przymus dla niego.

– Dusilem się koszmarnie, te komendy, apele, pobudki, pełzanie, powstań, baczność, padnij, ci szefowie, cały ten kaprański dryl, no i nie mogłem już dłużej, mówię wam, zdechłbym jak pies – opowiadał Edzik kolegom i patrzył tym swoim śmiałym, ufnym wzrokiem. I w ucieczce też nie opuściła go fantazja, całą furmankę żołnierskich butów z magazynu wywiózł. Jak to fajnie opowiadał. Brama, przepustka, wóz turkocze. Tak to wojsko uprzykrzone z brawurą opuszczał. – Skubnąłem... – śmiał się – trochę dla żartu, a trochę z rozsądku, na pierwsze kroki w wolnościowym życiu...

Co zrobić z takim? Kto mógł, przyjmował go na dzień, dwa, tydzień; koczował więc Edzik dezerterski w domach przyjaciół, przemykał się jak cień ulicami, strach, że dopadną, nie opuszczał ani na chwilę w tym zaszczytnym życiu. I spotkał się gdzieś z Czarodziejem. Serdecznością gwałtowną zapałał do niego Czarodziej. Ścisnął i klepał. Edzik, ufnym i naiwnym, opowiedział mu wszystko. Współczuł Czarodziej i obślizgiwał go coraz nachalniejszym spojrzeniem. Spotykać się zaczęli. Fundował hojną ręką Czarodziej i ślepiów żarłocznych już z niego nie spuszczał. Wybrali się do łaźni, po wódce byli, spragniony przyjaźni Edzik uciekinier i Cza-

rodziej przy nim. Kiedy się rozebrali, żądza równie naga ogarnęła Czarodzieja. Rzucił się na kolana i skomleć zaczął. Odpychał go Edzik z obrzydzeniem. Tamten nie ustępował. Coraz żarłoczniej obmacywał. Zrozumiał wreszcie Edzik. Wściekłość nim zamiatała. Wściekłość oszukanego. Kopniakiem odrzucił to skomlaące ścierwo. Uderzył kilka razy. Wtedy zapłakał przejmująco Czarodziej Długi Nos.

– Przepraszam, przebacz, to czasem jest niezależne ode mnie, nie mogę sobie z tym poradzić, straszna to słabość, zrozum, ja też tak samo jak ty ukrywam się przemykam, czaję się i skradam.

I znów jego oczy nachalne pełzały parzając po nagim ciele Edzika.

– Przebacz – łkał równocześnie.

Uspokoił się Edzik. Wróciła ufna naiwność. Współczucie nawet poczuł. I wstyd za swoją brutalność. Umówili się na następny dzień. A kiedy przyszedł Edzik na to spotkanie, nie było Czarodzieja i dwaj w brązowych garniturach naraz do niego podeszli. Wtedy zrozumiał. Ale za późno. Chwycili go jak w kleszcze i za chwilę już miał na rękach kajdanki.

– Być może i Edzik tu będzie też – powiedział Literat. – Też został zaproszony.

– Niemożliwe – aż zadygotał Czarodziej.

Naukowiec również przytaknął.

– Będzie – powiedział.

– Niemożliwe – powtórzył Czarodziej, a dygot nie ustawał. Ten dygot jednak wcale nie z poczucia winy czy strachu. Tylko słodkie przypomnienia opadły. Jak posąg ten Edzik wtedy. Grecki bożek, tak go sobie nazwał, kędzierzawe włosy opadają na czoło, szeroka pierś, wąski w biodrach, i te mocne, smukłe uda. A wszystko otaczała białą chmurą para.

– Pewnie stary i brzydki teraz – powiedział Czarodziej Długi Nos. Spojrzał na Literata. Czekał na jego opinie.

Wstręt i podziw poczuł Literat zarazem. Taka to przecież namiętność zajadła, tyle porażek i niebezpieczeństw.

– Kapuś po prostu – wycedził z pogardą Naukowiec. Nawet on, ten chiński uczonec, obruszył się wyraźnie.

Literat przytaknął. – Kapuś – powtórzył.

Mimo pisarskiej swojej tolerancji miał jednak świadomość pewnych reguł elementarnych. Czarodziej przykulił się i spłoszył na chwilę. Ale szybko ta fala strachu czy wstydu odpłynęła.

Więc tym jednoznacznym potępieniem nie przejął się za bardzo. Skłonił się uprzejmie. Przywykł już do tego. Przy moich trudnościach w osiągnięciu gdybym jeszcze tym zaprzętał sobie głowę... Popatrzył więc badawczo po tej chłopskiej urodzie, stłoczonej na ławach przy weselnym stole. Już tylko jak ogar, co wietrzy, rozglądać się począł za zwierzyną.

– Jest co robić – zamruczał i językiem przesunął po spieczonych wargach. Równocześnie zaś z kieliszkiem do młodych się zwrócił. – Piję – powiedział donośnie – zdrowie młodej pary! – skłonił się wdzięcznie. Mimo otyłości elastyczny i głos po aktorsku wyćwiczony.

Nowi goście przybywali. Dalsi krewni. Furtka wtoczyła się na podwórze. Wybiegł witać Gospodarz. Ze wsi Łbiska oni byli. Łby – jak na nich mówiono, albo pieśzcotliwie: łebki. Sauterzaki na chwiejnych, rozkolebanych nogach zza stołu się wygramolili i dalej obejmować tych przybyłych, klepać a powtarzać: – Łby przyjechały.

Ale ci nowi spokojni. Do tych żartów już zdążyli przywyknąć. I do gorzałki od razu się dorwali.

– Zimnica taka – bąknął jeden z nich. Duszką pół szklanki wytrąbił. Pojaśniał na gębę, uśmiechać się zaczął.

Starsi gospodarze skupili się ciasno przy Komendancie. Słuchali go z szacunkiem. Komendant czymś się wzburzył i pięściami wymachiwać zaczął.

– Rysiu – powtarzała żona Komendanta – nie denerwuj się tak, Rysiu.

Patrzyła w niego z uwielbieniem. Chłop jak byk. Władzę ma. Co więcej trzeba?

Gospodarze potakiwali z nieprzeniknioną powagą.

Twarze tych wszystkich starych gospodarz suche, pomarszczone, a dłonie wielkie jak łopaty, żylaste, z czarnymi od ziemnego trudu paznokciami. Praca z naturą w zgodny rytm sprzężona. Tak to sobie nazwał Literat. I krzepiące to mu się wydało, po tym Czarodziej jak bagno, w którym toniesz. Ale ci młodzi już nie tacy. Robaczywość jakaś znaczyć ich twarze zaczynała. A kiedy na koniec spojrzeniem objął bukiet figur powiatowych, dopiero się zniechęcił. I dręczyło go pytanie bez odpowiedzi: W czym szukać oparcia? Chochlik cyniczny, który cały czas w nim siedział, podpowiadał równocześnie: W niczym, baranie! W niczym!

Machinalnie po kieliszek sięgnął. Sołtys z boku do niego przepił. Tręcili się szkłem.

– Pan z Warszawy? wydukał sołtys.

Przytaknął.

– Brata mojego syn też w Warszawie. Jest dyrektorem.

– Czego? – zapytał.

– A bo ja wiem – mozolił się z odpowiedzią sołtys. – Jakiejś większej całości.

Stół zachybotał niebezpiecznie.

– Która chce wystąpić? – zawołał Józwy z Wygwizdowa syn.

Tak się swoją krzepą przechwalał. Długo nie było chętnego. Aż jeden ze wsi Łbiska zgodził się z ociąganiem. Też nie ułomek. Na ręce się szepili. Zaparli się obaj i ręce jak z żelaza, ani drgną. Cisza była i zapatrzenie. Wreszcie ta ręka po lewej stronie powoli opadać zaczęła. Bach, przygwoździł ją Józwy syn z łoskotem.

Pochwalili go wszyscy. Najsilniejszy tutaj.

– Takie chłopcy w milicji służyć powinny – zapalił się Komendant. – Jak dęby.

Stary Sierotnik wspomniął siłacza dawnego, co stoły w zębach podnosił.

– A człowieka też potrafił w zębach unieść i jego wagę powiedzieć. Takie miał wyczucie. Za cara to było. Do wojska go zabrali i już nie wrócił. Zapodział się w świecie. Z taka krzepą – zastanowił się – musi gdzieś zrobić majątek.

Pod wygraną syna Józwy wypili wszyscy kolejkę. Komendant taki toast zaproponował. Potem dał się słyszeć jazgot zajadły Reksia. I zaraz tupot kroków w sieni. Następni goście przybywali. Zerwał się Gospodarz i do drzwi podbiegł. Był to Leśniczy z nauczycielką Rohotycką. Jeszcze jacyś za nimi.

– Za spóźnienie przepraszam – powiedział Leśniczy.

– Sami rozumiecie, należało strzelić kielicha z towarzyszami.

Dziś nauczycielka Rohotycka została wybrana radną. Więc oblać to w gospodzie musieli. Postawny chłop z Leśniczego, jak oficer w swoim mundurze i błyszczących butach z cholewami wyglądał. Posadzono ich wśród starszych gospodarzy. Leśniczy rozmawiał w roztrągnięciu i cały czas oczy mu się głodnym wilkiem do nauczycielki świeciły. Mówią ludzie: oni od dawna tak ku sobie się mają i nie dziwota, że Leśniczy ciągiem żonę do teściów wysyła. Sierotnik do nauczycielki od razu przepił. W ten sposób Leśniczemu się podlizywał. Drzewa pewno mu potrzeba.

– Z naszymi dziećmi obywatelka tak się męczy – powiedział Komendant – Aż żal młodości.

– Nie darmo mówią: żebyś cudze dzieci... – wtrącił Prezes.

Nauczycielka Rohotycka twarz miała zaróżowioną i bardzo ładnie wyglądała.

– Wychowanie dziatwy w duchu praw bożych i ludzkich cel święty i najważniejszy – odezwał się ksiądz kanonik. Coś jeszcze prawil z namaszczeniem o roślinkach troskliwie pielęgnowanych, którym gałazki należy przycinać i glebę dla nich odpowiednio przygotować. – Nawozić i podlewać! – uniósł palec do góry.

Sierotnik nie bardzo zrozumiał, w czym rzecz, ale skwapliwie przytaknął.

– Gnój, czyli nawozy... – wtrącił. – W tamtym roku nawoziłem jak należy i wyrosła pszeniczka.

– Bata trza nie żałować – wykrztusił Sołtys.

– Zakazują teraz bicia – odezwał się nieśmiało Powstaniec.

– A szkoda – rzekł Leśniczy.

Nauczycielka Rohotycka jednakowo dla wszystkich miła, uśmiechała się i potakiwała grzecznie. Jej spojrzenie często zderzało się z oczyma Leśniczego. Wtedy nic nie słyszeli. Potem znów odwracali z ociąganiem głowy i przytakiwali sąsiadom uprzejmie. Ksiądz proboszcz zadrzemał i wszelka troska z jego twarzy ustąpiła, wyglądał tak, jakby marzył o najpiękniejszym w tym kraju kościele.

Powstaniec nisko pochylił się nad stołem i jego palce objęły delikatnie kieliszek. Wypił duszkiem.

– Jak tak stoi i czeka, to co z nią zrobić – uśmiechnął się bezradnie do Literata. – Pierwszy strzał – dodał – dotąd trzymałem się o suchym pysku.

Wraz ze spóźnionymi gośćmi Wewióra z suchą łapą też tu przybył. Ciekawość wszystkich zawsze bierze, co to będzie, kiedy Wewióra spotyka się z tym Frołkiem, co teraz kramik ma z warzywami w miasteczku. Tak i tym razem. Blisko siebie siedzieli. Oni w pierwszy czas po wojnie z dwóch stron byli. Frołek ważny wtedy, najważniejszy w powiecie. A Wewióra ukrywał się po lasach i nowego nie chciał uznać. Nieraz przymierzali się do siebie. Aż złapali Wewiórę w zasadzkę. Stąd ta sucha łapa u niego, postrzał dostał i ręka mu zmarniała. Z Frołka władza wtedy i on to Wewiórę w areszcie trzymał, a później dalej posłał. Różnie o tym ludzie mówili. Długi czas nie było Wewióry, lata całe, a jak wrócił, ludzie tylko czekali. Znany przecież z tego, że nikomu krzywdy swojej nie odpuścił. Frołek już był nie taki jak dawniej, ze służby go zwolnili i za handel się złapał. A zwolnili dlatego, że ludzi za bardzo cisnął. Pamiętają to niektórzy. Ale Wewióra wrócił też już nie taki jak dawniej. Cichy i pokorny. Władzy każdej czapkuje i do zwierzeń nieskory. Z drogi każdemu ustąpi. Tylko raz widzieli ludzie, jak w targowy dzień Frołek do niego przepił, Wewióra z suchą łapą szklaneczkę przyjął, ale nie wypił, na podłogę z rozmachem wylał. I twarz starego jak z drewna, nie wiadomo, co myśli.

Siedział więc Wewióra blisko Frołka. Trochę pił, ale mało raczej, żołądek mu się popsuł i nie może już ciągnąć.

– Wilk – szepcze o nim Frołek i oczyma umyka.

Ale nikt mu nie przytakuje. Nacierpiał się stary niemało. A cierpienie odpłaty się domaga. Nic tu do końca nie zostało powiedziane i syn starego jeszcze jest. Chłop to udany, istny ojciec z dawnych lat.

– Co tam, sąsiedzie – zagadał Gospodarz do starego.

– Ano, leci pomału – odparł Wewióra, a ta jego sucha łapa jak szczapa na stole przy talerzu spoczywała. Oczy ma ten Wewióra jak wydziobane, ale błyski drapieżne w nich czasem się pokazują.

– Lud wiejski jeszcze zacofany miejscami – tłumaczył Komendant – ale młodzi już nie tacy. Dociera świadomość.

– Szkoda – powiedział Literat.

– Pan żartuje – zdziwił się Komendant.

W drugiej izbie zaczęły się już tańce. Muzykanci podjedli, popili zagrali ochoczo. Krążyły pierwsze pary. Kierownik skupu, Grzegorz, samotnie płaśał między tańczącymi i pokrzykiwał: – Hopla, hop! – Widać go było od stołu.

– Solista – powiedział Komendant.

– Abyśmy zdrowi byli – Gospodarz trącił swoim szkłem jego szklaneczkę.

– Udał się zięć – Komendant wskazał Hrabiego – akuraty, obyty.

Gospodarz jakby zawahał się chwilę, zaraz jednak przytaknął skwapliwie.

Hrabia, czujny na nowym miejscu w dwójnasób, zauważył ich spojrzenia od razu. Wyszczerył do nich te nie swoje, białe zęby i czułym ramieniem otoczył Pannę Młodą. Równocześnie mrugnął do Literata. Literat odwzajemnił się tym samym. Przy wielu już asystował wirażach w życiu Hrabiego. Hrabia lubił tę asystę. Być może liczył po cichu, że stanie się w końcu bohaterem jakiejś powieści.

– Artysta, moja droga – z upodobaniem tłumaczył swojej ślubnej oblubienicy – tak przecież można nazwać piszącego, rozumiesz, natchnienie go łapie i na papierze utrwała swą wizję...

I znów Literat zobaczył ich przez chwilę, ojca i syna, na wysokim brzegu glinianki w upalną niedzielę. Hrabia na pierwszym rozbiegu wtedy. A teraz?

Dwaj młodzi wytaszczyli z sionki zapasową skrzynkę z owocowym winem. Krzywił się trochę Gospodarz. Tyle jeszcze przecież na stole nie dopitych flaszek z wódką.

– Jak to młodzi – odezwał się ten Frołek – lubię ją mieszać. – Taki to zrobił się wyrozumiały.

– Edzik przyszedł! – zawołał dla zgrywy Literat. Czarodziej Długi Nos przykulił się natychmiast.

– Gdzie?!

Po chwili ostrożnie zerknął na tych młodych dźwigających skrzynkę.

– Durne żarty – obruszył się.

Naraz zapatrzył się jak urzeczony w jednego z chłopaków. Był to Traktorzysta z pobliskiego PGR-u. Dorodny okaz wsiowej krzepy. Rozrośnięty, pызaty na gębie, a włosy sypkie, jasne opadały kosmykami na oczy. Opił się już i wstydlivość mniej mu dokuczała. Więc ciągnąc zaczął do tanecznej izby jakąś dziewczynę, która chichocząc i popiskując niby się opierała. Za Traktorzystą jak łowca ruszył od razu Czarodziej Długi Nos.

– Wzięło go – stwierdził Rysiek Urzędnik.

Rozejrzał się do dziewczynach.

– Też muszę przytulić się do czegoś. Tylko, oczywiście, płec odmienna.

Poprawił krawat i wstał.

Taneczny kłęb przetaczał się wzbijając tumany kurzu, a podłoga dudniła od przytupów. Czarodziej Długi Nos rozglądał się czujnie wśród tej rozkołysanej, wirującej cizby. Wypatrzył wreszcie Traktorzystę. Zahaczył wzrokiem i już go nie popuścił. Uwijał się w tańcu rumiany młodzian. Swoją dziewczynę przyciskał i podszczypywał. Potraçał innych tancerzy i zaczepnie na nich spoglądał. Wnet pannę swoją porzucił i do chłopaków pod piecem się przyłączył. Oni wino owocowe pociągali. Traktorzysta butelkę do ust przytknął i trąbił, aż bulgotało. Czarodziej Długi Nos też zbliżył się do pieca. Spoglądał na Traktorzystę. Młodzieniec wzrok miał zmętniały i nogi szeroko rozstawił. Wkrótce z butelką wina w garści do biesiadnej izby powrócił. Uśmiechnął się Czarodziej i dłonie zatarł. Nadmiar napitku zawsze był jego sprzymierzeńcem. I jak cień za młodym ruszył. Przy stołach też rozgrzała się biesiada. Głosy coraz bardziej podniesione i brzęk szkła nieustanny. Powstaniec nabrał już swojego rytmu. Zaczął od tego Frołka, co to dawniej trząsał powiatem. Objął go serdecznie i trącili się kieliszkami. Gdyby tak wiedział, z kim ma do czynienia... Na te dawne czasy uczulony przecież Powstaniec. Następnie wstał i do gospodarzy kolejno podchodził. Ścisnął im prawice. Stukał obcasami.

– Podchorąży Wicher – przedstawiał się, jeszcze coś szeptął, niesłyszalnie prawie.

Miastowi uśmiechali się porozumiewawczo. Znali doskonale alkoholową słabość Powstańca. Cała burzliwość jego życia, ofiary, uniesienia – dawno temu zamknięty rozdział. Gorzała znów w tamten czas go cofała. Oto gesty zamaszyste wykonuje i głos podnosi. Gospodyni zerka na niego niespokojnie. Ale on nie rozrabiać wcale. Odtworzywszy scenę ataku na przeciwnika, wykonawszy kilka serii z wyimaginowanego stena, oklapł naraz, apatyczny i senny. Jedno oko przymknął, drugim martwo po ludziach wodził.

– Ciężar wojny. Rozumiem to doskonale – powiedział uroczyście Prezes. – Każdy z nas...
– wzdychać począł.

Wewióra z suchą łapą spojrział z pewnym zainteresowaniem na Powstańca-aktora. Nic jednak nie powiedział. Tyle te jego serie ze stena: – Tata, tatata! – przyjmował z powagą i za celem się rozglądał.

A w pewnej chwili Gospodarz bardzo się musiał starać, żeby sierżant z tutejszego posterunku nie zderzył się z synem Józwy z Wygwizdowa. Siedział Józwy syn dwa lata. Mówią ludzie: za niewinność siedział. Robota to sierżanta, miał złość na niego. Tak mówią. Więc w samą porę Gospodarz ich rozdzielił. Józwie z Wygwizdowa już tak ślepią się rozjarzyły. Sierżant za kieszeń się złapał. Komendant też wstał. Ale zaraz było po krzyku.

Gospodarz między nimi stanął i zawołał:

– No, bijta, mnie bijta!!

Zawstydzili się i na swoje miejsca wrócili. Ten bardziej zapalczywy z Sauterzaków, Robert, znów wyśpiewywał swoją ulubioną piosenkę: – „Za stodołą, za przełazem leżało ich dwoje razem...”

Ksiądz proboszcz słuchał z wyrozumiałym uśmiechem.

– Synu – pogroził żartobliwie palcem – tylko bez bezecenstw.

Sauterzaki ewangelicy, ale od wojny kaplicę ich wyznania zamknięto i ci, co pozostali, do parafialnego kościoła uczęszczają na nabożeństwa.

– Ichni ksiądz to się nazywał pastor – tłumaczył Gospodarz zięciowi – ten ostatni niejaki Kreps.

Traktorzysta wtórować zaczął i tak razem z Robertem śpiewali: – „Żeby bober nie trucho-
tał...”.

Komendant, który od dłuższego czasu przyglądał się Literatowi, przychylił się i powiedział konfidencko:

– Niby nie znamy się – wyciągnął rękę – a przecież pana znam... z lektury pańskich dzieł – skłamał bez zająknięcia.

Literat dał się złapać w tę pułapkę i rozpromienił się cały.

– Znam – powtórzył Komendant. – Układanie książek, czyli literatura... bardzo nam potrzebna... Oreż, znaczy się, i współdziałanie z władzą w trudzie budowy... Zaszczytna to służba.

Z tym już przesadził i Literat skrzywił się, jakby piołun wypił.

– Ja na ten przykład, przyjacielu – ciągnął Komendant – roboty tu mam od groma, teren trudny, ludzie jeszcze nie całkiem zdyscyplinowani, ale dają radę, znają oni mnie dobrze – włochatą dłoń w pięść zacisnął – chodzą, jak im zagram. Ciężka sprawa wychowywać. Dawniej jeszcze gorzej było. Różni tu grasowali. Choćby ten – palec wytknął Wewiórę z sucha łapą.

Stary przyjął to obojętnie. Spojrział krótko i nic.

– O tym może towarzysz Frołek szerzej... Temat masz pan piękny, problemowy. Jak to wszystko powstało. Nie chcieli nas uznać, rozrabiali, psie syny, przeżyłem, szanowny kolego, przeżyłem ja niemało, ale co z tego, z motyką na słońce się porwali, co miało być, to jest, od razu wiedziałem. A i teraz niejedyn chce mi nogę podstawić, czyli upadek mój spowodować.

Literat przytakiwał z udanym podziwem i tuż przed sobą miał tę guzowatą szeroką w szczękach, z dziurą w brodzie twarz rozmówcy.

– Nasz Komendant to dopiero jest – wtrącił Prezes pochlebca.

– Łuczak jestem! – huknął Komendant – a Łuczaka byle kto nie wykosi!

– Zaskarbił sobie pełne uznanie społeczności tutejszej – znowu prezes dorzucił.

Gospodarz poszeptywał z żoną. Wstali oboje. Skinął na Hrabiego. I we trójkę od stołu wstali. Za nimi Panna Młoda zaraz.

W tej izbie przygotowanej na poślubną noc dla młodych zamknęli się na klucz. Gospodyni pieniądze, co na wianek zebrali, z ukrycia wyciągnęła. Liczyć zaczęli. Ślinili palce i przelizali. W równy stosik papierki złożyli. Hrabiemu zaświeciły się oczy jak latarki. A sumę dobrze zakarbował sobie w pamięci. Dłonie wsunął do kieszeni i zamyślił się, pogwizdując cichutko.

Panna Młoda pochylona nad łóżkiem na powrót zawinięte w chustkę pieniądze wpychała. Hrabia wpatrzył się w jej zad i nawet chęć gorąca do niej go naszła.

– Co ta woda nie zrobi z człowiekiem – monologował Skarupa Zbyszek. – Co chce... Poczynając od tego, że z gorzały do baby droga najbliższa... a od baby...

Kierownik POM-u, Żurek Stanisław, od dłuższego już czasu zerkał na opięte ciasno piersi Lucy i uda masywnie pod spódnicą zaznaczone. Poprawiał się i chrząkał. Ale coś mu zawsze przeszkodziło. To Lucy patrzyła w zupełnie inną stronę, to znów z kimś rozmawiała. Wreszcie nadszedł odpowiedni moment. Od razu zagadał. Osoba z niego w powiecie. Dwa lata będzie, jak tu nastał, a już liczą się z nim. Wysoko mierzy, wieczorową politechnikę studiuje. I twardy. Ile to się nasłucha od baby, kiedy tak do późna wieczorami nad książką. Zaradny też na bieżąco, domek sobie wystawił. Dwa lata, jak nastał, a w egzekutywie powiatowej już działa! Raz tylko potknął się, ale nie za bardzo. Córeczka do komunii przystąpiła i donos na niego podesłali. Sprawę opanował bez popłochu, żona moja, oświadczył, jeszcze niezupełnie ideowo wyrobiona i nie mogłem związku małżeńskiego rozbijać, zresztą czas pracuje dla nas, towarzysze, ona niedługo całkiem na naszą stronę się przekabaci; zręcznie się z całego kłopotu wywinął.

A teraz, rozochocony, tak do Lucy zagadał: –Pani zapewne nudzi się, takie wiejskie weselisko, nic ciekawego, prawda?

– Skąd znowu – odpowiedziała Lucy.

– Ja sam, proszę pani, wolę jakiś lokalik, powiedzmy „Kongresowa” czy „Kaukaska” w Warszawie, tam to się można zabawić, pamiętam, jak na 22 Lipca... – Dalej jeszcze chciał mówić. Jednak z drugiej strony objawił się rywal. Prezes. Też brał już na Lucy namiar. I lekko ujął ją pod łokieć.

– Ja to skądś panią znam – zaczął.

Lucy krótkim muśnięciem zimnych, bystrych oczu otaksowała go i od razu uśmiechnęła się słodko.

– Być może – odparła. W tych dwóch słowach zalotność, obietnica, kuszenie.

I już pozostała zwrócona do Prezesa. Tyłem więc do Kierownika POM-u.

Prezes żarciki i kawały jak z rękawa zaczął wysypywać. Też mocny w powiecie. Bystry i oblatany. Mocniejszy od Kierownika. Mówią ludzie: z tej afery, co to w wytwórni przetworów owocowych się zdarzyła, sam cudem się wywinął. Mówią też, że z Komendantem trzyma. Więc Prezes po swojemu Lucy czarował. Rachunek z ostatniej popijawy pozycja po pozycji opowiadał. Pamięcią obdarzony znakomitą: anchois, czyli korki, rumsztyki z pieczarkami, flaki, kurczaki i tylko Pliska do tego; recytował bez zająknięcia cenę każdej pozycji i wszystkiego razem.

– Niech pani sobie wyobrazi, tej Pliski wyżłopaliśmy... – Potem poruszył wątek samochodowy: – Chwilowo mam tego naszego Fiata, ale wiosną chyba się przerzucę na coś lepszego... No, powiedzmy... – zastanowił się – Renault to jest zgrabny wózek.

Skarupa Zbyszek przysłuchiwał się z zawiścią.

– Jakiego koloru ten pański Fiat? – zapytał.

– Żółty – odparł Prezes – modny kolor.

– Dla chama jeloł... – zamruczał Skarupa Zbyszek.

Naraz ocknął się Powstaniec. Energia w niego wstąpiła. Przechylił się przez stół i Prezesa za rękaw chwycił.

– Oni są już na dole... My na strych – szarpał Prezesa jak kukłę. – Co robić? Więc ja łubu-du! Granat przez okno wpuściłem, pieprznięło cisza, wpadamy!

– Chory człowiek – powiedziała z pogardą. I naparła piersiami na Prezesa. — Niech pan mówi dalej, to takie interesujące.

Naukowiec skrzywił się z niesmakiem.

– Twarda sztuka – powiedział Literat – do wszystkiego zdolna. W Ameryce mogłaby do czegoś dojść, jak sądzisz?

– Skąd! – zaprzeczył Naukowiec. – Za bardzo zrobaczywała.

– Być może – zastanawiał się Literat. – Ale ma charakter. Inna rzeczywistość. Zdrowa tkanka wypiera chorą. Nowa jakość.

Naukowiec przeczył uparcie. Rysiek Urzędnik przez chwilę jeszcze słyszał ten spór, potem ich głosy zatarty się i połączyły z innymi przy stole. jak kakofonia te dźwięki. Poczul się bardzo znużony. Przestało go bawić to wesele. Miał czterdzieści lat. Już rankiem śpiesząc do pociągu o tym pomyślał. Ta gadanina wokół niego jak mętny, odpychający bełkot. Bełkot, obracał to słowo z niechęcią, bełkot. Czterdzieści lat. Dawniej była nadzieja, złudzenie i niecierpliwe oczekiwanie. Teraz już nic. Biuro, naczelnik, koledzy, herbatki i intrygi, kołowrót niezmienny od lat. Z dawnych niecierpliwych pragnień tylko pasja do wielogodzinnej łązgi po mieście pozostała. Deszcz, spiekota, chodzi w tych swoich wiecznych pionierkach-cichobiegach. Dziś też. Wysunął nogę spod stołu. Pionierki. Tak chodzi i rozgląda się. Miasto coraz bardziej obce, odpychające, wręcz wrogie. Wilczy tłum, obca architektura. Coraz mniej dawnych miejsc, starych kamienic i knajp. Dziś rankiem zobaczył z tramwaju, jak burzyli tę secesyjną kamienicę w śródmieściu. Ile to lat, wciąż mijał tę narożną twierdzę z fantazyjnymi płaskorzeźbami, loggiami i wieżyczkami. Dziś sypał się tynk, puste okna, rozprute ściany. I ludzi z dawnych lat też coraz mniej. Albo inni zupełnie. Coraz więc mniej śladów młodości. Poczul się zupełnie samotny. Pomyślał równocześnie, że za późno na żonę, kochankę... Nie mógłby już z nikim dzielić swych zwątpień, smutków, nadziei i rezygnacji. Nie wierzy zresztą, że znajdzie się ktoś do tak wymagającego współnictwa. Tak pomyślał.

– Pojechać do Pasadeny... – wyrwało mu się głośno. Zmieszał się i popatrzył na sąsiadów. Nikt jednak nie usłyszał.

Czytał gdzieś, Pasadena, Kalifornia czy Kolorado, tam komuna Dzieci Boga, Childre of God, młodzi, starsi też, nic nie chcą od świata i usadowili się na uboczu wszelkiego zgiełku, taki świadomy wybór, idylla na surowej, spalonej słońcem pustyni. Być może Naukowiec coś więcej wie o tym. Już raz przecież był w Stanach. Wstydił się jednak zapytać go o to.

Świat inny, nieznany, taka odległość ogromna – pomyślał. Wiedział równocześnie, że nie ma dla niego już żadnej Pasadeny. Zgaszonym spojrzeniem powiódł po biesiadnikach. Czarodziej Długi Nos siedział już przy swoim Traktorzyście. Zarzucał na niego pedalską sieć. Traktorzysta podrzemywał, łokciami wsparty o stół. Zerkał Czarodziej to tu, to tam. Tracił chłopaka w ramię. Twarz rozjaśnił uwodzicielskim uśmiechem. Oczywiście obmacywał go zachłannie.

– No, panie kolego, wypijmy.

Traktorzysta ocknął się i popatrzył nieprzytomnie. Gęba jak malinowe jabłko. Smakowity kąsek dla Czarodzieja. Swojej pożądlivości nawet już kryć nie próbował. Wiercił się niespokojnie i cała gama uśmiechów rozkwitła na jego twarzy. Wypili. Traktorzysta zakrztusił się i parskać począł. Czarodziej już w pogotowiu z chusteczką. Wylał mu brodę.

Nawet śmieszność tej sceny nie ożywiła Urzędnika. Nic. Zwiesił głowę. Prezes poprosił Lucy do tańca. Jeszcze kurtuazyjnie pyta Skarupę Zbyszka: – Czy pan nie ma nic przeciwko?

Popatrzył Skarupa Zbyszek i wzruszył ramionami.

– Wersal... Dżentelmen za dychę... – wypluwał swą zółć – nadziany forszą indor... Kradną wszyscy, psia ich mać... Na pewno – powiedział stanowczo.

Traktorzysta wytrzeźwiał nieco. Przetarł oczy.

– Skąd ja ciebie znam? – wybełkotał.

– No, jak to!.. – Czarodziej coś zaszeptał mu do ucha. Tamten tępawo wytrzeszczył oczy. Czarodziej ostrożnie położył dłoń na jego udzie. Ciało wsiowego młodzieńca sparzyło go jak piec. Aktywność w nim spotęgowało. Pazernie zacisnął dłoń na tym udzie. Palce poczęły pełzać wyżej i wyżej.

Traktorzysta znów uniósł głowę. Ręka Czarodzieja umknęła od razu. Na stole manipulować zaczęła. Przysunęła butelkę. Napełniła kieliszki. Pracowita, ruchliwa dłoń.

– Powodzenia! – wykrzyknął Skarupa Zbyszek. Ta niezmordowana akcja Czarodzieja własne podboje mu przypominała. Lekkie, swobodne podboje z dawnych lat.

– Taki to się namęczy – zamruczał. Współczuł nawet. Ksiądz kanonik dźwignął się z fotela. Stary Sierotnik ujął go usłużnie pod ramię.

– Z Bogiem – powiedział ksiądz i znak krzyża nad stołem nakreślił. Gospodarz odprowadza proboszcza do drzwi. Gospodyni też.

Komendant zadzwonił widelcem w talerzyk. Jak zawsze po wódce, rozpierała go energia. A wyjście księdza przyjęła z ulgą. Krępował go jakoś ten siwy jak gołąb staruszek.

– Piję zdrowie – zahuczał Komendant – gospodarzy, za ich pomyślność i szczęście córki... Pragnę podkreślić, że wzorem są dla mnie obywatelskie postawy!

– Wesele raz jeszcze! – zawołał gromko Literat. Taki okrzyk wymyślił i powtarzać zaczął z upodobaniem: – Raz jeszcze!

Gospodyni popatrzyła na niego niechętnie. Miastowym to ona nie wierzyła za grosz.

– Pięknie tańczą – Literat uchylił szerzej drzwi do tanecznej izby.

W drugiej izbie grzmiała muzyka, akordeon, trąbka, puzon i skrzypki. Wirowały pary.

Hrabia korzystając z tego, że Prezes już się zasapał, Lucy do tańca poprosił.

– Tango! – wrzasnął do muzykantów.

Za chwilę zmienił się taneczny rytm. Hrabia i Lucy, wcisnąwszy się w siebie, przesuwać się zaczęli z wolna. To był dopiero taniec! I ta para. Lucy, wybujały kawał mięcha w komi-sowych ciuchach, o włosach kopiasto ufryzowanych, z tym swoim uśmiechem zalotnym i ciepłym, a właściwie jak martwy grymas. I Hrabia, wyliniały podrywacz, z falą kokieteryjną nad czołem i uwodzicielskim uśmiechem ozdabiającym szarą, zmęczoną twarz.

Tak przesuwali się rytmicznie i płynnie. Noga za nogą, ciało w ciało; jednością stali się w tym tańcu. Hrabia jakby w trans zapadł. Może przypomniały mu się dawne nocne lokale i dziewczyny? To całe życie pełne wódki, dziwek i zabawy zmartwychwstało w pamięci. Wcisnął się w Lucy coraz zachłanniej. Ona w niego też. Stara szkoła knajpianego tańca. napierali na siebie. Dłoń Hrabiego przesuwała się po plecach kobiety. Lekko, koniuszkami palców po grzbiecie. Pieścił ją w dawnym, uwodzicielskim stylu. W oczy czule spoglądał. I tak przesuwali się wśród innych tańczących par. Wsiowy naród zdziwiony odmiennością tego stylu miejsce dla nich pośrodku izby uczynił. Już przestrzeń tylko dla siebie mieli. Hrabia twarz w kruczo farbowane włosy Lucy zanurzył, ustami ucho muskał. Obudził się w nim lokalowy lew i te białe, sztuczne zęby szczerzył. Już nie był tutaj. Przeniósł się gdzieś z wiejskiej chałupy i o weselu zapomniał. Ponadto tancerz był zawołany. Na rytm czuły, drobił takt stopami i przesuwał się płynnie. Lucy zaś doskonałą była partnerką. Jej ciało czule odpowiadało na dłoń Hrabiego. Wyginała się i prężyła.

– Ramona, twe usta i ramiona... – szeptał Hrabia. Więc ten taniec coraz większe sprawiał wrażenie. Wsiowi tańczyć przestali i gapić się zaczęli. Chłopaki z podziwem i zazdrością. Bo też wcisnął się Hrabia w obfite łono Lucy. Ona uległością mu odpowiadała i jej zad kołysał się drażniąco. Wsiowe dziewczyny patrzyły z niechęcią. A co na to Panna Młoda? Na nią zaczęły wiejskie dziewczyny spoglądać. Na nią i na Lucy. Tak na przemian. Zrazu ukradkiem, potem już zupełnie jawnie. I chichotać też zaczęły. Tańczyła Panna Młoda z Prezesem. Dostrzegła spojrzenia ciekawe w sobie jak strzały utkwione. Zaraz też Hrabiego z Lucy zobaczyła. Wszystko zobaczyła. I już właściwie tańczyć przestała. W miejscu kręciła się jak

lunatyczka. Naraz zdjęła rękę z ramienia Prezesa i odeszła. Pod ścianą zatrzymała się. Cała sztywna i napięta, w tych swoich białych nylonach i welonie. Stała pod ścianą i głowę nisko opuściła. Prezes precyzyjnie się do niej. Nieco zdziwiony. Coś jej mówi, śmieje się. Ale ona wcale go nie słucha. Literat podsunął się bliżej. Myśliwską ciekawością zabłyśły mu oczy. Już niezły początek w tym widział. Rysiek Urzędnik również ożywił się znacznie. Obaj rozwojem tanecznego wydarzenia zainteresowani.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – zauważył Literat.

– Ten sojusz wiejsko-miejski – powiedział Rysiek Urzędnik – stoi na glinianych nogach.

Wyraźnie zadowolony. Złośliwe pragnienie, żeby innym też nic nie wyszło. Takie pragnienie w nim.

Panna Młoda ruszyła szybkim krokiem. Potknęła się, przydeptała suknię. Przeciskała się przez ciżbę. Oczy miała przymknięte i policzki pałały mocną czerwienią.

– Dramatu akt pierwszy się rozpoczyna – powiedział z błazeńską powagą Literat.

Ruszył za nią. Ona zatrzymała się w progu drugiej izby. Twarz jej pałała, a biały welon z tym kontrastował. Figurę miała obfita, ale dość zgrabną. I taka wiejska z wyglądu wcale nie była. Ola. Panna Młoda.

Hrabia dopadł ją na swym portreciarskim szlaku. Drugi tydzień obijał się w terenie. Na koniec do tego powiatowego miasteczka zajechał. Marnie mu szło. Ludzie już nie tacy chętni. Przeklinał niefort. Skończyła się portretowa kanada. Bez większej nadziei łąził po miasteczku. Stopy miał odparzone, denerwował bezowocny mozół. Dwa zamówienia ledwo złapał. Przeważnie drzwi przed nosem zatraskiwano. Machnął na wszystko ręką, setę w gospodzie wypił i kręcił się po rynku. Zauważył mostek. A więc rzeka. Postanowił wymoczyć nogi. Akurat urzędniczki wychodziły z Rady Narodowej. Patrzył obojętnym wzrokiem. Jedna, druga, trzecia. Naraz oko mu się ożywiło. Dla żartu portrecik kolorowy któreś zaproponował. Ta czwarta mu nie pasowała. Nogi jak kloce, odmrożone. Piąta była Ola właśnie. Zagadał. Tak to się zaczęło. Portret wykpiła śmiechem. Obejrzał ją Hrabia doświadczonym okiem. Ona też na niego zerkała. Wyliniały co prawda, w marnym przyodziewku nie ogolony, ale jakieś tam ślady pozostały. Może ten niezły profil z mocnym, lekko orlim nosem, może włosy szpakowate, ale gęste i figura szczupła. W pierwszym rzędzie jednak bajer. Potoczyła się rozmowa wartka. Tak to się zaczęło. – Ramona, twe usta i ramiona... – nucił jej w pierwszym tańcu.

Stała w progu ta Ola, czyli Panna Młoda. Zupełnie skołowana. I bezradna. Martwo na biesiadny stół spoglądała.

Rozmowy przy stole mocno już belkotliwe, wymachiwali rękoma, przewracały się kieliszki, i popiół z papierosów w talerze z jadłem strząsali.

– Czy wiecie, kto u nas rządził? – wołał Komendant.

– Partia – odpowiedział natychmiast Prezes, który na to pytanie akurat zjawił się tutaj.

– Za mało powiedziane – skrzywił się Komendant.

– Oj, za mało – przytaknął kierownik skupu warzyw i owoców, Grzegorz, i oko chytrze zmrużył.

Pomyślał krótką chwilę Prezes i dodał: – Wiadomo, Łuczakowie.

Pojaśniał Komendant.

– Otóż to. A kto ja jestem? Łuczak jestem! A ty? – palcem w Prezesa. – Kto jesteś?!

Gospodarze patrzyli na niego z szacunkiem. Prawda to. Cała chmara tych Łuczaków powiat oblaźła. Szwagrowie, bracia, siostry, kuzyni, niekoniecznie nawet o tym samym nazwisku. Ale i tak ze sobą spokrewnieni. Nasycił się Komendant swoim znaczeniem.

– Pożartować zawsze można – powiedział skromnie. Klepnął Prezesa.

– To też głowa – rzekł łaskawie – tęga głowa.

Na Prezesa więc kolej przyszła. Drugi w hierarchii przy stole. I nie pozostał dłużny. Marynarkę, rozpiął, przez non-iron przeświecał siatkowy podkoszulek, rozparł się i zaczął tak: – Czy wiecie, co ja mogę? Wszystko mogę!

Ten z przeciwka uśmiechnął się dwuznacznie. Był to Krok zza Lasa. Zawsze ma taki uśmiech, jakby kpiał czy nie dowierzał. Ale Prezes o tym nie wiedział.

– I zgonić też mogę! – popatrzył krzywo na Kroka zza Lasa.

Tamten nie przestawał uśmiechać się po swojemu. Prezes pięścią w stół grzmotnął. Zadzwońnię szkło. A naprawdę to zakpił z niego Kierownik POM-u, Żurek Stanisław. Duszkciem odpił z musztardówki i powiedział: – Nie każdemu dałbyś radę, nie każdemu! – palcem mu jak dzieciakowi przygroził.

Zagapił się na niego Prezes. Mowę mu całkiem odebrało. Błysk niepokoju w oczach. Tamten nadal groził palcem. Żart to niby, ale czy wiadomo, co kryje się za tym? I Komendant tak jakoś spoważniał równocześnie.

Gospodarz czym prędzej zaczął polewać do kieliszków. Nie chciał, żeby między tymi z powiatu do zwady doszło.

– No, to wypijmy – serdecznie namawiał.

Czarodziej Długi Nos uznał wreszcie, że nadszedł jego czas, i do Traktorzysty całkiem już nachalnie się zabrał. Rękę za koszulę mu wsunął oczy z błogości jak kocur przymknął. Mocno na pijanego chłopaka napierał.

Gospodyni, gościom z powiatu zakąskę podsuwając, głowę przypadkowo uniosła i córkę swoją w progu zobaczyła.

–Córuś, co ci?! – zawołała przestraszona.

Panna Młoda nie odpowiedziała. Może nie usłyszała nawet. Ciągle jak lunaticzka. Ale ocknęła się już. Żywym okiem po siedzących przy stole popatrzyła. I do Skarupy Zbyszka podbiegła. Ten Skarupa Zbyszek najbliższy kumpel Hrabiego. Świadek na ich ślubie, a też jakby podobny do tamtego. Ta sama wytarta twarz i fala nad czołem też taka sama.

Do niego Panna Młoda właśnie.

– Zatańczymy?

Podniósł się Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran, skłonił się szarmancko i do tej izby z muzyką od razu poszli. Przepisnęli się na środek, tam gdzie Hrabia z Lucy płaśał. Panna Młoda przyłgnęła do swego partnera gwałtownie. Zdziwił się i odepchnął ja mimo woli. Krótkie to jednak zdziwienie, taniec również Herberta Morana mocno wciągał. Odległe przypomnienie powodował. Przyćmione światło, plama parkietu, blask metalowych instrumentów, śpiewaczka przed mikrofonem. Czas świetności i podbojów. Ale marząc tak, sztywny był ciągle, na dystans ze swoją partnerką. Pamiętał, że to Panna Młoda przecież. Ona jednak nie chciała dystansu. Co się odsunął, to piersiami na niego napierała. Całym ciałem. I ręce zarzuciła mu tak silnie na szyję. Zrezygnował więc wkrótce z przyzwoitego dystansu. Muzyka coraz bardziej krew mu rozgrzewała i już wciśnięci w siebie, rytm zapanował nad nimi. Też to był taniec! Wysokiego kunsztu pokaz. Świetny tancerz z Herberta Morana. Tyle że Panna Młoda w tym lokalowym stylu nieobyta, plątał się jej krok, przydeptywała mu noski bucików. Krzywił się Herbert Moran, nie lubił tanecznego partactwa. A wzrokiem Panna Młoda za swym ślubnym mężem, czyli Hrabią, nieustannie wodziła. Ale on jej nie widział. Bez reszty przy Lucy marzeniom oddany. Wargami po policzku ją muskał, a dłońią pośladki już pieścił.

Roztrąciwszy gapiów matka Panny Młodej zbliżyła się do tych dwóch par tanecznych i popatrzyła bez uśmiechu. Jej twarde spojrzenie zderzyło się z maślanymi, pełnymi sytości ślepiami Hrabiego. Naraz popłoch w tych ślepiach. Ocknął się Hrabia i na znaczną odległość swoją partnerkę odsunął. Pierwszy raz na żonę swoją ślubną popatrzył. Wkrótce też zrezygnował z tańca. Znowu sztywny i powściągliwy. Lucy w dłoń pocałował i pod ścianę na ławę odprowadził. Ona uśmiechnęła się pobłaźliwie.

Hrabia już tylko na żonę patrzył. Czującym, niespokojnym wzrokiem. Grajkom ręką skinał. Muzyka przestała grać.

– Przerwa! – ogłosił harmonista, Cygan miejscowy nazwiskiem Bładicz Ferdynand.

– Tak oto zakończył się ten dwuznaczny taniec par mieszanych – taki dał komentarz Rysiek Urzędnik.

Wszyscy więc do biesiadnej izby powracać zaczęli. Gospodarz wytaszczył z sionki skrzynkę wódki. Uwinął się żwawo i za chwilę bateria flaszek została rozstawiona na stole. Gospodyni przygotowywała półmiski z wędlinami. Panna Młoda odtajała nieco i wypieki z jej twarzy ustąpiły. Hrabia, czyli Pan Młody, nie opuszczał jej ani na chwilę. Na powrót czuł i troskliwy. Zupełnie wyzwolił się z tanecznego transu.

– Zabiega koło swego towaru – zauważył Skarupa Zbyszek.

– Jest koło czego zabiegać – potwierdził Rysiek Urzędnik.

Literat myślał tak samo. Tylko Naukowiec pozostał nieprzenikniony. Trzeźwy i elegancki. A ta elegancja nie sztywna wcale, garnitur brązowy w zielony rzucik, apaszka zamiast krawata i kamasze z metalowymi guzami. Obojętnie też wytrzymał ich natarczywe spojrzenia.

– Co to jego obchodzi – burknął Skarupa Zbyszek – on już przecież na wylocie. No nie, mister Hałarju?

Naukowiec nie przytaknął i nie zaprzeczył. Więc już nie pytali go więcej o zdanie.

Sami dalej sprawę Hrabiego rozważali. Ten majątek, w który się wzenił, obliczali. Gospodarka niemała, dziesięciohektarowa, i nie tylko tradycyjne zboże, ale ogórki, cebula, pomidory. Widzieli też za chałupą szyby szklarni w dodatku.

– Więc nowalijki, cwaniaki, na rynek rzucają – mówił Skarupa Zbyszek. – To jest ciężki interes. I legalny, zupełnie legalny.

Do niezłego interesu wzenił się Hrabia. Tak myśleli miastowi wyjadacze i na młodożeńców zerkali.

Panna Młoda już udobruchana. Tym szeptem Hrabiego całkiem odurzona. Uśmiecha się i palcem figlarnie mężowi grozi. Weselna pogoda wróciła na jej twarz.

– Odrobił stracone punkty – powiedział Rysiek Urzędnik.

A Hrabia aż wargi przygryzł do krwi. Zbyt gwałtownie poruszył szyją i czyrak na karku zapulsował wściekłym bólem. Wyobraził sobie ten guz spęczniały ropą. Ale musiał to jakoś przetrzymać. I nie przestawał uśmiechać się do żony przez ten ból, który długo jeszcze nie chciał ustąpić.

– Wesele raz jeszcze! – wrzasnął Literat. Musztardówkę wzniosł trącać zaczął, z kim padło.

– Wesele raz jeszcze? – zastanowił się Prezes. – Dlaczego raz jeszcze?

Zaraz o tym zapomniał i powrócił do rozmowy z Kierownikiem POM-u.

– Rzecz w tym, żeby być na górze, kapujesz, kochany, takie czasy, obsuniesz się, to i zdepczą...

Aż się wzdrygnął. Wyobraźnię na deptanie miał rozbudzoną. Potem przeszedł do sprawy zasadniczej. – Ja wiem, kochany, wiem, on w łapę bierze, ale ile... No ile? – nacierał dalej Prezes. – Śmiało! Ze mną tylko tak... Bo ja to jestem pragmatyk.

– Pragmatyk? Co pan przez to rozumie? – zaciekawił się Literat.

– No jak to, kochany – zdziwił się Prezes – żeby nie dać się wyruchać!

Literat parsknął śmiechem. Tylko Kierownik POM-u pozostał poważny, skupiony.

– To jest dopiero pragmatyk – powiedział Rysiek Urzędnik.

Gospodyni podała rosół z makaronem. Na opite gorzałą żołądki i przepalone tytoniem gardła taki płyn jak najlepsze lekarstwo. Siorbać zaczęli wszyscy ze smakiem. Muzykanci też się jadłem i napitkiem krzepili. Tutejszy Cygan, nazwiskiem Bładicz Ferdynand, z rozrzewnieniem wspominał, jak niegdyś u młynarza za rzeką został do grania najęty. Dzień i noc rzępolił, młynarz płakał, a za to granie dwa tysiączki dostał.

– To był pan – mówił Cygan, świeciły mu się tłuste, krucze włosy i zębami złotymi pobłyskiwał. – Tylko spać mi się chciało niemożliwie. Teraz nie ma takich panów.

– U mnie też krzywdować sobie nie będzie – powiedział Gospodarz i szklanę Cyganowi napelnił.

– Z muzyki radość ludzie mają – roześmiał się Bładicz Ferdynand i naraz zagrał na grzebieniu. Oczy miał wesołe, krwią podeszłe. Kipiała w nim niezmordowana energia i stopami zaczął takt wybijać. Całe ciało trzęsło mu się jak galareta, a z metalowego grzebienia obłożonego bibułką wydobywał przeróżne dźwięki.

– W ciurmie tak zawsze koleżkom grywałem. Oni smutne takie, każdy o wyroku myślał, a ja nic, tylko grałem...

– Pewnoś konie kradł, Cyganie! – zawołał Józwy syn.

– Co się dało, panie – roześmiał się Cygan.

– Wszystko biorą, psiekrwie – przytaknął stary Sierotnik.

– A znacie to, dobrzy ludzie – powiedział Bładicz Ferdynand – jak na jarmarku konie Cygan sprzedawał? Taki piękny ten konik, jeden gospodarz kupuje i pyta: powiedz, Cyganie, ma ten koń jakieś felery, a ma, Cygan odpowiada, nie lubi wianka i nie chce włązić na drzewo, durny jakiś, pomyślał gospodarz i konia kupił, ale co się okazało, ucziwie mówił Cygan, nie dawał ten koń chomąta sobie włożyć i przez most drewniany nie chciał przejść. A w dawnych czasach same mosty drewniane...

Śmiechem przyjęli wszyscy opowieść Ferdynanda Bładicza.

Literat nagle pozazdrościł Cyganom. Opycha się ten harmonista kielbasą, wódą, trąbi jak smok, i te jego oczy pełne przebiegłości, kpiny i hardości zarazem. Zadowolone Cyganisko.

I zamajaczył Literatowi taki obraz sprzed lat: z polnej drogi wyjeżdżał na szosę żółty, wesoło wymalowany wóz, ciągnięty przez traktor, już nie konie, już nowoczesność, ale cwana, przemyślnie podporządkowana swobodzie. A w tym wozie na pierzynach grubi, brodaci Cyganie patrzyli sobie w niebo, z blaszanego komina sączyła się stróżka dymu... A usta harmonisty pobłyskiwały złotem w nieustannym uśmiechu. Mnóstwo złotych zębów.

Teraz przy rosole miastowi goście trzymali się swoją kupa, a wsiowi swoja. Ożywił się Skarupa Zbyszek i zapytał:

– A pamiętacie, chłopaki, jak reżysera udawałem?

Pamiętali doskonale. Dlatego pozostał przecież Herbertem Moranem. Kiedy telewizja była jeszcze w powijkach, jako reżyser właśnie występował.

– No, a jaki numer pokoju tam w telewizji miałem? – pytał dalej Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran.

– Dwieście trzysta – odparł bez namysłu Rysiek Urzędnik.

– Tak jest – rozrzewnił się Skarupa Zbyszek – wierzę w trzynastkę, jakie sztuki na ten numer zrywałem... – wstał, oczy mu pojaśniały – pani będzie łaskawa zgłosić się jutro, zrobimy próbne zdjęcia, rozmaite na to szły... – Siadł znów, przegarniał łyżką w talerzu, patrzy na żółte koła tłuszczu w rosole i swoje reżyserskie sukcesy jakby to wczoraj zobaczył.

Hrabia, czyli Pan Młody, też się zamyślił i tylko już machinalnie swoja żonę po ramieniu gładził.

Obaj więc sięgnęli pamięcią do pierwszych fajfów w „Bristolu”, kiedy były tam jeszcze kanapki ze złoconymi oparciami. Znów jak wtedy śpiewaczkę Angielkę, którą lotnik dziarski z dywizjonu 303 sprowadził do kraju, zobaczyli na estradzie.

– „A ja ciebie nie oddam nikomu” – zanucił Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Mora.

– „Milutka, jaka postać twa zgrabniutka...” – dodał Hrabia.

I zanucił tę piosenkę. Głos miał nikły, ale miły dla ucha, aksamitny, jak to się mówi.

Panna Młoda wpatrywała się w niego z czułością. Mocno jej jednak zabuszował w sercu. Już zapomniała o tym tanecznym upokorzeniu. Naprawdę Hrabia on dla niej. Skarupa Zbyszek zawtórował Hrabiemu. Obaj śpiewają pełnym głosem. Emeryci barwną urodą dawnych lat ogarnięci. Wymięte, pobrużdzone twarze i jednakowe fale nad czołem.

– „Gugadin zakochał się w maupie, a maupa w Gungadinie” – też spróbował zanucić Rysiek Urzędnik, ale dalej już słów nie pamiętał.

– Albo jak te pierwsze filmy amerykańskie puścili... – odezwał się Literat – pamiętacie, *Mściwy jastrząb*, *Pięciu zuchów*, *Bohaterki Pacyfiku*, tłumy pod kinem, konie mieli wielkie dni...

– No – przytaknął Rysiek Urzędnik – to był fajny czas, pamiętacie, jak bikiniarzom długie kłaki, te plerezy znaczy, obcinali, grasowały takie lotne brygady, do bramy i od razu ciach nożycami.

– Tak samo draka z Alkiem – odezwał się Literat – dostawał paki z Anglii i w zagranicznych ciuchach paradował, bluzy od Andersa, jaskrawe krawaty, guma do żucia, no i z hukiem wyrzucili go z budy.

– Złota młodzież, czyli burżuazyjny styl życia – roześmiał się Rysiek Urzędnik – takie haselko wtedy było... „Przez oświatę i kulturę bikiniarzom damy w skórę”. Pamiętacie?

– Co z tym Alkiem teraz? – zastanowił się Literat. – Nigdy go nie spotkałem.

I pili przy tym rozpamiętywaniu gęsto. W przeszłość się zanurzyli. Wódka w tym dopomagała.

– Ja sam w takiej brygadzie z nożycami – uśmiechnął się marzycielsko Rysiek Urzędnik.

Kalejdoskop odległych lat. Czas w tym jakiś. Gungadin, spotkania pod zegarem, dżezowa muzyka w fotoplastikonie, zabawa na Różanej. Każde takie hasło coś wywoływało i odległość między tym teraz a tamtym jak przepaść. I Literat pomyślał o sobie. Włosy jeszcze dosyć gęste, ale siwe pojawiają się tu i ówdzie, twarz niby niezła, ale już bruzdy, tym bardziej że zmęczona nocą, a oczy raczej zgaszone, niewiele już w nich blasku. Młody. Młody pisarz jeszcze czasem na niego mówią. Wstał i ręce przed siebie wyrzucił.

– O wstańcie, wy wszystkie upiory przeszłości! – zawoła z błazeńską emfazą – słodkie śpiewaczki, Carmen Moreno, Elisabeth Charles, Jenny Johnson, tajemnicze pedały, Hanusze i inni, Burmajstry i Paramonowy, tu leży ręka, tu leży głowa, dajcie mi młotek..., młotkarze i stopkarze, zetwuemowcy i harcerze, Bohuny, Młoty i Wiry, wstańcie, wy słodkie upiory, o, pokaż się, ty ślepcu niezmienny, grzebień, grzebień, i ty, bohaterze na dwóch kulach, dostałem ja od ciebie kiedyś po grzbiecie, oj, dostałem, niech wyszczerzy swoje kły Tito, brytan łańcuchowy imperializmu, no, równaj, baczność! i toporem niech potrząśnie krwawy kat... – urwał, zakrztusił się.

Cisza zapanowała. Wsiowi trochę zdumieni. Ale jak to oni, nie pokazywali tego za bardzo.

– Kolega ma niewyżyte skłonności aktorskie – powiedział Rysiek Urzędnik – W szkole na akademiach zawsze Majakowskiego deklamował... I uklonił się jak konferansjer.

A Skarupa Zbyszek na wszelki wypadek do Komendanta: – Żadna to mowa wywrotowa, raczej dla zgrywy, pomieszanie z poplątaniem.

Ale Komendant nie słuchał wcale. Pograżony w cichej, bardzo ożywionej rozmowie z Kierownikiem POM-u.

Chwilę jeszcze trwało milczenie wśród miastowych. Żarliwy szept Skarupy Zbyszka wyrwał ich z odrętwienia:

– Co wieczór inna sztukę podrywałem.

Hrabia tym razem nie odzywał się przezornie, ale jego oczy o tym samym mówiły.

– Ta Joasia, pamiętasz... – nie mógł dłużej wytrzymać – tak na mnie leciała, narzeczony, studia, wszystko rzuciła. – Zamilkł i zerknął niepewnie na swą ślubną wybrankę. Ale ona nie miała mu tego za złe.

– Miałaś powodzenie? – zapytała.

Hrabia skromnie przytaknął. Odmłodniał ten stary szakał, takim gestem nerwowym, troskliwym włosy sobie zaczął przygładzać.

Skarupa Zbyszek coś mu zaszepotał do ucha. Zachichotali obaj. Odrażająco jakoś.

– Kajdanki! – powtarzał Skarupa Zbyszek – to był pomysł, no nie?

Hrabia przytaknął. Dalej chichotał.

Następnie Skarupa Zbyszek przysunął się do Literata i opowiadać zaczął ściszym głosem.

Było to tak: Kajdanki rąbnęli pijanemu glinie. Z raportówki. Cieszyli się złośliwie, wyobrażając sobie, jak się budzi rankiem i szuka swojego sprzętu służbowego. I dziewczynę sprowadzili na chatę. Podstępem, słodkimi obietnicami. Napoili ją winem i wódką na przemian. Oporna niezwykle, ale wreszcie poszła. Bardzo ładna, tylko niedotykalna. Taka ważniaczka.

– Ja tylko na chwilę – mówiła – proszę sobie nic nie wyobrażać, z reguły nie mam zwyczaju do obcych mężczyzn...

Więc obłudnica. Tak twierdził Skarupa Zbyszek. – Chce, a boi się – określił jej postawę – pełno takich dziwek.

Już na miejscu szatański pomysł wpadł im do głowy. Nie zastanawiali się długo. Eksperyment. Tak to nazwał Hrabia. Skuli ją w bransoletki. Umiejętnie. Jedną rękę do kaloryfera, a druga do stołu. Bronić się już nie mogła i do woli sobie używali. I to jej niezapomniane: – Ach, och, o Boże... – coraz bardziej omdlewające.

– Ten stół tak się ruszał, w te i wewte – dławiał się uciechą Skarupa Zbyszek i oczy miał zimne, drańskie.

– W te i wewte – Hrabia ręką ruch stołu naśladował i oczy miał takie same, złe, pełne satysfakcji.

– Co to było? – zainteresowała się Panna Młoda.

– Zgrywa – odparł Hrabia i przypominając sobie o obowiązkach, pocałował ją w policzek.

– Misia, moja słodka – powiedział z roztargnieniem.

– ...Więc my z Witkiem Jubilerem – przeszedł Skarupa Zbyszek do więziennych wspomnień – takich wieśniaków rosnących sobie dobraliśmy i jak na koniach, wio, wiśta, nawet do kibla nas podwozili...

Posłyszał to syn Józwy z Wygwizdowa i ponuro się w niego zapatrzył. Sam siedział przecież dwa lata. Miał więc ponure skojarzenia.

Rysiek Urzędnik też swoje dorzucił: – Pamiętacie tę moją inżynierową, mąż tyrał, taka pracowita pszczołka, a my sobie szliśmy w miasto, wpierw do mnie, buzi, buzi, od razu kiczkę ściągała, potem „Oaza”, „Paradis”, „Kaskada”, noc w noc, łasy był wyciruch z tej baby.

A przecież nieprawdę mówił. Dawniej wszystkim dla niego inżynierowa. Podśmiewali się koledzy. Romantyk, Romeo, tak go przezywali. Teraz zaś bezlitośnie inżynierową pomiałał.

– I co z niej zostało? – retorycznie zawiesił głos. – Staruszka, po prostu staruszka!

Wtedy już nie było przy stole Panny Młodej. Poszła do kuchni matce pomagać. Więc swobodnie na temat kobiecej urody wymieniali poglądy.

– Najlepiej lubię – powiedział Hrabia – cycofony na długich nogach. – Zastanowił się i dodał: – Świniowate.

– A ja – wtrącił Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran – chude, żyłety, istne węże w zwarcu.

– Za mało mięsa – skrzywił się Hrabia.

– W takim razie żonka coś nie w typie – wrednie Skarupa Zbyszek – mięso jest, ale bez cyków.

– To już całkiem inna para kaloszy – Hrabia popatrzył na niego z wyższością.

Nie znalazł odpowiedzi Herbert Moran. Zabawa zabawą, a interes interesem przecież.

– Interesy – zaklął szpetnie – nigdy do tego szczęścia nie miałem.

– Może jeszcze coś trafisz – pocieszył Hrabia.

Literat, słysząc tę lepką, wyuzdaną gadaninę, zapragnął nagle miłości czystej, wspaniałej i pełnej uniesienia. Takiej jak pierwsze, szczeniackie porywy. I dziewczynę swych pragnień już widział. Wzruszył się. Ale ta czysta bajka niedługo trwała. Innym zupełnie tropem poszedł.

Uroda owszem, ale w pierwszym rzędzie bogata. Jakiego wymiaru to bogactwo? Rozważał jak buchalter. Coś na poziomie willi, niezłego samochodu i pieniędzy stwarzających niezależność. Tak się w tandetę pogrążał. Ale miał jeszcze zdrowy rozsądek. Więc jedno i drugie wykipił zarazem. Naukowiec pociągnął go za rękaw. W ten sposób zupełnie już wytracił się z tej szmiry.

– Czy wiesz, jak to się zaczęło?

– Co? – nie zrozumiał Literat.

Naukowiec uczynił nieokreślony gest. Dopiero po pewnym wahaniu wyjaśnił: – No, ten mój skok za Ocean... University of Princeton... – smakował te słowa.

Lucy roześmiała się perliście.

– Wiecie, to dopiero była heca. Sylwester w naszej knajpie, konsumpcja, cała pompa, kelnerzy starali się, jak mogli, podawali w takim tempie, goście poszli tańczyć i jeszcze nie zdążyli prawie tknąć gorącego dania, a kelnerzy natychmiast sprzątnęli, bażant był wtedy, i serwują już deser, wraca z tańca całe to tałatajstwo, no i co mogli zrobić, siadają do deseru, tylko jedna taka zawiana: gdzie mój bażant!, woła, ja nigdy jeszcze nie jadłam bażanta! Taki prymityw, nic w życiu nie widziała.

Skarupa Zbyszek skrzywił się kwaśno. Pamiętał, że po tym Sylwestrze dopiero w południe wróciła do domu. Lucy wyjęła z torebki lusterko, szminkę, wywinęła wargi i zaczęła je malować starannie. Prezes patrzył na nią z upodobaniem.

– Masz jelenia – szepnął Literat.

Wzruszyła ramionami. Wyżej mierzyła, wyraźnie to widać. A Hrabia rozkleił się nieoczekiwanie.

– Tu nad Wisłą nie ma żadnych lotów – wykrzyknął – żadnych! – Zatoczył ręką po izbie szeroki krąg. – Te moje loty! Co to za loty?

Uspokajali go koledzy. Gorzałkową szajbą może przecież popsuć sobie wszystko.

– Na razie, baranie – skarcił go Skarupa Zbyszek – jesteś nad Wisłą, kapujesz?

– Co ci jest, źle się czujesz? – dopytywała się troskliwie Panna Młoda.

Hrabia uspokoił się zaraz i dziarsko zaprzeczył. I tak snuło się to weselne gadanie, raz górą, a raz dołem. Krzyków i śmiechu pełno, to znów ten gwar wygaszał, już tylko leniwe zdania, słowa, w odstępach coraz dłuższych. Krzyżowały się też rozmowy i splatały nawzajem, miastowi z wsiowymi mieszać się znów zaczęli.

– Niedosyt złota odczuwam po tych ostatnich mistrzostwach – stwierdził Kierownik POM-u. – Nasi przywieźli tylko srebro.

– A pamiętacie, jak pięć złotych chapnęli? – wtrącił Skarupa Zbyszek.

– Ale Tomczyk i tak wykonał swoje zadanie – odezwał się Komendant – to jest ekstraklasa. Prawda, panowie? – Wypili pod bokerskie sukcesy kolejkę.

Hrabia zatęsknił za wyścigami. Bardzo lubił pole i trochę pieniędzy tam zostawił.

– Powinieneś się odzwyczać – zauważył Rysiek Urzędnik – w przeciwnym wypadku morgi puścisz na paszę dla rumaków.

Panna Młoda zainteresowała się tą nie znaną jej słabością męża.

– Takie tam żarty – zbagatelizował Hrabia.

– Mój sąsiad, kuśnierz Zabrodzki – powiedział Skarupa Zbyszek – futra klientów na konie postawił. Derby wtedy...

– No i co? – zapytał Hrabia.

– Poszedł siedzieć – odparł Skarupa Zbyszek.

– Ja nigdy serca do tego nie miałem – wtrącił Prezes – już raczej wolę w pokerka.

Lucy wydeła pogardliwie wargi.

– Co to za hazard! Monte Carlo albo Las Vegas to jest dopiero!!! – Spojrzała na Naukowca, szukając u niego aprobaty. Ten zdawkowo przytaknął.

Niepokój zakłócił Hrabiego. Znowu stał się czujny i napięty. Zauważył bowiem, jak Gospodarz, czyli teść, z żoną poszeptywać zaczął. Tak szeptali przy drzwiach stojąc i jego kilka razy zmierzyli. O czym gadają? Dlaczego tak patrzą? Poruszył się nerwowo i po szyi dłonią przesunął. Ten swój napęczniały czyrak przycisnął i ból nim miotnął. Zaklął półgłosem.

Po drugiej stronie gromki śmiech wybuchnął. To Cygan tutejszy, Ferdynand Bładicz, coś wesołego opowiedział.

– Taka jest dusza cygańska – powtarzał – przez śmiech łyzy.

Leśniczy i nauczycielka Rohotycka w ogóle nie brali udziału w rozmowach. I pili niewiele. Tylko sobą zajęci. Patrzył na nią Leśniczy, a ona spojrzenie jego odwzajemniała.

– ...I baba mu czegoś zadała, dawniej mieli takie sposoby – uśmiechał się zagadkowo stary Sierotnik – zadała i szlus, choćby chciał, to już od niej nie odejdzie.

– Pod pierzyną najlepiej one zadają – odezwał się Józwy z Wygwizdowa syn.

Sauterzaki, opici jak baki, posnęli twardo. Komendant natomiast rozkwitł niczym paw. Władczo okiem łypnął i zaczął tak: – Jak rodzina my tu sobie, spokój i ciepłutko, żarcie i napitek, znaczy, życie na poziomie i ja, chłopkowie moi kochani, nad wami czuwam i będę czuwał, tylko niewdzięczności nie ścierpię... – pięścią rąbnął w stół.

– Rysiu – powtarzała jego żona. Rysiu, – nie denerwuj się... – Za ramię nieśmiało go pociągnęła. Taka drobna kobieta, z rzadkimi włosami zaondulowanymi w loczki. Istna domowa kurka. – Rysiu... – zaszemrała.

Gospodarze z powagą potakiwali.

– Był taki jeden, co mi się stawiał – błogi uśmiech na twarzy Komendanta – rozrabiacz, czyli warchoł po prostu, sprawiedliwości szukał, jakby ja nie wiedział, co sprawiedliwe, a co nie, dobrze wiem, od tego tu byłem, tak ciągle się stawiał i nie można mu było przetłumaczyć, uparty taki kłody mi pod nogi rzucał, czyli pracę utrudniał, zażalenia, plotki rozmaite w obieg puszczał, siamto, owamto, paskudny człowiek, po linii więc trzepnąłem łobuza, z roboty go zwolnili i ze społecznych funkcji też, czyli dostał po krzyżach porządnie, myślę sobie, wypóści się i wymęczy, spokojnie należycie i znów mu oddychać pozwolę, ale niech się wymęczy czas jakiś, oduczy się skakać i podgryzać, tymczasem ludzie mi meldują: chodzi on sobie uśmiechnięty i widać z tego, nieźle żyje, coś tu nie gra, myślę, sposobem trzeba go podejść, spowodowałem wezwanie danej osoby na rozmowę oficjalną, tam punkt po punkcie rozpracowany został, co się okazało, robotę sobie znalazł w prywatnym pionie, ale prywatny pion też w jakiś sposób nam podlega, zwolniony został, już się nie uśmiecha... Bo jak gnoić – zapalił się Komendant – to do końca, wtedy tylko człowieka wychować można, nigdy półśrodki, całością należy uderzyć...

– Traktat o gnojeniu – zauważył półgłosem Literat.

– Jaki tam traktat! – obruszył się Rysiek Urzędnik. – Księżycowy z ciebie teoretyk. Traktat! Codziennie, wszędzie! Myślisz, że u mnie inaczej? W tej chwili żółć go wypełniła. Żółć i bezradność.

A głos Komendanta dalej dudnił.

– Prawdy szukał, wyżej, mówił, rację mi przyznają, memoriały pisał, jak to nazywał, a po mojemu to do donosy, czy nie mam racji, towarzysze, czy to jest właściwe podejście... – po biesiadnikach wymownie popatrzył.

Gospodarze cały czas potakiwali. Taki nieśpieszny ruch głów, z góry na dół, z góry na dół. A twarze nieprzeniknione, nic w nich nie wyczytasz. Tylko Sierotnikowi majaczył chytrawy uśmieszek. Jak cień ten uśmieszek. I na Komendanta jest sposób. Poprzedniego właśnie sposobem wykosili. Pies tamten był na ludzi. Tylko węszył, żeby zniszczyć. A najbardziej cierpieli ci, co po cichu skóry garbują i kozuchy robią. Krzyż pański mieli. Coraz rewizja i do kryminału szli. Aż przebrała się cierpliwości miara. Skóry tamtemu komendantowi podrzucili. Niby że łapówki bierze. Donos o tym do województwa poszedł. Wpadła komisja. Nie tylko skóry znaleźli, ale i bimbrowniczy sprzęt, co w piwnicy został podłożony. Nijak się nie mógł

z tego wytłumaczyć. Takim sposobem zwolniony został z zajmowanego stanowiska i powiat odetchnął. Ale nic o tym Komendantowi nie mówili. Bez gadania wiedział doskonale.

Ciągle jeszcze jego głos panował nad stołem: – Naszą siłą wzajemne zaufanie, każdego ja wysłucham, każdego ja zrozumie i jak zgodność z prawem będzie, to pomogę. Oczy przy-mknął i kieliszek podniósł. – Abyśmy, przyjaciele, zdrowi byli!

Wszyscy wypili.

– To jest zawodnik – powiedział z uznaniem Skarupa Zbyszek. – Nie gapa. Tak polityką bajeruje, każdy numer mu przejdzie.

– Zmyślny – przyznał Gospodarz – a na razie nie ciśnie za bardzo.

– Choć – zastanowił się stary Sierotnik – coś on taki napyszały.

Tymczasem Prezes również toastem odpowiedział Komendantowi:

– Żeby tak dalej, obywatele, jak to się mówi, władza z ludem!

Zadzwońło szkło.

– Wazeliną się smarują – burknął Skarupa Zbyszek – stare cwaniaki.

Brat Panny Młodej przysiadł się do Powstańca. Popatrzył na niego z zainteresowaniem. Za nos go pociągnął.

– Ale ma spanie – dziwił się. – Nic nie czuje. – I coraz mocniej cisnął. Powstaniec rękoma na oślep machnął i kwicząc zaczął cienko tak.

– Wredna bestia – rzekł Rysiek Urzędnik. Nie miał do wsiowych przekonania. Najbardziej rozeźliła go tępa wesołość na twarzy brata Młodej. Wyobraził sobie, jak zmienia się w równie tępą wściekłość. I nienawistnym wzrokiem spiorunował chłopaka. Ten przestał się pastwić nad śpiącym.

Najstarszy z rodziny Wyglądałów wysmarkał się w dwa palce, otrząsnął za siebie i odezwał się głuchym, drżącym głosem: – Tak to jest, jeszcze ojciec mój zawsze powiadał: władza od tego jest, żeby cisnąć, trza ją oszwabić, synku mój, czapkować, a swoje robić, a siać, a orać, a zbierać, tego nie mogą zabronić, na tym oni, gnębiciele, stoją, prawdę tato gadali, Niemca przetrzymalim, różnych przetrzymalim...

Zakłopotali się gospodarze. Chrząknąć i krzesłami szurać zaczęli.

– Co on plecie? – zainteresował się Komendant.

– Takie tam głupoty – zbył go Sierotnik.

Uciszyli jakoś tego wiekowego starca i już swego nie dokończył.

A weselny Gospodarz zaraz z innej beczki: – Prawda to. Jeden na stanowisku drugiemu nierówny. Był inspektor od szkód u nas, niby ludzki, a chciwy niemożebnie, u niego tylko daj a daj, po polach łąził, szkody liczył, ale nic nie popuścił, jak mu łapy nie posmarowałeś, i to grubą omastą, wszystkiego nabrał, pieniędzy, żeby tylko, naznosiły mu baby, tamuj gdzie kwaterował, jajków, masła, mięsiwa rozmaitego, w sionce na półki pakował i tylko się obli-zywał, taki pazerny, aż ochlał się wieczorem, a sionki na haczyk nie zamknął, rano do sionki idzie, a tam nic, półki puściutkie i drzwi otwarte, wygląda na dwór, patrzy, papiery tamuj się walają, psiska kręgiem siedzą i oblizują sobie paszcze, z całej wsi psy się zleciały, strasznie bluźnił.

Gruchnął śmiech. Komendantowi aż oczy łzami podeszły.

– Jak to mówią – wykrztusił – nie dla psa kielbasa...

Hrabia, czyli Pan Młody, na wsiowych patrzył. Najdłużej teścia swego sondował.

– Ciężki element – zwierzył się Literatowi, wykorzystując ten śmiech. – Trudny do roz-gryzienia. Jak z takimi dać sobie radę?

Literat ręce wymownie rozłożył.

– Jak podegrać najlepiej? – zastanawiał się tamten.

Aż teść zięciowi się przyjrzał. Wtedy Hrabia uśmiechnął się szeroko, pocziwie. Umiał tą swoją gębą pracować.

– Polewaj – powiedział Gospodarz – zięciu, polewaj! – Hrabia za butelkę chwycił i kieliszki zaczął znacznie większym gościom napełniać.

Prezes wódkę poczuł, szumiało mu w głowie, i powtarzał uporczywie: – Człowieku, co się upierasz, no co?

Kierownik POM-u tylko uśmiechał się lekko. I głowę miał, trzeźwy jak na początku.

– Oto przyszłość. – Rysiek Urzędnik palcem go wytknął.

– Jeszcze Prezesa może migiem wyruchać – dodał Literat.

– A coś myślał – przytaknął Rysiek Urzędnik – to dużo lepszy pragmatyk.

– Niezły był człowiek – mówił o kimś sołtys – tylko niemożliwie twardy... – zaciął się, usta otworzył i powietrze wypuścił – niemożliwie cisnął.

– Nazbierał sobie bogactwa – wtrącił Gospodarz. – Na ludzkiej krzywdzie wszystko.

– I władza go należycie pokarała – podsumował Komendant. – Poszedł siedzieć.

– Z władzą rozmaicie bywa – niby to naiwnie zauważył kierownik skupu, Grzegorzczak – raz tak, raz nie.

– Co znaczy, raz tak, raz nie! – zaperzył się Komendant.

Grzegorzczak za uchem się podrapał i zmilczał.

– A choćby taki Frołek – szepnął Gospodarz – nie narobił krzywdy? I co mu za to? Rentę dostaje i handel jeszcze prowadzi.

– Niemal takich – przytaknął stary Sierotnik.

– Podobno już tak mają ustalone – zażartował Rysiek Urzędnik – jak na huśtawce, raz ty, a raz ja dorywam się do tego miodu. No i solidarność wzajemna obowiązuje.

– Ręka rękę myje – przytaknął z powagą Gospodarz.

– Czym mogę pani służyć? – zwrócił się Prezes do Lucy.

Lucy poziewowała akurat. Szybko jednak w zalotne ożywienie twarz oblekła.

– Jeśli pan taki dobry, to poproszę o ogórki.

Prezes coś jej zaszeptał do ucha. Zachichotała.

– Ilu to siedzi za niewinność – odezwał się znów kierownik skupu, Grzegorzczak.

– A pałują czasem bez żadnego powodu – wtrącił Skarupa Zbyszek, czyli Herbert Moran.

– Fakt, popiłem, ale idę grzecznie, równo, a oni do mnie: pozwólcie, obywatelu, zdenerwowałem się, chodzić już nie można, to oni za pały i do izby wytrzeźwień zatargali, a rano ani grosza nie miałem, cała wypłata poszła, nie wiem gdzie, po drodze czy w izbie wytrzeźwień zabrali.

– Za niewinność! – zarzął Komendant – nie ma takich przypadków, każdy ma coś na sumieniu.

– Od sumienia jest ksiądz – zezłościł się Literat.

– Pan żartuje, kolego – rzekł Komendant.

Literat wzburzył się i wiele jeszcze cisnęło mu się na usta. Ale Rysiek Urzędnik trącił go ostrzegawczo.

– Też znalazłeś sobie partnera!

Więc nie odezwał się już więcej.

– No, sam pan widzi – ucieszył się jego milczeniem Komendant.

– I pały nowe podobno dostali – ciągnął monotonna Skarupa Zbyszek – japońskie, takie niby malutkie, a pstryknie i wyskakuje na półtora metra.

– Technika wszędzie wkracza – przytaknął Komendant.

Ten Frołek, co to dawniej trząsał powiatem, zapragnął nagle pojednania ze starym Wewiórą. Naparł na niego i spróbował objąć go przez stół.

– No, gospodarzu! – zawołał – brudzia, musimy! – Niepewną ręką za butelkę złapał i szklanki zaczął napełniać. Ale stary Wewióra sprężył się cały i wyrwał z uścisku Frołka. Odsunął się szybko. I słowa nie powiedział. Ale coś widać rozżarzyło się w popiele jego pamięci, bo oczy mu pociemniały.

– Dlaczego tak? – zapłakał po pijacku Frołek. – Dlaczego?
– Czuje kostuchę – uznał któryś z siedzących w pobliżu – przebaczenia pragnie.
– Syn starego – zastanawiał się Gospodarz – zapalna jucha.
– Te Wewiory – ocknął się najstarszy z rodziny Wyglądów – zawsze pamiętliwe były.
– A mój księgowy – westchnął Prezes – Piotrowski, na więziennym teraz garnuszku, wyobraźcie sobie, żona do niego na widzenie przysłała z pomarańczami i nie chciał przyjąć, tu całkiem inny wikt, powiada, muszę żołądek uregulować, dacie wiarę dziwak taki. – Prezes schaboszczaka na widelec nadział i zajadać zaczął.

– Więzień ciężka sprawa – zamruczał Józwy z Wygwizdowa syn.

Hrabiemu ściągnęła się twarz. Nie lubił więziennego tematu.

– Czas wyjęty z życiorysu – powiedział sentencjonalnie, a myślał o swojej odsiadce. – Tyle że u nas... – szeptem do kolegów – wódkę kombinowaliśmy od klawiszów, a jak nie, to blatny pielęgniarski salicyl wynosił z izby chorych.

Rysiek Urzędnik zagapił się w ścianę. Nudził się, znowu żadnej żarówki w nim, nic. Wygaszanie takie i niechęć. Na ścianie jaskrawy obraz. Łabędź zawadził o wydarzenie z dalekiej już przeszłości.

– Kiedyś piłem z facetami od grubszej gotówki – odezwał się – jeżeli chodzi o forszę, to była pierwsza liga, kupili dwie butelki francuskiego koniaku, nudno, mówią, sfrustrowani tacy, co tu wymyślić, w knajpie już im się nie chciało, poszliśmy do parku, pijemy sobie ten koniak pod pomnikiem Szopena, niedobre miejsce, mnóstwo dzieciaków, przenosimy się nad staw, patrzymy na łabędzie i oni mówią: mamy zakąskę, na brzegu łabędzie jajka wysiadywały, przepędziliśmy jednego, ciężka sprawa dać mu radę, dziobem za nogawki, skrzydłami walił i syczał, ale wreszcie uciekł, dwa jajka zdobyliśmy, więc pod te jajka Martella ciągnęliśmy – jakoś złość w nim narastała, coraz zapalczywiej wykrzykiwał – Martella chlup, żółtko chlup, nawet niezłe, ta łabędzica koło nas biegła i skrzydłami waliła, publiczność dopisała, bestialstwo, posiadają, czułe aniołki, kurewskie nasienie!

Brat Młodej nieruchawy wzrok w niego utkwiał. Podparł brodę łokciami i patrzy.

– Co ty tak! – najeżył się Rysiek Urzędnik.

Tamten dalej patrzył.

– Nie podoba ci się, sieczkobrzęku?

– A bo co – brat Młodej ślamazarnie słowa rozciąga – patrzeć nie wolno?

Wstał wtedy Rysiek Urzędnik. I wstał ten młody. Do siebie podchodzą. Już Rysiek Urzędnik się pochyla. Wyraźnie chce głową stuknąć tamtego. Ale wsiowy szybszy. Przeciwnika w pół chwycił. Uniósł i tak nim zakręcił. Rysiek Urzędnik bezradnie nogami wierzgał.

Gospodarz i Skarupa Zbyszek wsiowego chłopaka za ręce złapali.

– Spokój, łobuzy! – krzyknęła Gospodyni.

Oderwali ich od siebie. Obaj stali dysząc i przekleństwa żując. Już po wszystkim. Gospodarz syna poklepał.

Skarupa Zbyszek kolegę do stołu odprowadził. Spokój więc powrócił i nawet zmuszono ich, żeby do siebie przepili. Przepili, ale z oczu niechęcią im ziało.

– Za ten sojusz miasta ze wsią! – wznosił toast Literat. – Urbi et orbi! Niech się rozniesie ten wzruszający fakt wszędzie.

– Łacina, tak? – powiedział po dłuższym zastanowieniu Prezes.

– Młode to i zapalne – rzekł Sierotnik.

– Wiadomo – przytaknął Gospodarz. – W starej remizie jeden miał żal do drugiego i tak go bagnetem do ściany przyszpilił, że ani kwiknął.

Młodym oczy zabłysły. Ten Wewióra z suchą łapą też ożywił się jakby.

– Za jednym zamachem? – zapytał Józwy z Wygwizdowa syn.

Gospodarz przytaknął. Wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko i papierosa zakurzył.

– Dawniej jak coś zrobili... – stuknął palcem w pudełko. – Ile to ma lat...

Powstaniec zwał się na ramie Frołka i z otwartych ust długą nitką pociekła mu ślina.

– Zupełne dno – Naukowiec mierzył zimnym, analitycznym wzrokiem to bezwładne, osuwające się ciało. – Oto tutejsza równia pochyła – dodał – gorzałka i koniec.

– Te, arystokrata ducha – warknął Literat – nie mądruj tak!

Ale trafne to jednak. Myślał o tym. Pewien znajomy wynurzył się z jego pamięci. Niewyraźnym na razie konturem. I już dokładnie. Jakby to wczoraj. Pisał. Wiersze. On jeszcze nic. Tamten bardzo mu imponował. Pełen siły i pasji. Wierzył w literaturę. W jej moc i piękno. Wierzył w siebie. Poeta. Oczy miał intensywne w blasku, pełne zmiennych iskier. I strzęp jego wiersza. „Cały jestem od wewnątrz wytapetowany tkliwością”. Te swoje wiersze recytował chętnie czystym, dźwięcznym głosem. Zwinięte w rulon, nosił stale w kieszeni. A obok poety sutener w jego życiu występował. Jak aktor błyskotliwy w tamtych latach. Andrzej w skórze. Tak go nazywali. Nosił skórzany płaszcz. Cyniczny i lubieżny. Powiadał, poruszając palcami dłoni: – Lubię baby i to, co mają, żeby nie ta wilgoć, tobym tam zamieszkał.

I po wielu latach zobaczył poetę. Otyły i apatyczny, w długiej jak sutanna jesionce, a oddech miał przesycony zapachem wody brzozonej. Pił więc ten najtańszy trunek alkoholików. Kioskarz z sąsiedztwa narzekał coraz częściej: – Panie, w godzinę cały zapas brzozonej wypijają. I nie wiem, co robić, sprzedawać, nie sprzedawać. Idą do śmietnika i tam gul, gul... Jeden tam umarł nawet, wypił i padł, panie, co robić?

– Stoczyłem się – wymamrotał wtedy poeta, z ust ziało mu tym zapachem wody do włosów. Prosił nieśmiało o pięć złotych. To spotkanie było jak przepaść. Tego drugiego, co wielbił lubieżnie wilgoć kobiecych pieczar, nie zobaczy już nigdy... Może tak jak Hrabia ciepłe gniazdko gdzieś sobie wymościł?

– Czy każdego buntu musi być taki koniec? – zapytał Literat.

– Poratujmy staczającego się – rzekł Rysiek Urzędnik. Chwycili we dwóch Powstańca pod pachy i powlekli jak worek. Chcieli ułożyć go na łóżku. Gospodyni sprzeciwiła się stanowczo:

– Jeszcze może zapaskudzić.

Twarz tego biesiadnego denata pełna była łagodności, wąsik jak szczoteczka śmieszna, i plastelinowa bezworność całego ciała.

Położyli go w kuchni na ławie, troskliwie przykrywszy derką. A w sionce samotny Hrabia papierosa palił. Zaciągał się chciwie.

– Co ty taki? – zdziwił się Literat.

Wydawało mu się też, że Hrabia westchnął. Niedopałek zatoczył szeroki łuk, spadł na podwórze. Chwilę żarzył się i zgasł. Hrabia zapalił następnego papierosa.

– Coś mi tak po łbie łązi – odezwał się niechętnie. – Takie tam bzdury... Bzdury po prostu... Łązi to i łązi... – Westchnął całkiem wyraźnie.

Najdawniejsza to była historia w jego życiu. Czas dzieciństwa, miał wtedy piętnaście lat. Ojciec prowadził restaurację w uzdrowiskowym miasteczku na Ziemiach Odzyskanych. Barmanka miała na imię Maryla. Sypiała z ojcem. Obraz to zamierzchły. Lecz w przypomnieniu Hrabiego dziewczyna ta do wysokości ideału urastała. Piękna, wyniosła, zagadkowa. Wyjeżdżał ojciec raz w tygodniu po spirytus [-----]. W pustej knajpie-landarze, ozdobionej ponurymi boazeriami z czarnego drewna, zostawał Hrabia z Marylą. Patrzył na nią z ciemnych kąców zachłannie. Ona nie dostrzegała go w ogóle. Pewnego wieczoru Maryla, przeliczywszy utarg w kasie, przeciągnęła się i wcale nie patrząc tam w kąt, gdzie warował, powiedziała: – Chodź! – Nie poruszył się nawet. Tylko serce załomotało nieznośnie.

– Choć – powtórzyła – widzę cię przecież.

Wynurzył się z ciemności cały napięty, ze ściśniętym gardłem. I tak zbliżał się do niej. Siedziała na podwyższeniu, przed nią staroświecka maszyna do liczenia. Z tyłu półki z butelkami. Refleksy świetlne na szkle. A jak był już zupełnie blisko, to zamknął oczy.

To był ten pierwszy raz.

Znowu niedopałek zatoczył łuk i spadł na podwórze. Hrabia machinalnie przyczesał włosy.

– Taka kochanica starego mi się przypominała... – powiedział. – Też spałem z nią. I wyobraź sobie, nigdy nie mogłem się zorientować, wiedział o tym mój stary czy nie...

Z izby dochodził zgiełk rozmów, szczerk szkła.

– No, trzeba do obowiązków – rzekł Hrabia.

Energicznym krokiem opuścił sionkę. Muzykanci zagrali znów, ale do tańca chętnych już coraz mniej. Literat stanął w drzwiach między dwoma izbami. Tu i tam patrzył. Nie czuł wcale znużenia i takim trzeźwym, ostrym wzrokiem weselną gęstwę ogarniał. W uszy wpały fragmenty rozmów, muzyka, krzyki i śmiechy. I cały czas czuł ciężar niewypowiedzianego. To niewypowiedziane otaczało go zewsząd. Jak dotrzeć do tego? W garść chwycić, rozsupłać i nie popuścić. Wiało od tej weselnej ciżby czymś zgniłym i zdrowym zarazem. Szatan z archaniołem dziś dla niego razem tańcowali. Jeden kopytkami stuk, stuk, a drugi skrzydła swe piękne, śnieżnobiałe rozpościera. Jednemu z kudłów rogi sterczą, drugiego aureola świetlista spowija. I tak się mienią, przetykają, że rozdzielić ich trudno. Czy łeb taki boks wytrzymać może? Przesunął dłonią po czole. Chciał być silny.

– Jeszcze mam szansę – powiedział.

Bardzo chciał mieć szansę. Odwrócił się gwałtownie. To Komendant walnął go rubasznie w plecy.

– Co tak bez humoru? – zapytał.

– Wkurwiłem się – odparł Literat.

– Dlaczego, nie rozumiem?

– Bo masz pan dębowy mózg!

Ale Komendant nie obraził się wcale.

– Schlał się inteligencjak – uznał pobłażliwie i do biesiadnej izby powrócił.

Pierwszego zmoгло Skarupę Zbyszka, czyli Herberta Morana. Zbladł, usta dłonią przycisnął i z chałupy galopem wybiegł. Lucy zachichotała. Kierownik POM-u gorzałę już poczuł i łapę wpakował za jej dekollet.

– Co ty, pajacyku! – Lucy trzepnęła go po łapie.

Kierownik POM-u ponowił manewr. Prezes zareagował groźnym chrząknięciem. Obaj konkurowali do jej wdzięków. Kierownik POM-u rękę na stół wyłożył niczym skarcony uczeń. Prezes więc górą. Hrabia jeszcze to nagłe wyjście kolegi smakował. Chichotać też zaczął. Sam pierwszy raz rzygnął w nocnej knajpie zwanej „Hades”. Młody był wtedy i nieobyty. Zaprosił go ojciec i pili po równo. Wódka dla niego jak woda, pompował bez umiaru. Naraz w żołądku mu się zakłębiło. Popędził. Już był przy toalecie. Z boku kelner drogę mu przeciął. Zderzyli się. Ta siła z wewnątrz paszczę Hrabiemu rozdziawiła i wybuch nastąpił na kelnerską tacę. Śmiał się coraz głośniej. Swój nieszczęsny galop widział. Spojrzał na niego teść. Spojrzała teściowa.

– Z czego się śmiejesz? – pyta Panna Młoda.

Wykręcił się sianem. Na kogoś za stołem pokazał. Akurat zwałił się w misę z kapustą.

– Opiły się chłopcy – powiedziała teściowa. – Co w tym śmiesznego? – Nadal spoglądała podejrzliwie na miastowego zięcia.

Panna Młoda głowę do jego ramienia przytuliła. Żonka pieszczoty pragnie. Uśmiechnęli się ze zrozumieniem starsi gospodarze.

– Pani Lucynko... – mówił czule Prezes – nie ma co ukrywać. Działa pani na mnie jak piorun, psiakrew! – Dłoń niepewnie na jej udzie położył i czekał. Nie przegnała go jednak. Wskazującym palcem odsunął spódniczkę i głębiej dłoń wcisnął. Gorące ciało. Parzy. Oczy jak kocur przymknął. A Lucy nadal spokojna. Może nie czuła tego wcale?

– Zazdroszczę panu tej Ameryki. – Patrzyła na Naukowca. Prawdę mówiła. Głos tęskny, twarz złagodniała. Ameryka!... Wiedzę o losach Poli Negri, która z warszawskiego kopciuszka stała się gwiazda pierwszej wielkości, posiadała imponującą.

Prezes oczy otworzył i też pozazdrościł tej Ameryki. Jego dłoń znieruchomiała na udzie kobiety.

Wyjeżdża sobie, okularnik, tam za robotę dobrze płacą. Przez chwilę tego samego zapragnął. Spokojnie, bez nerwów. I splywa dobry pieniądz do dobrego pieniądza.

Ale zagaśł szybko. Co ja bym tam robił – przeciął tę rozterkę i ze zdwojona energią do Lucy się zaczął zabierać.

Literat zapragnął świeżego powietrza. Rozboleła go głowa. W sionce Komendant zagroził mu drogę. Kołysał się na szeroko rozstawionych nogach.

- Dam panu zagadkę.
- Słucham?
- Kto tu rządzi?
- Partia – odpowiedział Literat.
- Nie tylko – roześmiał się Komendant.
- Wiem, wiem. Łuczakowie.
- Zgadł pan – ucieszył się Komendant.

Stanęli na schodkach. Ogarnęło ich świeże, ostre powietrze zimowej nocy. Rozszczękał się Reksiu. Za nim inne psy we wsi. Psi chór jazgotał zajadle. Skarupa Zbyszek, wsparty o płot, rzygał z przerwami. W przerwach klął i dłonie na sztachetach zaciskał.

Przypatrywali się wsiowi młodzieńcy.

- Wzięło go.
- Mnie tam nigdy nic się nie wypśnie, choćbym nie wiem ile...
- Ten zza kościoła to robi pod siebie, jak pochła za dużo.
- Nie jest źle tak sobie ulżyć, można od nowa zaczynać.

A Skarupa Zbyszek tylko stękał. Złość go brała na to gadanie, ale nie mógł odpowiedzieć.

Ktoś niewidoczny w ciemności płaśał jak w tańcu. Wreszcie zwałił się przy psiej budzie. Skarupa Zbyszek doszedł do siebie. I na żarty mu się zebrało. W rewanżu za to gadanie przed chwilą. Jednemu z wsiowych nogę podstawił i zaraz odskoczył. Tamten padł jak ścięty. Niezgrabnie podnosił się z ziemi. Wreszcie wstał i zaryczał: – Który to?!

Najbliższego za klapy chwycił i przez łeb dzielił. Cieszył się wrednie Skarupa Zbyszek. Wrzask, złorzeczenia.

– Spokój, obywatelu! – zagrzmiął Komendant. – Proszę się rozejść!

Rysiek Urzędnik dźwignął się ociężale od weselnego stołu. Najedzony i opity. Tak snuł się po chałupie. W kuchni spał na ławie Powstaniec. Gospodyni zmywała talerze. A ten Wewióra z suchą łapą ostrzył nóż. Popluwał na osełkę i z lubością przesuwiał po niej ostrzem. Wecował a wecował. Śmiały mu się do noża ponure, głęboko schowane oczy.

– No, starczy, sąsiedzie. – Gospodyni wyciągnęła rękę.

Ten Wewióra z suchą łapą, pozbawiony noża, przygaśł od razu i poszarzał. Zajrzał Rysiek Urzędnik do tej izby, gdzie tańce przedtem się odbywały. Pusto tu. Tylko w kącie chłopak z dziewczuchą się tarmosił.

– No, co taka jesteś... – dyszał.

Wyszedł zaraz stamtąd. Chwilę postął w sieni. Słyszał krzyki z podwórka. Ale tam iść mu się nie chciało. Jeszcze jakieś drzwi zauważył. Nacisnął klamkę i wszedł do wnętrza. Za nim wsunął się brat Młodej. Już od dłuższego czasu skradał się krok w krok, a w garści ścisnął butelkę. I zamachnął się tą butelką. Ale Rysiek Urzędnik był szybszy. Odsunął głowę. Butelka w ścianę... Posypało się szkło. Ryśkowi wargi zbieleły. Pochylił się i za chwilę miał w dłoni szyjkę butelki najeżoną szklanymi zębami. Do brata Młodej postąpił.

– Będiesz miał prawdziwą grawerkę – chrypnął. – Wyprzystojniejesz, ty... — czerwone kręgi migotać mu zaczęły przed oczyma.

Tamten cofnął się. Wkrótce już nie miał gdzie. W kąt między piec i drzwi się zaklinował. Zębata broń zbliżała się do jego twarzy. Skowyczeć zaczął. Grawerska pieczęć tuż. Wtedy to

do tej pustej izby, gdzie tylko stało szerokie łoże przygotowane dla młodożeńców, wpadł Hrabia. Zasłonił sobą brata Młodej i zręcznie dłoń kolegi z tą kolczastą szyjka unieruchomił.

– Co ty?! – powiedział wzburzony – szwagra mojego?

Brat Młodej z izby się wymknął.

– W porę przyszedłeś – Rysiek Urzędnik ochłonął już. – Coś mnie naszło. Nienawiść taka... – Zastanawiał się na tym. – Jeszcze siłę do walki mam – uznał.

– Przecież – powiedział z wyrzutem Hrabia – zaprosiłem was nie po to, żebyście popsuli mi wszystko.

Znów podwórze. Skrzypią wierzeje stodoły. Hałas tam jakiś. Literat, ulżywszy sobie na boku, a więc otrzeźwiony znacznie, zbliżył się ostrożnie, powodowany swą wszędobylską ciekawością.

Wierzeje uchyliły się szerzej. Zobaczył postacie kłębiące się na sianie. To Czarodziej Długi Nos dokazywał z rumianym Traktorzystą. Do rozporoka mu się zabierał.

Muszę zobaczyć twojego psiurka, kochany! – dyszał, a nadzieja osiągnięcia dochodziła szczytu.

Palce już oplatały zdobycz w głębi spodni. Traktorzysta oprzytomniał znieacka.

– Pójdiesz, ty świński ryju! – wstrząsnął. A na siebie niżej pasa jak na pobojuwisko popatrzył. Rozpór rozpięty, koszula z niego wyłazi. Zdumiony też poniekąd, bo sprężona broń jednak.

Chwycił za kołnierz napastnika. Tarmosić nim zaczął.

– Jasiu – szeptał Czarodziej – ja tylko tak sobie, no wiesz, po przyjacielsku...

– Po przyjacielsku! – rozwścieczył się Traktorzysta – łapę mi pakujesz do przyrodzenia, za ptaka się chwytasz! – Zamachnął się na odlew. Kłaśnięcie niczym biczem.

– Kochany, katuj, masz rację, katuj, moje ty brzydutki krasne, rzepo ty moja słodziutka...

Traktorzysta, przytłoczony tym potokiem miłosnych zaklęć, cofać się zaczął jak do diabła. Ze stodoły wyskoczył.

– Jaja takiemu wyrwać! – zawołał jeszcze.

Czarodziej Długi Nos na sianie pozostał. Zwinął się w kłębek i pojękiwał cichutko. Roila mu się wizyjka krzepkiego ciała Traktorzysty, Siano paluchami rozgarniał i coraz bardziej męczyły go łakome zwidy.

Lucy dygocząc z zimna za ustronnym miejscem się rozglądała. Dwóch zalotników zabiegło jej drogę, ale odtrąciła ich energicznie. Znalazła wychodek. Przylepiony z tyłu do stodoły. Zamknęła się na haczyk i rozsiadła. Myślała o tym, owym... Nawet lodowaty wiatr, co od dołu wiał, przestał jej dokuczać. Już trzeci rok jest bufetową w „Obywatelskiej”. Wrzask, pijaków tłum, piwko najchętniej piją, zarobek, owszem, ale taki ciułaczy, grosik do grosika. Z niechęcią myślała o tym. Ale miała pewne widoki. Różowa przyszłość występowała. Nieśmiałym jeszcze konturem. Uśmiechnęła się tęsknie. Pewien znajomy obiecał ulokować ją za barem w nocnym lokalu kategorii S. Jak tęcza te nowe widoki dla Lucy. Już tam za barem zasiadła. Gościom nalewa Martella. Niekoniecznie musi być Martell, Martineau, Napoleon, Camus, Armagnac... Potem zaczęła rodzaje whisky sobie wyliczać: Black and White... Red Label... Rozległy się natarczywe uderzenia w drzwi wychodka. Skrzywiła się tylko i nadal była w świecie marzeń. Ten widok z za baru: parkiet, dyskretne światła, goście rzędem na wysokich stołkach. Cudzoziemiec może się trafić. Patrzy jej głęboko w oczy. Z zagranicy pojawiają się tacy. Uderzenia w drzwi wychodka powtórzyły się. Zakołysał się wychodek. marniutka to budowla. I głos niecierpliwego: – Co tak siedzicie jak na sumie?!

Marzenia przysły. Już tylko zimny kibel, z dziury wieje lodowato. Lucy otworzyła drzwi. Siedziała jak na tronie, zaplątana w majtki i rajstopy.

– Jak ci przyglądam w ten głupi łeb – wrzasnęła – to dopiero będziesz miała sumę!

Spłoszyła się nagle. W progu wychodka matka Panny Młodej stała. Ta stara kobieta o twarzy surowej, jak wyciosanej z kamienia, uczesana w koronę. Nic nie odpowiedziała.

– Doprawdy, przepraszam – mamrotała Lucy – doprawdy...

Tamta wzruszyła ramionami i odeszła.

Chociaż gwar rozbrzmiewał na podwórzu i pijani weselnicy miotali się w rozchybotanym płasie, to z tyłu, od ogródka panowała cisza. Drzwi na ganek otwarte i Leśniczy z nauczycielką Rohotycką, przytuleni do siebie, jak jeden posąg wyglądali. Urodziwa ta nauczycielka. Twarz miała śniadą i wielkie, pałace oczy. W typie nie nasza jakby.

– No, śmiało – zachęcał ją Leśniczy – proszę...

Po chwili ona śpiewać zaczęła. Ale też nie po naszymu.

– U susida chata biła,
u susida żinka myła,
a u mene ni chatynky,
nie ma szczastia,
ne ma żinky.

Zasłuchali się starsi gospodarze, którzy na ganek wylegli, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nauczycielka dalej śpiewała.

– Każu, Andziu,
wstań raneńko,
pryberysia czuprneńko,
wona jak wid'ma
cokocze i wstawaty ne chce.

Głos miała głęboki, dźwięczny. Melodia smętna, aż coś w duszy świdrowało.

Weselny Gospodarz bliżej podszedł. Czoło zmarszczył i wzrok w nauczycielce utkwiał.

– Swołocz – wymamrotał i splunął.

Zerknął niepewnie na Leśniczego. Czy aby nie usłyszał? Ale oni znów tulili się do siebie.

– Też ludzie – powiedział Literat.

– Ludzie! – rozżościł się Gospodarz. – Ancykrysty!

Leśniczy z nauczycielką Rohotycka powoli schodzili po schodach. Zniknęli w ciemności.

– I swoi swoich także samo mordowali – odezwał się stary Wewiora z suchą łapą. Rozkaszał się hałaśliwie, skrzyphiał i rzeził. – Jak mus, to mus – dało się słyszeć przez ten charkot.

Literat oparł się o szorstki, guzowaty pień drzewa. Gwar z podwórza nie dochodził tutaj wcale. Sam nie wiedział, jak tu dotarł. Krok po kroku oddalał się od jasno oświetlonych weselnych okien. Aż ogarnęła go ciemność. Czarniejszy od nocy zarys sąsiedzkich zabudowań. I tak czołem oparł się o ten zimny, szorstki pień. Uniósł głowę i patrzył w niebo z bladym krążkiem księżycy. Dalekie, obojętne niebo.

I nie wiadomo czemu Marszałek Piłsudski mu się przypomniał, czyli Dziadek z opowieści ojca. Jak to stary i chory już, snuł się po Belwederze i złorzeczył: – Obleję naftą, podpalę to wszystko! – Widział go też. Wąsaty, zgarbiony. Tylko ta rozpacz życie uciekające w nim zatrzymywała. I jeśli dawniej śmiał się z tej opowieści, to teraz ogarnął go strach. Tak. Po prostu strach. Zapadał się. Zabrakło fundamentów. Patrzył bezradnie na księżyc. Blady krążek na zimowym niebie. Dalekie, obojętne niebo. I głowa ciężka, pełna kamieni.

– Trzeźwieję – powiedział.

Postanowi napić się wódki. Chrzęściła ścięta mrozem trawa. Wchodząc do chałupy zderzył się z Komendantem.

Komendant za potrzebą wyszedł i już rozporek rozpinął.

– Obywatel pisarz za materiałem do książki się rozgląda – uśmiechnął się, a oczy pozostały zimne, badawcze. – Czy nie tak? – Literat wzruszył ramionami. – Będziemy oczekiwać na nową pozycję z dużym zainteresowaniem.

Wtedy Literat przypomniał sobie dwóch małoślatów krótko ostrzyżonych, którzy na widok mundurowego gliny zaszczekali jednocześnie. Strugą zaszumiało w ciemności. Szczał Ko-

mendant jak koń. Wesele kończyło się już. Noc też. Muzykanci poszli sobie. Tylko harmonista, Ferdynand Bladicz, zasnął, wsparty broda o instrument. Chrapał i pogwizdywał. Ostatni palec jego prawej dłoni ozdobiony był długim, zakrzywionym jak szpon paznokciem. Niektórzy goście również posnęli. Głowy im opadły w talerze, włosy rozsypały się strakami. Stół jak pobożowisko, niedopałki i popiół. Patrzyła po stole zatroskanym wzrokiem Gospodyni. Roboty z porządkiem będzie huk. Kilku biesiadników popijało jeszcze. Zebrali się w kącie i pociągali prosto z butelki. Komendant pas z kaburą na poręczy krzesła powiesił i kołnierzyk munduru rozpiął. Rozparty jak basza, gardłował niezmordowanie.

– Już ja mu dałem popalić! Sami wiecie, potrafię ja to zrobić.

Ten Wewióra z suchą łapą potakiwał skwapliwie. W niego to Komendant paluchem dźgał.

– I jak będzie trzeba, dam mu jeszcze takiego czadu...

– Rysiu – zaszemrała jego żona. – Nie denerwuj się tak, Rysiu!

Ten bardziej zapalczywy z Sauterzaków, Robert, twarz dziko wykrzywił i chciał coś powiedzieć, ale brat ścisnął go za ramię.

– A na koniec – powiedział Gospodarz – golniemy sobie naszego koniaku.

– Ja nic o tym nie wiem – rzekł Komendant.

Pojawiła się butelka po winie. Komendant powąchał ze znawstwem.

– Z dobrego zacieru – stwierdził. – i nieźle oczyszczony

Wypili.

Skarupa Zbyszek i Kierownik POM-u z hałasem obśliniali sobie policzki. Po brudziu już byli. Kierownik POM-u kołysał się z lekka. W Lucy żarłocznie się zgapił. Lucy różową bluzkę na piersiach obciągała. Ten widok zaraz Prezes mu przesłonił. Uwijał się przy Lucy zwa-wo.

– No i widzisz, kochana – mówił – przyszli, wsadzili, pytają, gdzie to jest, ja na to: proszę bardzo, szukajcie, szukali, nic nie znaleźli, puścili i jeszcze przepaszali, sama widzisz, kochana...

– Gdyby nie ja! – Komendant pogroził mu żartobliwie.

– On! – prychnął Prezes. – Gdzie tam on... A jeden to, moja kochana – tym razem ściszył głos – miał bogactwa, miał a miał, tyle że szczęścia mu zabrakło, piętnaście kilo złota u niego wykopali – uśmiechnął się błogo – wcale nie takie duże sztabki, złoto ma swój ciężar i schować łatwo. Na przykład sto kilo – rozejrzał się i wskazał na skrzynię telewizora – nie będzie więcej jak pół tego pudła.

– Milionerzy – zakpił Naukowiec.

– Tobie łatwo tak gadać – na to Literat.

– Rozumiem cię doskonale – przytaknął uprzejmie Naukowiec – jesteś skazany na język.

W tym, niestety, tworzywie pracujesz.

Do reszty rozzłościł Literata. Ta wyższość zza okularów. Gęba nieruchoma, zimna. Ryba. Prowokacyjnie na nosk bucika mu nacharkał. Plwocina na czarnym, wyglansowanym buciku jak gnój rozkwitła. Mała to jednak satysfakcja. Tamten nie zareagował wcale. Tylko bibułką wytarł starannie zabrudzone miejsce.

Literat bimbru resztę z butelki pociągnął. Nie mógł usiedzieć spokojnie. Więc przeszedł do kuchni. Zapatrzył się tępo przed siebie. Gospodyni zmywała talerze.

– Może papierosa? – Kierownik POM-u uśmiechnął się życzliwie.

Powoli odwrócił głowę. Przyjrzał się temu najmłodszemu z powiatu. Smolisty czub, bystre, uważne oczy. Sprężysty taki i suchy. Ożywił się naraz. Papierosa nie przyjął, ale chwycił go mocno za rękaw.

– Szczurze życie! – wybuchnął. – Wszyscy zgnojeni, wszyscy zgnoić się dali. Tak, tak, pan też, ja, wszyscy, nie ma wyjątków.

– Nie rozumiem – Kierownik POM-u wzruszył ramionami i chciał odejść.

– Daliśmy się załatwić – Literat nie puścił jego rękawa. – Każdy jak niewolnik, wie pan, byli tacy galernicy, do wiosł na zawsze już przykuci.

Potrzeba tego gadania rosła w nim niepohamowanie. Patrzył na śpiącego Powstańca. Na jego usta rozchylone. Na ślinę sączącą się po brodzie. Na wąsik sterczący jak szczotka. Na ręce zwisające z ławy i nogi rozrzucone nieprzyzwoicie. Porzucona zepsuta lalka. I aż zadygotał.

– Jak tak można zrezygnować ze wszystkiego?!

– Co się czepiasz człowieka – powiedział Rysiek Urzędnik. I krzywy, nieprzychylny uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Szajba ci odbiła? Gorzała źle poszła? – mówił. – On żyje, jak trzeba, nie pojmujesz, robi co każą, i o siebie też umie zadbać, co więcej można, nic. Nie czepiaj się człowieku – powtórzył. – Ty, lewy inkwizytor. Sam też portkami trzęsiesz, łapę ci nad papierem paraliż zatrzymuje. No nie?

– Więc gnojki z nas tylko – zgodził się Literat. – Masz rację.

– Takie już pokolenie. – Krzywy uśmiech nie opuszcza twarzy Ryśka Urzędnika. – Przetracone w krzyżach. Choć nie wszyscy. Hrabia mocno przecież stanął na nogi. Albo Tosiek, znałeś Tośka, też kiedyś desperado, młody gniewny, buntowuszczyk, z więzienia do więzienia, cały obtatuowany, a teraz dygnitarz, tylko długie mankiety nosi, żeby tych węży, sztyletów i nagich bab nikt nie zobaczył. Coraz wyżej ląduje... – Naraz spoważniał. Tylko jeden był inny.

I zobaczył Go w nagłym błysku pamięci. Plac wypełniony wielotysięcznym tłumem. Monumentalna budowla w dalszym planie. Czerwień transparentów i to ciepłe ludzkie rojowisko, oczekujące na uroczyste przemówienie przywódcy.

Ostatnie próby mikrofonu: – raz, dwa, trzy, cztery, pięć... – ozdobiona kwiatami trybuna. I nagle wtargnął tam On. Wyrwał temu z technicznej obsługi mikrofon, uklonił się z wdziękiem. Już z tyłu podbiegają do niego porządkowi. Zawsze był sprawny, łatwo dał sobie z nimi radę.

– A teraz!!! – powiedział donośnie do głośnika, gigantofony rozniosły jego głos wszędzie – Lili Montelli dla mas pracujących! – I zaśpiewał: – „O sole mio...”.

Ładnie śpiewał. Nie kończąca się owacja. Gromki, życzliwy śmiech tłumu. Kłania się, rozsyła dłońmi pocałunki. Wreszcie zmoгли go w kilkunastu. Wierzgającego i ciągle jeszcze powtarzającego: – „O sole mio” – znieśli z trybuny.

Taki był nieobliczalny. Kiedy zmarł Wielki Nauczyciel, zastygłe w smutku uniwersyteckie audytorium poraził jego śmiech przenikliwy, dźwięczny, a potem to głośno rzucone: – Uff, ulga!

Usunęli go ze studiów. Zniknął na długi czas. Wrócił blady i wynędzniały. Ale śmiał się dalej.

– Montelli – mówili wtedy – przestań, nie kozakuj, wykończą.

– A chociażby... – śmiał się zaraźliwie – przynajmniej zdechnę na stojąco. W pozycji walczącej, rozumiecie...

Przyjaźnił się z nim Rysiek Urzędnik. Ale nigdy tak nie ryzykował. Bał się.

– Rozumiem cię doskonale – mówił Łagodnie Lili Montelli – ja też mam pietra, ale co robić, zawsze wypada na mnie. – Pokazał dwie zapałki w zaciśniętej dłoni.

– Ciągnij.

Wyciągnął dłuższą.

– Widzisz, tym razem też ja.

I kiedyś gdy tłum pod batutą dyrygenta skandował: – Precz! Precz! – Lili Montelli wykrzesał chwilę ciszy dźwięcznym głosem: – Niech żyją!

– Kto? – zaryczał ogłupiały prowodyr.

– Oni – odparł Lili Montelli – ci potępieni.

– Doprowadzony... – zaczął konwojent.

– Sam powiem – przerwał grzecznie Lili Montelli – doprowadzony w wyniku zajścia, gdzie głośno dawał wyraz swojej odmiennej opinii w kwestii...

– Starczy – powiedział ten z za biurka. – Nazwisko?

– Montelli.

– Jak? – wstaje tamten.

– Włoskie, oczywiście przybrane, Lili Montelli, wie pan, Italia, słońce, Capri i Leonardo, śpiew, zresztą nie tylko, również Franciszek z Asyżu, wie pan, miłość bliźniego i ptaszki.

– Milczeć! – uderzenie pięścią w biurko.

I ciągle te jego oczy, szalone, kpiarskie i nieprzejednane. Wspomnienie zamknął obraz narzanego październikowym słońcem placu z wielotysięcznym tłumem i to urwane w połowie – „O sole...”

– Nie ma go już – powiedział ponuro Rysiek Urzędnik.

Milczenie. Plusk wody, szczęk zmywanych talerzy. Literat chrząknął zawstydzony swoim wybuchem.

– Przepraszam – wyjąkał.

– Galernicy, powiadasz pan... – zastanowił się Kierownik POM-u. Nic właściwie z tego nie rozumiał, ale poczuł się w jakiś sposób dotknięty. – Tchórz to ja nie jestem – powiedział gniewnie.

Gospodyni akurat dorzuciła węgla do ognia i blacha rozpalila się do czerwoności. Kierownik POM-u niespodzianie palec przytknął do blachy. Swąd, skwierczenie. Nie drgnął nawet, tylko szczęki zacisnął jak zawiasy.

– Widzicie? – podniósł do góry przypalony palec.

Więc i Literat tę próbę z palcem chciał powtórzyć. Ale Gospodyni chwyciła za pogrzebacz i nikogo już nie dopuściła.

– Powariowały chłopcy!

Pierwszy družba wtoczył się z dziewczuchą do kuchni. Ona się zapierała. On ja popychał kolanem. Coraz mocniej przyciskał. Jedną łapą cycki miętosił, druga z dołu próbował gmerać. Ona go za włosy, aż kwiknęła. Roześmiani oboje.

– Też będzie wesele – Gospodyni na brzuch dziewczyny pokazała. Pierwszy raz dzisiaj wesołość zaigrała na jej twardych, wąskich wargach.

– Gdzie ja jestem! – ocknął się nagle. Powstaniec. Zerwał się z ławy. I wybiegł z chałupy.

Przy biesiadnym stole opustoszało zupełnie. Gospodarz Hrabiego do siebie przywołał.

– Znakiem tego, zięciu – powiedział stary, spoglądając na niego surowo – zostajesz pod naszym dachem.

Hrabia przytaknął. Trzymał się jeszcze jako tako, trochę tylko klapy poplamione i muszka przekrzywiona, ale włosy starannie przyczesane i twarzy nie opuszczał ani na chwilę grzeczny uśmiech.

– Tak więc, zięciu – ciągnął Gospodarz – dałem ci córkę i u mnie źle ci nie będzie, gospodarzę mam niemałą. Tylko – pogroził mu pięścią – w ziemi robota ciężka i tu nie można się migać.

Hrabia przytaknął gorliwie.

– Wiem, wiem. Tyrać trzeba od skowronka do żaby.

– Że co? – nie zrozumiał Gospodarz.

– To znaczy harówka od świtu do nocy – wyjaśnił Hrabia.

– A żebyś wiedział! – podniósł głos Gospodarz.

Chwyciła go czkawka. Wtedy Hrabia opuścił teścia i z galanteria starego lowelasa podał ramię Pannie Młodej.

– „Milutka, jaka postać twa zgrabniutka” – zanucił. Przyciągnął ją do siebie i dodał: – „Wieczór swą melodię rozplótl i kołysze miasto do snu, i kołysze do snu nas...” – Panna Młoda patrzyła na niego z zachwytem. Hrabia, drobiąc śmiesznie krok, kilka tanecznych przejść z

nią wykonał. Następnie szczytnął ją lekko w pośladek i popchnął do tej izby po drugiej stronie sionki, przygotowanej już zawczasu dla młodożenców.

– Dla nas fajerant – powiedział, znikając za drzwiami.

Stół jak pobjowisko i wesele skończyło się już. Ostatni goście wychodzili na podwórze. Ciemność się przeredzała. Mróz ciągle trzymał siarczysty. Józwy z Wygwizdowa syn przysnął na schodkach.

– Jeszcze zamarnie – zatroskał się Literat.

– Iii tam, nic mu nie będzie – powiedział flegmatycznie Gospodarz.

Sauterzaki zlorzecząc napierali na kogoś cofającego się pod płot. Gospodarz rozgonił ich, wymachując łagą. Skrzypiały drzwi wychodka. Tam też ktoś przysnął.

Trzy furtki pełne weselnych gości wyjechały z podwórza. Potem Wołga z Komendantem i jego żoną. Młodzi przetoczyli się hałaśliwą gromadą. I cisza. Zapiał pierwszy kogut. Ze stoły jak wąż wypełznął Czarodziej Długi Nos. Rozejrzał się czujnie i czmychnął gdzieś.

Chałupa opustoszała. Gospodyni modliła się żarliwie przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Gospodarz stanął pod świętym obrazem. Za ścianą skrzypiało łóżko. To Hrabia żonie swojej dogadzał.

Zmacham bachora – myślał przez trud i pot – wtedy dopiero się urządzę. Na zimno i pracowicie zmagął się z ciałem kobiety. Ona rozdygotanym z rozkoszy głosem powtarzać zaczęła: – Jezu, Jezu słodki!

Ten hałas z pokoju, gdzie spali młodożenci, przykuł uwagę Gospodarza. Wsłuchał się i w zamyśleniu nieco figlarnym, jakby młode lata mu się przypomniały, kiwać począł głową w takt tej muzyki.

Szli na skróty po zmarzniętej grudzie. Wieś jeszcze spała. Z obór dochodził chrzęst łańcuchów i szelest siana. Senne odgłosy bydłowej nocy. Szaro i ponuro. Niewyraźne kontury wszystkiego. Pustka. Ziab przenikał dokuczliwie za ubranie.

– Godzina wilków... – powiedział Literat.

– W taki czas – zamamrotał Rysiek Urzędnik – wyrodne matki swoje bachory pod drzwiami obcych domów podrzucają, a policja ludzi z ciepłych łóżek wyciąga...

Literat zatrzymał się raptownie.

– Rzygać mi się chce.

– To sobie... – Rysiek Urzędnik znacząco dwa palce do ust.

– Nie da rady – odparł Literat – to siedzi zbyt głęboko.

– U mnie to samo – powiedział Rysiek Urzędnik – Na to nie ma rady.

Ruszyli dalej. Na niebie pokazało się czerwone światełko. Odrzutowiec.

– Gdzie leci? zastanawiał się Rysiek Urzędnik. – Paryż, Londyn... – Zadarł głowę i patrzył.

– A my... – zawiesił głos – tak się telepiemy i telepiemy.

Chrystus z przydrożnego krzyża zwiślał nad drogą. Krzyż pochylony ze starości i Chrystus bez jednego ramienia.

– On to się napatrzył – powiedział Rysiek Urzędnik. I już go nie opuszczał ten Chrystus przydrożny.

– Do stacji mamy trzy kilometry – odezwał się Literat – trzy kilometry... to znaczy około godziny...

Mijali budynek klubokawiarni. Jarzeniówki świeciły trupio we wnętrzu. Krzeselka do góry nogami na stolikach. Roześmiał się. Miał wieczór autorski w podobnej klubokawiarni właśnie. Mówił wtedy z zapalem o literaturze. Zapalił się do tematu. Siedzieli przed nim chłopcy w gumiakach i kobiety z rękoma splecionymi na podolku. Aż wreszcie ocknął się, zadziwił. Wszyscy spojrzenia mieli skierowane w jedną stronę, gdzieś w lewo od niego. Obejrzał się. A tam z tyłu na telewizyjnym ekranie płynęły obrazy bez dźwięku.

– Może przeszkadzam? – wybuchnął zirytowany.

– Skąd, niech mówi, my słuchamy i patrzymy na obrazki – odpowiedzieli chórem obecni...

Rysiek Urzędnik tę opowieść przyjął bez uśmiechu.

– I tak ci zazdroszczę. Wolny jesteś. Tylko papier i pióro. A ja co? – zwiesił głowę.

– Szmaciany papier, szmaciane pióro – burknął Literat.

– Czy wiesz, że ja też byłem działaczem? – zapytał nagle Rysiek Urzędnik. –Przytaknął. – Takim szczeniakiem gorącym. Poświęcenie, budowa, walka... I tak szybko, strasznie szybko odpadłem... Racja nadrzędna... – zaśmiał się szyderczo. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, co znaczy racja nadrzędna. Albo co innego subiektywnie, a co innego obiektywnie... I patrzę: ci obiektywni robią kariery. Co innego mówią, co innego myślą. Tylko oni potrzebni... No innego mówią, co innego myślą. Tylko oni potrzebni... No i odpadłem z gry. Byłem zbyt subiektywny – bezgłośnie tylko poruszał ustami. – A znałeś ty Lili Montelli? – podniósł głos. Literat nie znał. – To go już znać nie będziesz. – I machnął ręką.

Dochodzili do kościoła. Wtedy to zza cmentarnego muru wyskoczyła wataha wsiowych. Biegli do nich, wrzeszcząc i przeklinając. Stanęli zdumieni. Wsiowi już dobiegali. Na czele Traktorzysty.

– Bić skurwielów! – zaryczał i hamulcem cisnął. Literat ledwie zdążył uchylić głowę. Z szarówki wynurzył się brat Panny Młodej. Z drągiem do Ryśka Urzędnika podbiega. Ten znieruchomiał, żadnego gestu, nic. Literat pociągnął go za rękę.

– Pękamy!

Rzucili się do ucieczki. Pędzili polem, zagajnikami, znowu polem. Tupot i przekleństwa ścigających oddalały się coraz bardziej.

– Chwała Bogu! – wysapał Literat.

Ale jeszcze na wszelki wypadek zmobilizował ostatek sił i przyspieszył. Rysiek Urzędnik za nim.

Na podwórzu weselnej chałupy wsiadał Prezes do swojego Fiata. Wóz to na żółto pomalowany, ale w szarówce nie widać tego koloru zbyt wyraźnie. Więc wsiada Prezes z rozmachem jak do bryki. Bryka zakołysała się. Szerokim, gościnnym gestem wskazał Lucy miejsce obok siebie. W jego typie ta Lucy, do końca o niej pamięta. Potem spojrzął krótko na Skarupę Zbyszka, czyli Herberta Morana. Jego zaprosił na tylne siedzenie. Rozejrzał się jeszcze i wzrok zatrzymał na Naukowcu. Też go zaprosił do wozu. Ale ten grzecznie odmówił. Za stołą stał Volkswagen malutki.

– No tak – powiedział przeciągle Prezes i zerknął na Volkswagena, wyraźnie ze swoim Fiatem porównując.

– Rozumiem – dodał.

Spojrzeniem przesunął po wnętrzu swojego wozu. Poprawił okrycia. Tapicerka była czerwona i na niej skóry baranie.

– Wygląda to nieźle, co? – szukał Prezes uznania. Lucy i Skarupa Zbyszek przytaknęli skwapliwie. – A kosztowało... – westchnął Prezes i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Pchał się do samochodu jeszcze jeden taki, ni to wsiowy, ni miastowy, w przykusych spodniach i laminatowym płaszczu z kołnierzem ze sztucznego tworzywa.

– Panie prezesie – do okienka głowę wsunął. – I mnie podrzucić kawalątko, zaraz przy warszawskiej szosie wysiądę.

Jego Prezes odpędził stanowczo.

– Bo przytnę główkę – dodał złośliwie.

Ruszył z podwórza. Od razu ostro.

Lucy rozbawiona: – Tak ten łeb do okienka jak indyk pchał.

Prezes przerzucił biegi i docisnął gaz. Pomknęli wyboistą drogą między chałupami.

– Jak indyk, powiadasz, lalczko? – Prezes wykorzystał zakręt i do Lucy się podsunął. Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą po udach Lucy buszował. Nie napotkał oporu. Jego dłoń coraz wyżej sunie. Skarupa Zbyszek z tyłu zadrzemał. Słyszał chichot Lucy. Ale nie

przejmował się tym wcale. I tak pędził ten Fiat. Kiedy mijali kościół, gdzieś z pól dały się słyszeć przekleństwa i krzyki.

– Kogoś dopadli – mruknął Prezes. Jego dłoń do kobiecego gniazda już dotarła. – Nie ma, kochana, porządnego wesela bez mordobicia. – Wskazówka szybkościomierza do osiemdziesiątki dochodziła. Wyjechali na żwirową drogę. Minęli dwie furki weselne, spali ludzie na workach, woźnica też, kołysali się z boku na bok. Dopiero warkot samochodowego silnika wyrwał ich ze snu, unieśli głowy i popatrzyli.

– Chłopstwo – powiedział z pogardą Prezes. Sam też wsiowego pochodzenia, ale się nie poczuwał. I ledwo to powiedział, pokazała się na drodze trzecia weselna furka. Ta, co najwcześniej wyjechała. Z nagłą zamajaczyła przed samochodem. Nie zdążył Prezes zahamować. Nawet dłoń spod spódniczki Lucy wyszarpnął i kierownicę oburącz chwycił, ale było za późno. Rosła w okamgnieniu ta furka. Lucy zawyła histerycznie. huk, zgrzyt i pisk opon. Fiatem zarzuciło. Przednie koła nad rowem zawisły. Furka zachybotła się i w poprzek drogi się ustawiła. A jeden z furki jak wystrzelony z procy na szosie wylądował. Podniósł się przeraźliwy wrzask bab. Samochód przechylił się zarył w rowie. Prezes tkwił skamieniały przy kierownicy, na czole wyrósł mu pokaźny guz, bo głową w szybę wałnął. Lucy wyła niczym suka do księżyca. Ocknął się Prezes. Dłonią po czole przesunął. Spojrzał wściekle na Lucy.

– Zamknij się, ździro!

– Jak ty, nygusie, do mojej żony! – poderwał się z tylnego siedzenia Skarupa Zbyszek.

Ale Prezes nie zwrócił na niego uwagi. Wygramolił się z wozu. Pomyślał, że to kobylista dupa Lucy powodem wypadku. Do tej dupy ręka mu przecież sama poszła, a i oczy też. Obejrzał samochód. Nie tak źle. Błotnik wgnieciony i jedna lampa rozbita.

– Jezu, Jezu! – zawodziły baby z furki.

Spłoszony koń dęba stawał. Zbliżył się Prezes do ofiary wypadku. Leżał ten człowiek twarzą do ziemi i krew kałużą się rozlewała. Pochylił się. Dłoń bezwładną do góry uniósł. Zbadał puls.

– Żyje – stwierdził.

Baby ciągle zawodziły.

– Cicho, głupie! – tupnął nogą. Koń wreszcie uspokoił się fujarę wielką jak kicha wystawił. Szczać zaczął. Imponująca to kicha. Lucy się zagapiła. Mało co ze wsią miała do czynienia i ten dziw natury z końskiego krocza oszołomił ja naprawdę.

Prezes patrzył gniewnie na kobiety z furtki i coś jeszcze chciał powiedzieć. Ale nie powiedział. Dał się słyszeć warkot motoru. warkot przybliżał się szybko. Żółte światła też. Motocykl z przyczepą zatrzymał się przed zdewastowaną furtką. Dwaj milicjanci z niego zsiadli. Prezes sprężył się jak osaczony zwierz. I wielkim susem przesadził rów. Popędził w stronę brzoźowego zagajnika.

Dwaj milicjanci podeszli do miejsca wypadku.

– Gdzie kierowca? – spytali.

Skarupa Zbyszek pokazał oddalającą się szybko sylwetkę Prezesa. Chyżo pędził. Z powrotem do wsi biegł.

– Człowieka przejechał – powiedział Skarupa Zbyszek. – I dyla dał.

Milicjanci poszeptali między sobą. Jeden został na szosie, a drugi za Prezesem w pogoń się puścił. Ale słabiej biegł. W ciężkich buciorach i skórzanym stroju, w hełmie białym na głowie, z nadajnikiem kolebiącym się na biodrach wraz z pałką. Niezgrabnie mu w tym obciążeniu bieg wychodził, potykał się na grudzie i przystawał. Więc słabiej biegł. Prezes zaś nie ustawał w wysiłku, choć serce waliło mu jak szalone i pot zalewał oczy. Kapotę rozpiął, szalik z szyi zerwał i odrzucił; kapelusz zawadził o gałąź i na niej już pozostał. A on gnał. Wiedział, co robi. W tym biegu miał ostatnią szansę. Widać zabudowania wioskowe. Obejrzał się. Za nim w znacznej odległości milicjant. Bielał w szarówce jego hełm. Wpadł Prezes między płoty. Cztery zagrody. Trzy, dwie... Pchnął furtkę i już był na podwórzu weselnej chałupy.

Pies Reksiu do niego z ujadaniem – odrzucił go potężnym kopniakiem. Napał na drzwi i z sieni od razu wpadł do tej izby, gdzie niedawno ucztowali weselni goście. Paliło się tu światło i Gospodyni ostatnie talerze ze stołu zbierała. Była w nocnej koszuli, korona z włosów rozpuszczona na plecach. Odwróciła się. Przestraszyła na jej twarzy. Wyglądał Prezes jak zjawa, spocony, dyszący.

– Co wy? – wykrzyknęła Gospodyni.

Prezes do stołu dopadł. Butelkę z nie dopita wódką chwycił, przytknął do ust i pić zaczął chciwie. Grdyka pracowała miarowo. Tupot kroków na podwórzu, w sieni. Do biesiadnej izby wkroczył milicjant. Do Prezesa od razu. Ten akurat flaszkę opróżnił.

– Przejechaliście człowieka – powiedział milicjant. Balonik do sprawdzenia alkoholu z raportówki wyciągnął. – W stanie nietrzeźwym jesteście.

– A jestem – powiedział Prezes. – Ale nie byłem.

– Jak to? – milicjant balonik rozwija.

Ale Prezes balonika nie przyjął. Odsunął się nieco.

– Szok po prostu – powiedział – tak pobiegłem, sam nie wiem dlaczego, tu wpadłem i natychmiast do butelki.

Wytrzeszczył oczy milicjant. Prezes jego spojrzenie przyjął spokojnie.

– Świateł ta fura nie miała – dodał.

Do izby wszedł Gospodarz. Był tylko w białym. Podtrzymywał opadające kalesony.

– Pił ten człowiek? – zwrócił się do niego milicjant.

Prezes krótkim spojrzeniem ukłął Gospodarza. Gospodarz popatrzył na milicjanta, przeniósł wzrok na weselny stół, pokryty poplamionym obrusem, zastawiony resztkami jedzenia, osypany popiołem i pokurczonymi niedopałkami, najeżony baterią flaszek z wódką i bez wódki. Zmarszczył w długim namyśle czoło. Pokręcił przecząco głową.

– Ani łyka nie wypił – zaczął rozwlekle – siedział przy stole i nic, aż dziwno mi było, że tak może wytrzymać – ziewnął rozziewając.

Napięcie opuściło twarz Prezesa.

– Takie nieszczęście – westchnął.

Milicjant starannie zwinął swój balonik i wetknął do raportówki. Nic już po tym baloniku.

Uratował się Prezes. Cisza była w chałupie. Tylko zza ściany skrzyp miarowy zaczął dochodzić. Cicho, głośniejsze. W ten skrzyp jęki zduszone wplatały się coraz wyraźniej. To Hrabia piłował swoją ślubną małżonkę. Prezes oko znacząco przymrużył. Milicjant uśmiechnął się.

– Młodzi – bąknął Gospodarz.

1974

Zdarzenie w miasteczku

Rozdział I

Miasteczko jest niewielkie, lecz powiatowe. Jego zabudowania obsiadły wysokie zbocze skarpy. W dole, wśród łąk i wiklinowych chaszczy, wije się rzeka, a gdzieniegdzie bieleją piaszczyste łąchy, miejsca wielogodzinnego wystawiania amatorów wędkarstwa. Na łąkach często pokazują się bociany i kilka ich gniazd od lat ozdabia słomiane strzechy starych domostw nadrzecznych. Wnętrze Miasteczka można określić jako mało ciekawe. Brukowane kocimi łbami ulice rozbrzmiewają dwa razy w tygodniu turkotem chłopskich wozów podążających na targ przy ulicy Czerwonej Gwardii, dawniej Świętego Marcina, patrona tutejszej parafii. Wzdłuż ulic niskie drewniane domy z oknami pełnymi pelargonii i kaktusów. W słoneczną pogodę drzemią za szybami kocury, a staruszki w chustach nasuniętych na czoło martwo spoglądają przed siebie. Początek Miasteczka sięga odległych czasów, w XII wieku istniał tu już gród warowny broniący przeprawy przez rzekę. Teraz z grodu pozostały tylko zarośnięte chwastami wały obronne, teren letnich spacerów i miłosnych spotkań.

Dwa razy w historii pustoszyły miasto najazdy obcych wojsk, raz szwedzkich, a później rosyjskich. Z czasem trakt prowadzący przez rzekę stracił znaczenie i odtąd Miasteczko pędziło życie ciche i senne, z dala od zgiełku burzliwych wydarzeń, składających się na historię kraju. I nawet ostatnia wojna obeszła się z nim dość łagodnie, oprócz bowiem zburzenia kilku domów przez artylerię nic tutaj nie zaszło szczególnego. Jeśli chodzi o zabytki architektoniczne, to z dwóch murowanych kościołów farny wyróżnia się urodą i starożytnością. Romańskie jego kształty wskazują na wiek XIII. W narożnikach fasady i prezbiterium są okrągłe wieże nie wybiegające ponad wysokość murów szczytowych. Wnętrze świątyni zawiera trzy nawy z ołtarzami zdobionymi płaskorzeźbami i portretami miejscowych kolatorów, Kmitów i innych wielmożów. W drewnianej dzwonnicy znajdują się dzwony bardzo stare, bo z roku 1095, o dźwięku tak pięknym i czystym, że aż zastanawiającym.

Podczas okupacji hitlerowskiej w akcji pacyfikacyjnej, podjętej jako represja za ożywioną działalność leśnych oddziałów w okolicach, pijani i rozbawieni własowcy zgromadzili dwustu mężczyzn z Miasteczka i wiosek pobliskich w tym właśnie kościele farnym, trzymali ich tam całą noc, a rankiem pognali na wały obronne i rozstrzelali, obdzierając z ubrań i łupiąc zegarki. Wtedy dzwony biły cały ranek i nieulekła postawa starego proboszcza wzbudziła podziw ludności.

Dotychczas żyje dwóch mężczyzn, którzy jako jedyni ocalili z tamtej rzezi. Jeden, siwy i rozdygotany alkoholik, był naczelnik poczty, uratował się brawurową ucieczką podczas pędzenia skazańców na wały. A drugi, energiczny i wesoły grubas, cukiernik, pan Kopeć, został lekko ranny i przeżył przywalony trupami. Teraz na wałach obronnych jest obelisk kamienny w kształcie rozszczępionego piorunem drzewa, upamiętniający to miejsce męczeństwa.

Po wojnie wiele się tutaj nie zmieniło, tyle że do pożydowskich domostw wprowadzili się ludzie z okolicy i kilku przyjezdnych ze wschodu, a bożnicę zamieniono na magazyn zbożowy. Ponadto w rozległych lasach pobliskich działał oddział majora „Wilka”, ale po roku został zlikwidowany.

Zaznaczyć można jeszcze, że z roku na rok przybywa coraz więcej anten telewizyjnych i kilku obywateli tutejszych uczy się języka angielskiego, mając nadzieje uzyskać zaproszenia od swych pociotków w Ameryce.

Czas najbliższy nieco ożywił Miasteczko, gdyż powstała tutaj Wytwórnia Prefabrykatów produkująca elementy gotowe stosowane w budownictwie, zatrudniająca dwustu pięćdziesięciu pracowników, okresowo również więźniów z oddalonego o dwadzieścia kilometrów ośrodka pracy.

Więźniowie, niewielkie wyroki, przeważnie skazani za drobne nadużycia gospodarcze i bójki, w szarych drelichach i okrągłych czapkach, zwanych potocznie kaniólkami, budzili początkowo zainteresowanie mieszkańców Miasteczka, którzy godzinami wystawali za siatką otaczającą Wytwórnę i podrzucali ludziom w drelichach kielbasę, wódkę i papierosy. Obecnie widok więźniów nie budzi już żadnego zainteresowania. Rok temu zaś ujawniła się afera, zakończona sprawą sądową. Okazało się bowiem, że niektórzy strażnicy z ośrodka i cywilni majstrowie wypożyczali więźniów do robót prywatnych: budowy domów, zabudowań gospodarskich, studni, a nawet prac polnych. Zapłatę stanowiła wódka i papierosy lepszych gatunków, jak również pieniądze, które więźniowie otrzymali po wyjściu na wolność. Z tego powodu jeden z nich, opuszczając więzienie, od razu nabył w Miasteczku motocykl marki Junak, aby z fasonem zajechać do rodzinnej wioski, a na razie głośno przechwalał się tym w gospodzie „Marzanna”. Od niego więc zaczęła się cała ta afera. Zapanowało wtedy ożywienie i krążyło dużo plotek i przypuszczeń o zamieszanych w sprawę urzędowych osobach. Ale teraz i to wygasło, a niezgodne z prawem praktyki już się raczej nie zdarzają.

Należy nadmienić jeszcze, że jeden z więźniów pracujący w Wytwórni poznał dziewczynę z Miasteczka, córkę majstra, która przynosząc ojcu posiłki do pracy zapalała uczuciem do niego. Młody więzień po odbyciu kary już tutaj pozostał i ślub tych dwojga odbył się w kościele farnym. Śpiewał chór, biły dzwony i ludność tłumnie asystowała przy uroczystości, a młodzi do dziś żyją w należytej harmonii.

Z Miasteczka, mijając Wytwórnę Prefabrykatów, zwirowa droga, obsadzona kasztanami, prowadzi do Pałacyku, jak dotąd nazywają tę budowlę miejscowi, położonego w kotlinie pośród łagodnych wzgórz. Mija się cmentarz żydowski, skupisko szarych, ponurych brył kamiennych z często powtarzającymi się wizerunkami znaków zodiaku oraz hebrajskimi napisami, nieco już zatartymi. Nocą mało kto przechodzi tędy, wybierając raczej ścieżkę polną, wydłużonym zakolem obiegająca wzgórze, gdyż okolica to pępna, z wiecznym szumem liściastych drzew, smętek spotęgowany przez pamięć o rzezi dzieci żydowskich, ukrywających się na cmentarzu i tutaj wyłapywanych i mordowanych przez Niemców. Starzy ludzie pokazują nawet rdzawe plamy głęboko wżarte w kamień, twierdząc, że to ślady krwi dziecięcej. Ale za dnia chodzi się tędy często, choćby dla przyjemności spaceru tylko. Mija się rząd pagórków, Gęsi Stawek – zarośnięte szuwarami bajoro, opuszczoną Kuźnię Abramka i już w kotlinie pokazuje się Pałacyk, który w słońcu bieleje jak kość. Dwupiętrowy budynek, twór bezstylowy, raczej będący mozaiką stylów i kokieterijnego zdobnictwa, postawiony na początku naszego wieku, ozdobiony wieżyczkami jak minarety i galeryjkami oplecionymi girlandami z kutego żelaza, i amorkami na frontonie. Przed wojną Pałacyk stanowił własność fabrykanta z wojewódzkiego miasta L., dziwaka i namiętnego myśliwego, który podczas okupacji został zastrzelony wyrokiem sądu podziemnego. Po wojnie przez kilka lat mieścił się tutaj Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa wraz z aresztem. Z tamtego też okresu pozostało w Miasteczku kilku ludzi, którzy nieraz przy wódce o swoim pobycie w Pałacyku opowiadają. Ale czas i to już zatarł w pamięci, więc tych wspomnień słucha się nieuważnie i ze znużeniem.

A teraz w Pałacyku znajduje się schronisko dla starców, zamieszkałe przez kilkudziesięciu pensjonariuszy. Są to roczniki przeważnie z końca ubiegłego stulecia, jest też kilkanaścioro młodszych, ale przedwcześnie postarzałych. Teren parku, z wysokimi topolami i srebrnymi świerkami, stanowi idealne miejsce ich powolnych spacerów, a spokój i cisza dają możliwość łagodnego dożywania pozostałych dni. I zawsze w niedzielne ranki wybierają się staruszki i starcy gromadkami na nabożeństwo do fary, odziani świątecznie, w stroje stare i niemodne, lecz schludnie utrzymane. Stąd również na pierwszomajowe pochody w Miasteczku do trybuny honorowej wypożyczają się jednego ze starców, tego, który służył jeszcze pod Hallerem i posiada błękitny mundur. Więc w tym mundurze i rogatywce z lakierowanym daszkiem stoi sobie na trybunie, siwiutki i mały, ale jeszcze wyprostowany po żołniersku. Dwa lata temu

trybuna się zarwała i pozapadali się honorowi goście, na szczęście Hallerczyk wyszedł bez szwanku. A przyczyną tego wydarzenia było partactwo stolarzy z tutejszej spółdzielni „Wieczność”, którzy uraczywszy się wódką byle jak podium pozbijali.

Latem ostatniego roku w pobliżu Pałacyku na rozległej łące-torfowisku założony został obóz szkoleniowy studentów. Byli to młodzieńcy powołani na przeszkolenie za udział w zajęciach na uczelniach. Zabawny tamtego lata nastąpił, bo biegunowy, styk pokoleń, gdyż starcy podążali często w stronę łąki i obserwowali musztrowanie młodych. Ożywiali się nawet i budziły się w nich jakieś dawne wspomnienia. Z tego właśnie czasu pozostała w Miasteczku opowieść o pewnym wydarzeniu na obozie. Było to tak: jeden ze studentów zemdlął podczas wieczornej zbiórki, a facet prowadzący zajęcia spojrzawszy na niego z nieufnością i obrzydzeniem rzekł: No, no! Tylko bez prowokacji! – Tę opowieść powtarzają z upodobaniem długowłosi młodzi w Miasteczku i stosują jako replikę w swych konfliktach ze Strażą Obywatelską. Ponadto oni sami wykazali wtedy dużo życzliwości dla studentów, wzięli na oko tego nieufnego i srogiego faceta, spoiwszy go w „Marzannie”, obezwładnili i związali w kij na kirkucie.

Śmiech był wielki z tego skompromitowanego, którego wnet odwołano z obozu, a mimo wnikliwego dochodzenia sprawców zajścia nie ujęto. I od tego też czasu chłopiec imieniem Tolunio, sierota wychowywany przez babcię, wysunął się na czoło jako przywódca długowłosych, gdyż on to był inicjatorem akcji.

Po obozie pozostały prostokąty ubitej ziemi – ślady po namiotach, dołki strzeleckie i zasypa-pana latryna. Starcy nie chodzą już na spacer w tamtą stronę i, jak dawniej, na łące widać tylko brunatne kostki torfu, ułożone w kopczyki.

...Dziś, w to jesienne, gorące jeszcze przedpołudnie podążał zwirową drogą do Miasteczka Kierownik schroniska dla starców, mężczyzna w średnim wieku, o nieśmiałej i ponad wiek zniszczonej twarzy. Szedł powoli, kopiąc połyskliwe kasztany, które gęsto zaścielały drogę. Mijali go powracający z przedobiedniego spaceru starcy. Ale pogrążony w głębokim zamyśleniu, nawet ich nie zauważył. Raz tylko ożywił się na widok wiewiórki-akrobatki, śmigającej z gałęzi na gałąź i wysuwającej zza pnia ciekawy pyszczek. Uśmiechnął się do niej. Lecz ten uśmiech to chwila tylko była, mimochodem, gdyż cały czas rozmyślał o swojej sprawie z Prezesem.

Widział go już nawet oczyma wyobraźni. Rubaszny i barczysty, aż kipi energią. Władczy i przyjacielski zarazem. Rozluźnia krawat, rozpina kołnierzyk śnieżnej nonironowej koszuli i mówi donośnym, przekonywującym głosem. Naprawdę chyba życzliwy i przyjazny. Ostatnio przecież proponował mu lepiej płatną posadę w resorcie oświaty i kultury. Przy jego szerokich znajomościach to nie były czcze słowa. Ale Kierownik nie chciał zmieniać pracy. Cicho i bezpiecznie czuł się w Pałacyku. Przecież o takim właśnie ustroniu marzył, kiedy bez nadziei wolności spędzał więzienne lata.

Przesiedział szmat życia, bo jako jeden z dowódców podziemia chadzał ze swoim oddziałem po wojnie czas jakiś, a jego pseudonim wojenny, „Podkowa”, dany dla twardości i siły charakteru, budził w nastających władzach obawę i niepokój, znużony podziw ludności wobec nowego nieufnej. Schwytany i skazany na dożywotnie więzienie, nie myślał wtedy, że kiedyś jeszcze będzie mu dany smak wolnego życia. W zamknięciu zrazu buntował się, krzyczał i walił pięściami w obite blachą drzwi. Potem ucichł, przedwcześnie postarzały i wypalony. Już nie podbiegał w dzikiej rozpacz do małego okratowanego okienka. Stał się małomówny i pokorny. A skąpa i fragmentaryczna wiedza zza murów jeszcze bardziej komplikowała i mąciła jego obraz świata.

Więc już tylko marzył tak: Może i ja wyjdę kiedyś... Może... A wtedy gdzieś do lasu... Na gajowego może... Ptaki, zielono, ładnie... Daleko od wszystkiego... Może... – ale nie wierzył w realność tego marzenia. I ciągle widział wtedy ptaki, zwierzęta, las...

Dlatego do wiewiórki przed chwilą się uśmiechnął. A kiedy wyszedł jednak na wolność, od razu osiadł w Pałacyku. Stanowisko Kierownika schroniska przyznano mu bez trudów, gdyż nastał wtedy czas rekompensaty za nadmierną surowość wobec takich jak on, tym bardziej że legitymował się przedwojennym seminarium nauczycielskim i niedługim stażem w szkolnictwie, a umiejętności pedagogiczne uznano za potrzebne do takiego zajęcia. Tak żył sobie na uboczu, okazał się niezłym organizatorem i starcy lubili go serdecznie. Przeszłość swoją niechętnie wspominał, to ustronne miejsce pomagało skutecznie w zabliznianiu się ran.

Niekiedy niepokoiło go tylko poprzednie przeznaczenie Pałacyku, a prawdy o tym dowiedział się wkrótce w Miasteczku.

Ileż to razy z tego powodu przechadzał się po wilgotnych piwnicach i oglądał ściany, poszukując na nich śladów dawnych napisów, krwią mazanych cyrografów.

Zdarzało mu się to zawsze w dniach przygnębienia i bolesnej samotności, która dopadała go nagle jak drapieżny ptak. Szedł wtedy do gospody „Marzanna” i popijał samotnie, chciwie przysłuchując się hałaśliwym rozmowom przy wódce, bieżącym smutkom i radościom poświęconym. Tam, w „Marzannie”, poznał Prezesa. Żywotność tego człowieka, jego energia i pomysłowość oszołomiły Kierownika. Przez kontrast pociągało go to jeszcze mocniej. Polubił go więc. A bać się zaczął dopiero później.

Próbował wykić i ośmieszyć ten strach, ale to tkwiło w nim jak cierń. Cała sprawa zaczęła się od błahej rozmowy o Pałacyku. Remont wtedy przeprowadzał, likwidował niepotrzebne alkowy i nisze sposobiąc z tego pomieszczenie na świetlicę. Tak gawędzili sobie o tym właśnie. Aż zdziwił się w pewnej chwili, że Prezes jest tak doskonale zorientowany w skomplikowanym przecież wnętrzu Pałacyku.

Zdziwił się, zamilkł zaraz i popatrzył na niego ze zdziwieniem, nagle obudzoną czujnością.

Prezes wytrzymał to spojrzenie i przytaknął.

– Tak... pracowałem tam... – chwila namysłu – od wojny... – zachmurzył się – a zwolnili potem jak ostatniego śmiecia...

Nie zwrócił nawet uwagi na szarą, zmienioną twarz swego słuchacza.

– Ale nie dałem się utopić... – rozchmurzył się szybko. – Ta spółdzielnia, że tak powiem, moje dziecko... Z niczego zaczynałem...

Dopiero teraz dostrzegł dziwny wyraz twarzy kierownika.

– Chłopie... – powiedział – nie myśl o tym, wiem, co myślisz.

Wyciągnął grubą dłoń ze złotym sygnetem na ostatnim palcu.

– Co było, a nie jest – zakończył przysłowiem – nie pisze się w rejestr...

Po chwili zastanowienia, a właściwie zmuszony tym spojrzeniem twardym i przykuwającym, Kierownik też wyciągnął dłoń. Uściśnił sobie prawicę. Ale cierń jakiś pozostał. Objawiał się w ukrytym głęboko strachu i uległości wobec tego człowieka. A czasem wyrzucał sobie Kierownik ten strach. Pogardał sobą. Jednak poradzić na to nic nie mógł.

Dlatego zapewne z nagłą pasją roztrącił butem leżące na drodze połyskliwe kasztany, nastąpił na jeden i zmiażdżył z satysfakcją, patrząc na wynurzające się ze skóry żółte wnętrza.

Żebrak i przygłupek tutejszy, Teodor, czyli Dorek, ukryty za nagrobkowym kamieniem na kirkucie, odprowadzał czujnym, skupionym spojrzeniem Kierownika. Sam Dorek żył od niepamiętnych czasów jak ptak, z niczego, a tradycją Miasteczka stał się już coroczny obrządek Teodora, który łapał w sidła kosi i gile i mając ich kilkanaście szedł na plac targowy, potrząsał klatką i bełkotał coś niezrozumiale, ludzie podchodzili chcąc kupować, wtedy Dorek wybuchał szalonym śmiechem, nagle otwierał klatkę i wypuszczał ptactwo. Śledził lot ptaków i cieszył się jak dziecko.

Żywiółowo też nie znosił Kierownika, władcy Pałacyku pełnego ludzi w Dworku wieku, pokornych i nieruchawych. Unikał więc tego miejsca jak ognia. Dlatego teraz, przyczajony za nagrobkiem, patrzył czujnie, potem jeszcze wsłuchiwał się w kroki zgrzytające na żwirze.

Gdy kroki zacięły, przeżegnał się i uderzył kulakiem w pierś, aż zadudniło, prosząc w ten sposób Boga o opiekę nad swoją zebraczą wolnością.

A Kierownik podążał do Miasteczka na spotkanie z Prezesem.

Rozdział II

Podążał Prezes krętymi uliczkami Miasteczka. Pogoda piękna, świeci słońce i złota jesień wokół, ale ponure myśli nie opuszczają głowy Prezesa. Szwankuje trumienna specjalizacja, nadwyżki zawalają składy. Prezes przymknawszy oczy widzi zaraz rzędy skrzyń w ostateczną drogę przeznaczonych. I nie mógł się od tego obsesyjnego zwidu uwolnić. A w uszach znów dzwoniły słowa przygany, które usłyszał w Komitecie: – Wasi ludzie narzekają: produkcją w ślepy zaulek sterujecie...

Ciepłe, ale już nie upalne promienie słońca grzały przyjemnie. Pogodna aura jesieni, niczym ponętą, dojrzała kobieta, uspokoiła nieco Prezesa.

Na rynku przed siedzibą władz powiatowych zobaczył podium drewniane, wystawione z okazji wrześniowej masówki: NIGDY NIE ZAPOMNIMY! Solidne, nie takie jak to pamiętne majowe, które zapadło się ze starcem od Hallera włącznie, stało to podium teraz już bezużyteczne i biegały po deskach dzieci bawiąc się w policjantów i złodziei.

– Pif! Paf! – wrzasnęły przeraźliwie.

A pijany śpiący na ławce zerwał się nagle i wystraszony krzykiem dzieci pobiegł przed siebie.

Rozbawił ten widok Prezesa, również ręczość w nogach u tego niemłodego przecież pijaka była zdumiewająca. Zatupał więc butami, jeszcze bardziej przerażając uciekającego, który skrył się za farą. Równocześnie z drugiej strony wynurzyli się dwaj różdżkarze.

Lunatycznym krokiem przemierzali rynek, trzymając oburącz wierzbowe witki w kształcie proc, sprzężeni z nimi w jeden układ. Wsłuchani w drgania gałązek i swoją intuicję, wyglądali jak kapłani tajemnego bractwa, choć zwyczajni przecież jak wszyscy, w gumiakach, drelichach i byle jakich beretach. Za nimi, w pewnej odległości, też skupiony i uroczysty, referent wydziału wodno-melioracyjnego z plastikową aktówką pod pachą stapał ostrożnie, jakby na palcach.

Minęli Prezesa. Popatrzył na nich roztargnionym, obojętnym wzrokiem.

Naraz przystanął, uderzony niepojętym dla jego rozumu charakterem tej sceny.

Oni nawet go nie zauważyli.

– Czuję tu! Tu! – usłyszał stłumiony głos młodszego różdżkarza, który wytrzeszczył oczy na drganie wierzbowej gałązki.

– Gdzie tam – burknął starszy, posępny i ospowaty.

Przystanęli, czekając na referenta. Kiedy doszedł do nich, schowali wierzbowe witki za pazuchy.

– Na dziś starczy – rzekł starszy.

Obaj spojrzeli w stronę gospody „Marzanna”.

– Chodź pan – zaprosili referenta.

Referent stropił się i zaszurał butami.

– Godziny pracy obowiązują...

– Dla nas... – roześmiał się młodszy – nie ma godzin. My nie na czas robimy...

Teraz dopiero Prezes ocknął się z zadziwienia, sprowadzony na ziemię tą rozmową. Wyprzedził ich i pierwszy wszedł do „Marzanny”.

Choć to południe dopiero, tłok już był w gospodzie. Pili chłopci z pobliskich wiosek, wracający z targu. Pili również majstrowie z Prefabrykatów i więzienni strażnicy. Pili nigdzie nie pracujący i emeryci. Milicjanci w cywilu i ludzie z transportu, obliczający na bibułkowych serwetkach zarobki z lewych kursów. A przy bufecie stała pokornie Pelagia, staruszka z Pała-

cyku, dopominając się o ciastko. Dostała wreszcie od litościwej bufetowej napoleonkę z gałboty, wyschniętą, podejrzaną świeżości.

Był tutaj jeszcze starzec z Pałacyku, Hallerczykiem zwany. Ten uwijał się między stolikami i wypijał resztki piwa i wódki.

Ale Kierownik Domu Starców pogrążony w sprawie z Prezesem nie zauważył wcale swoich podopiecznych. Bo Prezes mówił i mówił, przetykając słowa mocnymi gestami, a wódkę wypijał błyskawicznym haustem, zerkając wtedy nieznacznie na bufetową Jadzię.

Jego argumentacja była logiczna i przekonująca, a sugestywność głosu i spojrzenia wykluczała wszelkie wątpliwości. Więc Kierownik Pałacyku, przytłoczony lawiną, potakiwać zaczął. Nieznacznie. Coraz znacznie.

W pewnej chwili wypowiedź Prezesa przerwał stukot głuchy i natarczywy. Zerwał wąż i gdzie indziej skierował uwagę.

A nastąpiło to z tego powodu, że jeden z kelnerów, obdarzony gęstym zarostem pod oczy i przezywany Pryszczem, schwycił za kołnierz śpiącego przy stoliku gościa i począł nim tarmosić. Kiedy to nie poskutkowało, przygiął śpiącemu kark i wybijać zaczął jego głową mocny takt o stolik. Początkowo ludzie, zajęci wódką i rozmowami, nie zauważyli nic. Później jednak śpiący jęczeć począł przejmująco. Spojrzeli w tamtą stronę. Zapatrzyli się i zamilkli. Cicho zrobiło się w „Marzannie”. I spoglądano na tę głowę bezwładną, ze zwichrzonym włossem, uderzającą miarowo w stół. I nagle jakby ból własnych głów poczuli wszyscy. Pijany zbudził się i potoczył martwym, szklanym wzrokiem po sali. Wtedy powrócił zwyczajny gwar rozmów. Pryszcz, przywoławszy dwóch świadków, zrewidował sprawnie pijaka. Nie znalazł jednak w jego kieszeniach żadnych pieniędzy. Zgrzytając zębami wykopał go z „Marzanny”. I już później od niektórych, mniej pewnych, pobierał za wódkę opłatę z góry.

Kierownik Pałacyku długo jeszcze siedział z zaciśniętymi powiekami i nie słyszał głosu Prezesa. Otworzył wreszcie oczy, ale cała „Marzanna” wirowała jak karuzela. Wrogie nagle, wcale nie knajpiane wnętrza. I wcale nie kelnerska gęba Pryszcz. Popił łapczywie wódki i zrobiło mu się trochę lżej.

– Brak odpowiedzialności – usłyszał głos Prezesa – nachla się jeden z drugim, a zapłacić nie ma czym...

Machinalnie przytaknął.

Prezes znowu zerknął na bufetową Jadzię. Ona tym razem przyłapała jego spojrzenie. Odpowiedziała wzrokiem pełnym ognia, równocześnie poprawiła kopystą fryzurę koloru niebieskiego.

Zakłopotał się Prezes i czmychnął ze spojrzeniem. Z Jadzią sprawa nie była taka prosta. Zaczęło się to od uroczystości lipcowej. Mąż Jadzi, komendant tutejszej Straży Obywatelskiej, upił się pierwszy i musieli Wołgą odwozić go do domu. Rozochociona Jadzia pozostała jeszcze. Nocą odprowadzał ją Prezes. Zboczyli z drogi i zeszli na wały obronne dawnego grodziszczu. A później spotykali się tam już co tydzień. Ostatnio jednak Jadzia zaczęła zbyt duże nadzieje pokładać w tym romansie i Prezes był w kłopotcie. Więc na pełen czułości wzrok Jadzi odpowiedział chłodno i niedostępnie. Usztywnił się, zapiął kołnierz koszuli, poprawił krawat i z nową energią oraz argumentami powrócił do rozmowy.

I przy trzeciej ćwiartce jarzębiaku przekonał wreszcie Kierownika. Dogadali się i prawice sobie uścisnęli. Wyszli z „Marzanny”, trzymając się po przyjacielsku pod ręce. Udało się Prezesowi przemknąć obok Jadzi i nie przyjąć bibułkowej serwetki z terminem kolejnej randki. W drzwiach odetchnął z ulgą. Dwie sprawy naraz prawie załatwione.

Odprowadzał Prezes Kierownika. Minął ich Teodor, czyli Dorek, żebrak i przyglupek tutejszy. Właściwie obszedł z daleka jak zadumionych. Prezes wybuchnął śmiechem. Był to śmiech człowieka zdrowego i wolnego od wątpliwości w zetknięciu z niedojdą. Dorek, uderzony tym śmiechem, czmychnął jak zajęc w krzaki.

Zatrzymali się przy Wytwórni Prefabrykatów. Więźniowie zatrudnieni przy produkcji segmentów leżeli w cieniu pod daszkiem, ćmili papierosy i gawędzili leniwie.

Słyszac kroki po żwirze powstali prędko i zabrali się do roboty. Zobaczywszy jednak, że to nie ich majstrowie i strażnicy nadchodzą, na powrót pokładli się pod daszkiem.

Na rozstajnych drogach za Wytwórną żegnał się Prezes z Kierownikiem.

– Tylko pamiętaj... – próbował znów Kierownik.

– Wiem, wiem... – pośpieszył Prezes – trzeba późną nocą, bo oni zasnąć długo nie mogą..

Nad dwiema wieżami fary pokazały się gołębie. Krążyły zataczając coraz szersze kręgi, wzbijając się coraz wyżej w górę. Było to stado Walczaka, spółdzielczego stróża i pijusa. Obaj mężczyźni, już rozchodząc się, przystanęli i unieśli głowy.

Gołębie migotały w słońcu jak łuski srebrnego pancerza, a wdzięk i lekkość tego wirowania urzekały. Obaj mężczyźni patrzyli. Błękit i srebro ponad nimi. Ogarnęła ich zaduma.

Prawdziwy symbol wolności – pomyślał Kierownik – takiej, której nie ma i nie będzie.

Posmutniał nagle i niepokój w sprawie trumien zatrzepotał w nim natarczywie.

A na Zachodzie – pomyślał Prezes – to różni dygnitarze i milionerzy własne samoloty posiadają.

Zakłuła go zazdrość i gorycz z powodu nierealności tego pragnienia.

Potem ocknęli się i ruszyli w przeciwne strony. Jeden powoli i w zamyśleniu. Drugi zamaszyście, jak taran nie do zatrzymania.

Rozdział III

Babka Tolunia, rencistka i wdowa po zdunie, lat siedemdziesiąt trzy, dziś miała swój uroczysty dzień. Szyć też nie chciała (bo do renty dorabiała szyciem) i ledwo parę razy zaterkotała na Singerze, zaraz przestała. Czuła się ożywiona i wesoła jak rzadko. Więc kiedy spostrzegła, że do warzywnego ogródka wbiegł łaciaty kundel sąsiadów i biega bezczelnie po zagonkach, wyszła na próg powiedziała: – Proszę wyjść! – Życzliwie właściwie i uprzejmie przegnała psa. A obierając ziemniaki, sama z niejakim zdziwieniem przyłapała się na tym, że nuci bardzo starą, jeszcze z czasów panieńskich, piosenkę o chłopcu, który wrócił z wojska i pali lux-tabakę. Tylko głos już był nikły, coś szamotało się w płucach i rwało wesołą melodię na strzępy.

Wnuk Tolunio jeszcze spał albo udawał, że śpi. Ale dzisiaj babcia nie miała mu tego za złe. Niech śpi. Nawet rozczuliła się przez chwilę, patrząc na łóżko i kudłatą głowę wnuka. Pomyślała o jego sierocym losie i przestała nucić wesołą melodię. Już tylko w milczeniu strugała ziemniaki, a jej starcze, sękaty palce poruszały się zręcznie i sprawnie.

Przed południem przyszedł listonosz z rentą. Pogwarzyła sobie z nim babcia. Też stary i zacności człowiek. Przysiadł na taborecie, zapalił ćwiartkę sporta w szklanej lufce. Zwierzał się ze swoich trosk z powodu syna, niewdzięcznika i pijaka. Przy tym znacząco popatrzył na łóżko, gdzie spał Tolunio. Lecz babka do ludzi nigdy na wnuka nie narzekała i zbyła to spojrzenie milczeniem. Listonosz stropił się i zachrzakał. Wtedy poczęstowała go kieliszkiem wiśniowej nalewki. Wypił duszkiem, podziękował i poszedł, postępując i skarżąc się na ischias.

Potem ubrała się starannie. Włożyła czarną wełnianą sukienkę z koronką i taką samą czarną chustę narzuciła na głowę i ramiona. Popatrzyła jeszcze na Tolunia. Już nie spał, pogrążony teraz w lekturze gazety.

– Inni – powiedziała z wyrzutem – już o tej porze wracają z roboty...

Tolunio odwzajemnił się pobłażliwym uśmiechem.

– Niech wracają – powiedział.

Babka zachnęła się gniewnie, ale w rozmowę się nie wdała. Pogrzewaczem rozgarnęła węgle w palenisku, a garnek z kartoflanką postawiła na widoku.

...Szła nie śpiesząc się. Jesienne słońce grzało łagodnie. Zatrzymała się przed sklepem mięsnym. Przerwa obiadowa, zamknięty. Ale kolejka czekających na otwarcie już znaczna. Dostrzegła sąsiadkę z narożnej kamienicy i poprosiła ją o kupno kilograma podróbek. Tolunio bardzo lubi żurek na podróbkach. I poszła sobie dalej. Wstąpiła do fary. W jej chłodnym i przestronnym wnętrzu posiedziała w ławce i zmówiła dwa pacierze. Wychodząc zatrzymała się przed plebanią.

Dom był świeżo otynkowany, a dach białął łatami nowych gontów. Patrzyła z upodobaniem. Dostatnio i należycie utrzymane gospodarstwo. obora, chlew pełen kwiku tuczników, niżej, na nadrzecznym stoku, sad i ule. W obejściu krzątał się proboszcz. Wyglądał jak chłop, w gumiakach i rozchełstanej flanelowej koszuli. Ściągał biało-czerwoną flagę z masztu, umieszczonego przed gankiem.

– Podlizuch – mruknęła babka, ale bez złości.

Ten młody ksiądz, od czterech lat proboszcz tutejszy, wprowadził zwyczaj wciągania flagi na wszystkie święta państwowe i kościelne.

Uroczyste respektowanie świąt państwowych nastawiło do niego życzliwie miejscowe władze i nie bez związku z tym otrzymał budulec na zbudowanie pomieszczenia do nauki katechizmu i naprawę budynków gospodarczych. A też powiadają po cichu ludziska, że do

miodu, który sprzedaje ze swojej pasieki, cukru dosypuje. Ale wierzyć każdemu ludzkiemu gadaniu... Mimo wszystko ceniła go jednak babka za surowość, z jaka gromił z ambony rozwiążność obyczajów. Nikomu nie przepuścił i rozpuśników po nazwisku wytyka.

Więc podeszła bliżej i powiedziała z szacunkiem:

– Pochwalony.

– Na weki wieków – odpowiedział proboszcz i uśmiechnął się szeroko, błyskając zdrowym, białym jak ser użębieniem. Pogawędził chwilę, dopytując o zdrowie, zarobki i wnuka. Nie zdziwił się wcale, kiedy powiedziała mu o trumnie.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz – przeżegnał się zamasyście.

Pochwalił właściwie takie myślenie o przyszłości. Naraz twarz mu się nachmurzyła i zapytał:

– Dlaczego wnuka nie widzę nigdy w kościele?

– Taki on już jest – odpowiedziała ze wstydem babka. – Nic mu się nie chce...

– Dzisiejsza młodzież – wzburzył się proboszcz. – Jakże pusta i cyniczna. A przecież od wieków wiara ten naród trzymała...

Z chlewu wyszedł organista. Był także w gumiakach i flanelowej koszuli.

Wnet obaj z proboszczem zaczęli wyrzucać nawóz z obory. Proboszcz pracował rytmicznie, nabierał potężne wiązki na widły i wyrzucał z rozmachem. Organista, starszy i bardziej cherlawy, nadażył z trudem.

Ale mimo wszystko bliższy sercu babki pozostał już na zawsze tamten proboszcz z czasu wojny. Nieśmiały staruszek, kiepski kaznodzieja i żaden gospodarz.

– Dobrodziej – powiedziała tkliwie i poszła dalej. Uważała również, że dzwony w tamtym czasie były niezwykle czysto i zastanawiająco. Teraz ich dźwięk jakby zmarniał, stał się zmęczony i głuchy.

Akurat na czas przyszła babka do stolarskiej spółdzielni „Wieczność”. Trumna dla niej już była gotowa. Stróż Walczak, znajomy nieboszczyka męża, trzykrotnie pocałował ją w rękę.

– Czy aby na pewno dębowa? – zapytała, patrząc podejrzliwie na stolarzy.

Stolarze poczęli z zapalem obstukiwać trumnę.

– wystarczy puknąć – mówili – dąb tylko tak odpowiada.

A stróż Walczak dodał: – Za poważna sprawa, żeby na drzewie oszukiwać.

Wtedy właśnie zobaczyła babka za stołem desek wieśniaka o porytej twarzy, w samodzielnym kaszkiecie i cholewianych butach. Siedział na podłodze i martwo spoglądał przed siebie. Był to Wilczek Antoni, gospodarz ze wsi Konik Nowy, któremu przed dwoma dniami umarła żona.

Babka patrzyła na niego z zainteresowaniem.

– Czeka – wyjaśnił stróż Walczak.

– I musi jeszcze poczekać – dodał któryś ze stolarzy.

– Rozmiary nietypowe. Istna gidyja z nieboszczki...

Babka westchnęła współczująco.

– Taka zdrowa – odezwał się nagle głuchym głosem chłop. – I coś jej się w środku popsulo...

Była chwila ciszy w baraku. Zamyślili się stolarze nad marnością ludzkiego istnienia. Głuchy głos chłopca zdawał się jak echo powtarzać i powtarzać. Babka przeżegnała się żarliwie z myślą o duszy nieboszczki i bolesnym smutku wdowca. Ale wróciła zaraz codzienna zwyczajność heblowania i zbijania trumiennych desek. Stróż Walczak spróbował nawet dogadać się z chłopem w sprawie kupna ziemniaków.

– Dwa metry, almy albo amerykany, tylko bez oczek, no, Wilczek... – zaczął półgłosem.

Jednak nie doczekał się odpowiedzi.

– Niemowa albo co – rozżłościł się.

A babka znowu zajęła się swoją trumną. Obeszła ją kilkakrotnie, pogładziła po bokach, przesunęła dłonią po wierzchu, zajrzała również do środka. Pachniało drzewem i politurą. Prawdę mówiąc spodobała się jej od pierwszego wejrzenia. Ale zbyt jawnie nie chciała tego okazywać. Toteż ponarzekała na to, na tamto i wreszcie zapłaciła należność, targując się bez przekonania o końcówkę.

Dębową trumnę odnosił jej stróż Walczak z młodym czeladnikiem. Ciężka była ta dębina i aż uginali się pod ciężarem.

Tolunio już wstał. i tak na środku kuchni, w piżamie tylko, zabawiał się ulubiona walką z cieniem. Stał jak na ringu, uniki głową, seria ciosów w niewidzialnego przeciwnika, potężny sierp i zwycięski chichot Tolunia za chwilę.

Mężczyźni delikatnie ustawili trumnę na podłodze. Czeladnik zapatrzył się w boksującego Tolunia. Spodobała mu się ta zabawa.

– Niezły technicznie – uznał.

– On tak zawsze... – wyjaśniła babka. – Walka z cieniem.

– Tolunio zmęczył się, opuścił gardę i dopiero teraz zobaczył trumnę. Zagapił się głupawo. Przetarł oczy. Znowu patrzył. Okazała jak kufer jakiś, błyszcząca politura i metalowymi okuciami, stała na środku kuchni. Cofnął się.

– Co też babcia – wyjąkał.

– No i mam spokój – powiedziała radośnie babka. – Przecież taki jesteś lekkomyślny... i na pewno nie zadbałbyś o wszystko należycie... tobie tylko walka z cieniem... takie tam głupoty...

Urwała i przykucnęła zaniepokojona. Pogładziła wieko. Ale nie było żadnej rysy, na szczęście.

Patrzył Tolunio na dębową trumnę. A z tą trumną jakby śmierć weszła do drewnianego domku przy ulicy Nadrzecznej i jego również macnęła przy okazji swymi zimnymi łapami.

Wzdrygnął się i nagle zapragnął zanurzyć się w burzliwy, porywisty nurt życia.

...Tolunio biegnąc na kirkut zatrzymał się starym zwyczajem przy Wytwórni Prefabrykatorów. Ciągnęło go to miejsce i zastanawiało zawsze. A wśród pracujących tutaj więźniów upatrzy sobie dawniej jednego, mężczyznę w średnim wieku, o posępnej, brutalnej twarzy, który pracował do późnej jesieni obnażony do pasa, a ciało miał pokryte mapą tatuaży jak totem. Mapa wizerunków węża, diabła, sztyletów, krat, dymiących parostatków, egzotycznych wysp, lubieżnych kobiet, złodziejskich herbów, księżyców i Chrystusa dźwigającego krzyż na Kalwarię. A była w tym patrzeniu Tolunia jakaś niejasna tęsknota: fascynował go ten więzień, ostentacyjnie wylegujący się w słońcu i swym zachowaniem niepokojący nawet strażników. Aż pewnego dnia ten więzień, otoczony grupą ciekawych, poddał się nowemu zabiegowi tatuowania w kącie za latryną. Oparty o deski, z odchyloną głową, siedział nieruchomo, a specjalista kłuł mu czoło, wiązką igieł znacząc krwawy śnieg.

Wkrótce o tym upiornym zabiegu dowiedzieli się wszyscy i tłum otaczał to miejsce. Tolunio i jego koledzy, przyciśnięci do siatki, patrzyli wstrząśnięci i osłupiali. A więzień śmiał się cichym, chrapliwym głosem. Zabieg skończył się, więzień wstał. Przeszedł się powoli, jak drapieżnik, wzdłuż siatki. Wtedy odczytał Tolunio napis na jego czole: „Jebem wsiech!” – siny tusz poprzątykany był kropelkami krwi. W słońcu wyglądało to strasznie i groźnie. I więcej nie pojawił się już ten więzień na terenie więzienia izolacyjnego. Myślał teraz o nim Tolunio. Widział go znowu dokładnie. Wspaniałego, niepokonanego. I pomyślał o nim jako o niezłomnym bojowniku jakiejś wyższej, trudnej do określenia racji.

Stał jeszcze długi czas i patrzył na więźniów krzających się przy wielkich kadziach, wypełnionych cementem. Namacał w kieszeni papierosy i podał przez siatkę najbliższemu z nich.

Długowłosi młodzi rozłożyli się gromadką wśród nagrobkowych kamieni na żydowskim cmentarzu. Popijali owocowe wino, zwane w ich gwarze bełtem, i gawędzili leniwie. Wino

specjalnie nie ożywało. Było nudno i beznadziejnie. Ocknęli się nieco, kiedy na skraju cmentarzyska pojawili się chłopci powracający z targu i majstrowie z prefabrykatów. Konie szczypały trawę, a chłopci i majstrowie pili gorzałkę, oznaczając na butelce miarkę do opróżnienia. Rozmawiali z ożywieniem, umawiając się na jakąś prywatną robotę.

Jeden majster upił się. A wkrótce drugi też. Poczęli kłócić się zaciekle, pryskając śliną i tocząc po sobie przekrwionymi oczyma. Chłopci przysłuchiwali się pełni dystansu i rezerwy. Natomiast długowłosi młodzi wciągnęli się w tę kłótnię z powtarzającym się refrenem: „Ja ciebie zgnoję!”

I wkrótce rozbawionym chórem wołali jak na meczu:

- Nie daj się!
- Teraz go wal!
- No, ładuj!
- Na co czekasz, kontrolę!

Chłopci uśmiechali się cichaczem. Speszyl się majstrowie. A młodzi półkołem otoczyli majstrów, spoglądając na nich z pogardą i wyzwaniem. Jeszcze bardziej speszyli się majstrowie, a choć chłopcy z nich krzepkie, nie odcięli się młodym ani słówkiem.

Nawet jakby otrzeźwieli, przeszła im zapalczywość i już tylko szeptem zaczęli zmawiać się z chłopcami w interesach. Wódkę szybko dopili i wnet się wynieśli, rzucając ukradkiem na młodych złe spojrzenia. Chłopci zacięli konie, furtki potoczyły się zwirową drogą, a majstrowie podążyli w przeciwną stronę, do Wytwórni.

– Jeszcze gliniarzy mogą nasłać – zauważył jeden z długowłosych.

Ale nie zaniepokoiło to ich wcale. Znów pokładli się na trawie, opierając się wygodnie o nagrobkowe kamienie. Potem posłyszeli kroki na żwirze.

– Może gliny – ktoś pomyślał głośno. Ale to były wsiowe babiny z tobołkami. I znów nuda. Dla rozrywki rozbijali butelki po winie o kamienie. Resztki wina jak krew ściekały po nagrobkach.

Po chwili jeden z nich zapatrzył się z nagłym ożywieniem na cudaczne hebrajskie litery wyryte w kamieniu.

- Co to jest? – zainteresował się.
- Podobno – odparł któryś – to jeszcze z czasów starożytnych.

Patrzyli na napisy.

Wtedy na cmentarz przybiegł Tolunio. Ożywiony i niespokojny, bo jeszcze myślał o więzieniu z napisem na czole. Opowiedział o babci z dębową trumną. Rozbawili się długowłosi młodzi. Ale Tolunio nie śmiał się wcale. Nawet z powodu tej wesołości z niechęcią na nich popatrzył. Potem ułożył się jak wszyscy na murawie, głowę oparł o kamień i patrzył w niebo.

I tak nudzili się między nagrobkami. A kiedy zmierzchać się zaczęło, całą watahą poszli pod kiosk z piwem na rynek. Zawołali też Dorka i postawili mu butelkę. Lubili tego żebraka i przygłupka za jego wolne życie. Dorek zalewał sobie piwem brodę i coś bełkotał z ożywieniem.

Stali długowłosi młodzi pod kioskiem i patrzyli na senny, od lat ten sam rynek.

Z „Marzanny” wytoczyli się różdżkarze z referentem melioracji. Byli już bardzo pijani i zataczali się szeroko. Referent najbardziej.

Machał plastikową aktówką i wykrzykiwał: – O Boże, gdybym to ja umiał! Boże, nic bym nie robił! – I próbował wyciągnąć jednemu z różdżkarzy wierzbową witkę zza pazuchy. Tamci odepchnęli go z pogardą.

Długowłosi młodzi, patrząc na to widowisko, pokładali się ze śmiechu.

Tylko Tolunio stał na uboczu i nie śmiał się wcale.

Wreszcie odstawili puste butelki i powlekli się uliczką między drewnianymi domkami.

Przechodzili obok spółdzielni stolarskiej „Wieczność”. Nad bramą wjazdową paliło się światelko, oświetlając upiornie reklamę przedsiębiorstwa – taką maleńką trumienkę, najwyżej dla niemowlęcia.

Zagwizdali przenikliwie, a Tolunio znów zamyślił się posepnie. I poszli dalej.

...Tą samą wieczorową porą w spółdzielni „Wieczność” wrzała robota po fajerant. Ciężarówka marki Żuk zajechała przed barak. Ludzie układali w samochodzie trumny. Prezes patrzył z upodobaniem. Cieszyło go, że coraz więcej trumien ubywa z podwórza.

Stróż Walczak, korzystając z chwilowego zamieszania spowodowanego nagłym rozpadnięciem się jednej z trumien, szturchnął znacząco szofera ciężarówki. Zmówili się już wcześniej i postanowili parę skrzynek odłożyć na bok dla prywatnej sprzedaży. Nagły hałas w krzakach popsuł im wszystko. Z ciemności wynurzył się referent melioracji, utyłany w błocie i rygowinach. Wyglądał jak zjawa. Ludzie przerwali załadunek i patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Referent do piersi przyciskał aktówkę, zlepione włosy opadały mu na czoło, a oczy błyszczały błędnie. Przez chwilę w milczeniu mocował się ze swoim pijanym ciałem. Otworzył aktówkę, zaszeleścił papierami. Od lat pisywał wiersze, miał niezwykłą łatwość rymowania, i od lat już bez skutku wysyłał utwory do gazet i tygodników, a też zajmował się układaniem rozmaitych haseł i sloganów na użytek Miasteczka. Wyciągnął z aktówki brulion, uklonił się niezgrabnie Prezesowi i powiedział: – Mam haselko dla pańskiej placówki, w sam raz...

– Jakie? – zainteresował się Prezes.

Referent przeczytał załamującym się z przejęcia głosem:

– „Już dziś, a nie w ostatniej chwili, pomyślcie o trumnie, moi mili!”

Stolarze roześmiali się. Prezesowi również spodobało się to rymowane powiedzenie.

Ale po namyśle pokręcił przecząco głową.

– Reklama śmierci – rzekł. – Nie przejdzie. Życie tego nie lubi.

I niecierpliwym gestem opędził się od referenta. W tym czasie udało się wreszcie Walczakowi z pomocą szofera odłożyć trzy trumny w pobliskie krzaki. Referent stał jeszcze przez chwilę, żalony i smutny jak zbity pies. I gniesć go poczęło poczucie beznadziei jego urzędniczego życia. Nagle zaszlochał i pobiegł przed siebie. Wpadając w krzaki, potknął się o trumny tak ukryte i przewrócił się. Zaraz zapadł w ciężki sen. Załadunek trwał dalej...

...Długowłosi młodzi włóczyli się po wałach obronnych dawnego grodziszczka. Wypatrywali tam zakochanych, oświetlali latarkami i żartowali plugawie.

Gdy tak stali nad młodym bezradnym chłopcem i zapłakaną dziewczyną, Tolunio odepchnął ich gwałtownie.

Był groźny i wzburzony. Posłusznie zgasili latarki.

– Tak dłużej być nie może – powiedział zapalczywie. – Tylko same głupoty i nic więcej! – Zaciskał pięści, brakło mu słów.

Przez chwilę panowała cisza.

– Te, mańdralka! – zakpili długowłosi, ocknąwszy się z zaskoczenia. – No to wymyśl coś lepszego!

Tolunio zgasł równie nagle, jak wybuchł. Był nawet zawstydzony.

Ale oni nie mieli mu tego za złe, ponieważ każdy z nich myślał podobnie i każdego to samo dręczyło.

Rozdział IV

Korzystali starcy z poobiedniego spaceru, a jesienne liście wyścielały ich drogę bordowo-żółtym szeleszczącym dywanem. Podpierali się laskami i drobnutkim, mrówczym krokiem krążyli po alejkach, zbierając liście albo wyłuskując błyszczące atlasowe kasztany z kolczastej skorupy. Nabożne staruszki klęczały stadkiem pod gipsową figurką Matki Boskiej i bezgłośnie poruszały wargami. Potrącając spacerowiczów przebiegła zadyszana para z Miasteczka, Pelagia i Hallerczyk. Pelagia miała ze sobą zawiniątko z okruciami ciast, wyżebrane w prywatnej cukierni pana Kopcia. Zatrzymała się w gołej teraz, tylko oplecionej bezlistnymi pnączami altanie i tam pożarła swoją słodką zdobycz, nieczuła na złośliwe uwagi spod świętej figurki. Jej towarzysz, zwany Hallerczykiem, zionął kwaśnym zapachem piwa, ale trzymał się nad wyraz prosto i tylko chichotał głupawo do siedzących na ławkach starców. Ale ci wygrzewający się na ławkach nie okazywali mu żadnego zainteresowania, pogrążeni w rozkoszy kąpieli słonecznej, błogo ogarniającej stare ciała. Z rzadka tylko ich osłabiona myśl coś odgrzebywała z sennego popiołu pamięci i mamrotali wtedy słabiutko. Hallerczyk też wkrótce stracił swą werwę po piwie i legł na najbliższej ławce. Tak siedzieli sobie starcy w słońcu, a ptaki śpiewały w łysiejących koronach drzew ostatkiem letniej radości. Oświęcimiak rozpiął koszulę, zawinął rękawy i wzrok padł mu przypadkiem na niebieski numer obozowy wytatuowany na cienkim, o pomarszczonej skórze przedramieniu. Naraz przez jego wygasłą, jałową pamięć prąd jakiś przeszedł i zamierzchłe obrazy, wpierw zamazanym konturem, potem coraz bardziej wyraziście, przesuwając się poczęły. Szarpnął Oświęcimiak za ramię najbliższego sąsiada. Tamten, wyrwany z błogostanu, ze świstem wciągać począł powietrze i toczyć okrągłym okiem wokół. Ale Oświęcimiak nic mu nie wyjaśnił. Ożywienie w nim zagasło, a równocześnie reumatyczny świder zaatakował kości. Więc był już w nim tylko fizyczny ból, pojękiwał i wiercił się na ławce. A później ból też ustąpił. Oświęcimiak wystawił twarz do słońca i poczuł, jak po nosie igra mu delikatna nić, łaskoczce i pieści.

– Babie lato – stęknął błogo

Inni starcy pochrapywali leciutko. Tylko starzec przezywany Obcym (jego to bowiem wyrwał z drzemki Oświęcimiak) wpatrywał się z uporem w niebiesko tatuowany numer na przedramieniu sąsiada. Też coś mu się przypomniało, gdyż podniósł się gwałtownie z ławki i podążył w ustronny zakątek parku, nisko pochylony pod brzemieniem samotności doświadczeń starego narodu, który tyle już wieków oczekuje na swego Mesjasza.

...Jesienne słońce wypełniało swym światłem również pewien narożny pokoik na parterze Pałacyku. Odbijało się na empirowej toalecie w szkłe mnóstwa flakonów, buteleczek i luster oraz odsłaniało portret młodej niewiasty o marzycielskich oczach, z koroną wysoko upiętych włosów. Był to pokój pani Kseni, nauczycielki muzyki z Kamieńca Podolskiego, staruszki elegancko jeszcze ubranej i kokieteryjnej, w młodości pięknej i pociągającej, jak wiernie zaświadczał to portret. Siedziała pani Ksenia na miękkiej kanapce z wylażącym woskiem w towarzystwie dwóch przyjaciółek i starca-wielbiciela, który niegdyś był listonoszem.

A snuła miłosną opowieść ze swego życia, pełną muzykowania, przypadkowo poznanych wielbicieli, mężczyzn przystojnych i bogatych, subtelnych zalotów i idyllicznych chwil słodkiego spełnienia oraz brutalnych zawodów, rozczarowań i smutków.

– I moje skrzyпки sprzedał. I bić zaczął... I co jeszcze nie wyprawiał – oburzenie krzywi wysuszoną niczym piąstka, pokrytą różem twarz pani Kseni, otoczona puchowymi lokami.

Głowa się zatrzęsała, loki zafalowały, a jej głos przypominał skrzek papugi. Staruszki-przyjaciółki westchnęły współczująco, siedziały na kanapce jak woskowe figury. Listonosz skorzystał z zamieszania i niepewnie spróbował pogłodzić dłoń pani Kseni. Dłoń wyschnięta,

ze sztucznymi pierścieniami, pełną plamek brązowych na wierzchu. Ona odpowiedziała mu miękkim, zachęcającym spojrzeniem. Zaraz też przejrzała się w pudernicze, zadowolona z wielbiciela. Ale w następnym, okrutnie trzeźwym widzeniu dostrzegła starczą upiorność swej twarzy i daremność wysiłków powrotu do przeszłości. Jeszcze spróbowała się nie poddawać, lecz w połowie próby nie wytrzymała. Ziewnęła rozdzierająco, powieki jej opadły, jedna, potem druga. Zadrzemała jak kura wraz ze starszankami-przyjaciółkami. Jeden tylko Listonosz nie uległ atmosferze tego miejsca, pełnego bibelotów, porcelanowych słowików i pastuszków przygrywających na fujarkach. Patrzył na spokojną w drzemce twarz pani Kseni i cieszył się swym uczuciem. Chwilę to jednak trwało. Stara dusza i stare ciało nie wytrzymały ciśnienia ponad stan. Głowa mu opadła i zabalgotał sennie. Mysi, zatęchły zapaszek owiewał to wszystko.

...A sąsiad przez ścianę, zwany Bradziagą, sen poobiedni miał piękny i jak bajka urzekający. Twarz mu się wygładziła i uśmiechał się nawet... Znajdował się na rozległym, dymiącym usypisku śmieci. Wirowały strzępy gazet i pierza. Po horyzont same tylko hałdy spiętrzonego śmiecia, a gdzieś tam jezory ognia pełzają po pagórkach. Wdrapywał się mozolnie na najwyższy grzbiet wysypiska. Dotarł do kotlinki skrytej między wzgórzami. Znajdował się tam szałas zbudowany ze skrzynek, materaców i papy. Przed szałasem kręgiem siedzieli zbieracze, segregując złom i makulaturę. Mimo ciepłego dnia poowijani byli w grube warstwy betonów. Garbuska o wesołej twarzy układała w dziecięcym wózku bez kół butelki. Bradziaga wzdychać zaczął we śnie głęboko i łapczywie. Wydawało mu się, że chłonie ciężkie, duszące powietrze śmietniska. Witał się ze zbieraczami. Cieszyli się z jego powrotu. Wesoła garbuska pocałowała go nawet w kosmaty policzek. I wtedy wiatr, który powiał nagle, przyniósł ze sobą szare kłęby dymu. A kiedy rozwiął się równie nagle, jak przyszedł, śmietniska już nie było. Mglista pustka jedynie... Zajęczał Bradziaga cieniutko i zatrzepotał rękoma jak złapany w sidła ptak.

Jeszcze z tym światem tęczowym snu w oczach rozglądał się wrogo po pokoju. Przecierał oczy i coraz bardziej oddalał się od słodkiej wizji śmieciarską wolność przypominającej. Do rzeczywistości zaś już zupełnej doprowadziła go wrzawa z parku. Śmiechy, podniesiony głos, znowu śmiechy. Sięgnął po kapciuch z tytoniem, zakurzył grubego jak palec skręta i oparł się ciężko o okienny parapet.

...Tam w parku Eks-Dziedzic swoje przygody z młodości opowiadał. Stał jak trybun i ożywiał przeszłość, uczył i konne jazdy, kuligi i polowania, szampańskie i fordanserki, wojny i szable. Głos miał donośny jak dzwon, aż kipiący tą przeszłością, gołe dżiąsła odsłaniał (proteza go uwierała, więc usunął ją zawczasu do kieszeni i tak, z ucisku wyswobodzony, perorował ze swadą). Starcy, którzy otaczali go kręgiem, chichotali z uciechy. Tylko Ten o Surowej Twarzy trzymał się na uboczu, wzgardliwy i nieprzychylny.

– Błahe, miałkie życie – wtrącił naraz z oburzeniem.

– A co – roześmiał się Eks-Dziedzic – może twoje było lepsze?!

Patrzyli na siebie czupurnie.

– Pewnie – odparł z przekonaniem Ten o Surowej Twarzy. – Miało ono sens, wielki i piękny. – Rozmarzył się swoją przeszłością i twarz mu dumnie pojaśniała.

Wtedy Dziedzic zdradzieckim ruchem potrząsnął klapą jego marynarki, pełną odznaczeń. Zabrzęczało to wszystko leciutko.

– Precz z paluchami! – spurpurowiał apoplektycznie Ten o Surowej Twarzy.

Zadygotał i odrywać zaczął rękę Dziedzica. Tamten śmiał się szyderczo.

– Też nie miało – wtrącił pojednawczo Archiwista. – Co tam miało...

– Ano – przytaknął Kolejarz. – Ja tam całe życie ciężko harowałem. I co z tego? Ta renta taka malutka...

A ten Chłop Co Go Wyrodne Dzieci na Łańcuchu Trzymały zaczął jęczeć przejmująco.

– Też nacierpiałem się niemało, Jezusie mój słodki!!!

Popatrzyli na niego ze współczuciem. Pamiętali doskonale, jak wyglądał, kiedy go tutaj przywieźli. Cuchnący i obrośnięty, ludzkiej mowy niezwyčajny, na dźwięk głosu jak przed biciem głowę osłaniał.

Wygasło wnet to ożywienie z powodu przeszłości. Posiadali na ławkach i zwiesili głowy. Świeciły łysiny, rzadka siwizna odsłaniała różową skórę.

A potem ocknęli się wszyscy.

– Ratunku! ratunku!! – dobiegł z głębi parku przeraźliwy krzyk.

...W ustronnym zakątku parku, za figurka świętą, miał swoje miejsce zdzieciniały Budowniczy. Wysoki i chudy, przykucnął nad wymiecionym do czysta, odartym z darni kawałkiem ziemi, przypominającym miniaturowy plac budowy. Tutaj powstawało ostatnie jego dzieło. Ganek, schody, szkielet dachu. Wymierzone wszystko i dokładne jak prawdziwe.

I przy tym zajęciu wypatrzył go Bradziaga, który opuściwszy Pałacyk snuł się ponuro parkowymi alejkami. Przystanął za krzakiem i patrzył. Zakipiała w nim złość nagle.

– Dam ja ci chałupę! – wychrypiał zapalczywie.

Zaszarżował jak rozjuszony odyniec. Lecz kiedy dobiegł, żeby rozwalić tę starczą dziecinadę, to przystanął o krok i zapatrzył się znów, a złość w nim wygasła. Tak stał i patrzył. A budowniczy wrzeszczał rozpaczliwie, zasłaniając swoją budowę. Bradziaga zamamrotał coś niezrozumiale i poczuł wstyd.

Więc zanim starcy, dźwignawszy się z ławek, dokuśtykali do ustronia za świętą figurką, już było po wszystkim. Bradziaga ukrył się w zaroślach, a Budowniczy dalej pracował, przejęty swym dziełem i obojętny na otoczenie. Postali chwilę starcy, pokiwali głowami i rozeszli się.

Pociemniało wkrótce i dźwięk dzwonka na wieczorny posiłek rozległ się trzykrotnie.

I kiedy spożywali już kolację, kłócąc się jak zwykle o dokładkę i zamieniając sobie talerze, odezwał się głos z megafonu:

– Tu radiowęzeł naszego domu!! Szanowne Koleżeństwo, prosimy o uwagę!! Podajemy tekst apelu do literatów!! „Koło Zamiłowań w Domu Starców zwraca się z gorącą prośbą do ZLP o objęcie nad nami patronatu. Zadaniem Koła jest mobilizacja starego człowieka za pomocą organizacji imprez i wycieczek. Huta Gigant ofiarowała już dla naszej społeczności bezpłatnie wczasy. dziękujemy jej za to gorąco. Jednak posiadamy jeszcze potrzeby duchowego rodzaju. I z tym zwracamy się do Was, kochani literaci. Nasze życie, smutne i beznadziejne, ożywić może również książka, czasem już niepotrzebna w czyjejs bibliotece, a w naszym księgozbiore, który chcemy obecnie stworzyć, jakże bardzo upragniona, witana z tym większą radością właśnie wtedy, kiedy życie jest szare i beznadziejne. Książki bowiem zawsze pozostaną najbardziej upragnionym towarzyszem naszych chwil. I chyba nie omylimy się twierdząc, że będzie dla literata niemałą przyjemnością, fakt, że jego książki staną się ostatnim uśmiechem w życiu starego człowieka, znękanego chorobami i bolesnymi przeżyciami. I książki te jako dary najbliższych trafią do kącików samotnych staruszków, przynosząc im niejedną godzinę zapomnienia o smutnej rzeczywistości.”

Czytał apel starzec, zwany Organizatorem, głosem wyćwiczonym i chwytającym za serce. Toteż kiedy skończył, wybuchła burzliwa wymiana poglądów. Jedni wzruszeni, szczególnie staruszki, które już trzymały chusteczki przy oczach, wyrażali pełną aprobatę. Inni sprzeciwiali się stanowczo. Najbardziej Archiwista, któremu od wieloletniego czytania akt wzrok się popsuł. Jeszcze inni, jak na przykład Chłop Trzymany na Łańcuchu, dopominali się głośnego czytania, będąc analfabetami. Zaś Starzec o Surowej Twarzy tylko judził przeciwników, zardroszcząc Organizatorowi energii i pomysłowości w wymyślaniu imprez. Tak więc w dyskusji galanteria mieszała się prostacką kłótnością, czerwienieli i sapali niektoży, bo bardzo wszystkich poruszył ów apel do literatów. Spór ten zlikwidował Bradziaga, który z hałasem odsunął talerz z mleczną zupą.

– Lepiej niech żarcie dają smaczniejsze – oświadczył.

Poparli go liczni pensjonariusze. Po chwili spór w kwestii jedzenia odsunął na dalszy plan apel do literatów. Rzucono nawet podejrzenie, że kucharki na racjach żywnościowych kombinują. Ale kiedy w kuchennych drzwiach pokazała się tęga, wąsata szefowa i ujawszy się pod boki tylko popatrzyła na obecnych, narzekania ustały, a starcy i staruszki strachliwie opuścili głowy.

– No, no... – zamruczała pieszczotliwie a gniewnie szefowa i na powrót zniknęła w kuchni pełnej kłębow pary.

...I zbliżył się ten powszedni dzień Pałacyku do nocy. Rozchodzili się już starcy do swoich pokoików. Szykowali posłania i modlili się, poziewając raz po raz. Jeszcze tylko w świetlicy siedziała przy okrągłym stoliku grupka miłośników wywoływania duchów, wpatrując się z napięciem w poruszający się lekko talerzyk wprawiony w ten ruch tajemną siłą. A seans prowadził starzec zwany Obcym, człowiek o zbyt wydatnym, haczykowanym nosie i aureoli kędzierzawych siwych włosów. Skupiony i uroczysty, wpatrywał się pilnie w metafizyczny walc talerzyka. Pani Ksenia aż oddech wstrzymała, gdyż taniec talerzyka miał dzisiaj przywołać jej miłość, imieniem dźwięcznym – Klaudiusz – obdarzoną, słodką i mocną dawno temu na Podolu w czarnoziemiu zbutwiałą. Wzdychać zaczęła widząc, jak talerzyk dla niej układa swe magiczne, z zaświatów litery.

Atmosfera osiągnęła swoje apogeum, wszystkie oczy wpatrzone w talerzyk i bicie serc przyspieszone. I już koniec seansu. Szurali starcy kapciami, szykując się do wyjścia.

I gonił ich jeszcze zły głos Organizatora:

– Ciemnota i magia! Już ja za tym zrobię porządek!

Nie zwracali na niego uwagi, znużeni i apatyczni znów. Ktoś tylko jeszcze wspomniał niemrawo inżyniera Ossowieckiego, słynnego ongiś jasnowidza. A Organizator też wnet stracił swą energię i dopytywać się począł ze starczą ciekawością o wyniki dzisiejszego seansu, prosząc Obcego o następny seans, jego sprawom poświęcony.

I zgasły ostatnie światła w świetlicy. Cisza i noc zapanowały w Pałacyku.

...Nie spał jeszcze Kierownik. Palił papierosa i patrzył w ciemność za oknem. Rozmyślał o swoich podopiecznych pograżonych w dożywaniu cichym, bez wydarzeń i pragnień już właściwie. Przymknąwszy oczy widział ich wszystkich, wyschniętych i pokurczonych, siwiutkich i łysych jak niemowlęta, o oczach zamglonych i bez iskry nawet, kuśtykających za dnia po parkowych alejkach. Widział więc Hallerczyka spijającego resztki piwa z kufli w „Marzanie”, Pelagię wpatrzoną żarłocznie w ciastka. Dziedzica śmiesznego w swym fantazyjnym, szlagońskim wspomnianiu, Listonosza, niezdarnego wielbiciela pani Kseni, smutnego starca zwanego Obcym, Oświęcimiaka, Starca o Surowej Twarzy, Bradziagę z niewygasłą żyłką włóczęgi, a nawet ciepło i życzliwie zobaczył Organizatora, lizusa i donosiciela przecież, i innych, jeszcze innych. I pozazdrościł im przez chwilę, albowiem oni, tak uważał, już wszystko mieli poza sobą.

Nastawił budzik i zdrzemnąć się postanowił. A głęboką nocą czekała go jeszcze ta sprawa z Prezesem. Na myśl o tym znów wrócił niepokój, a pohukiwanie puszczyka wydało mu się złowróżbne.

Rozdział V

W tę noc cichą, z rzadka tylko zakłóconą przez pohukiwania puszczyka, wielu starców nie mogło zasnąć. Wzdychali i przewracali się na posłaniach, słowa modlitwy mieszały się z przekleństwami, historia z baśnią.

– Orzeł z Pogonią! – wołał w dręczącym półśnie Hallerczyk i ogarniały go gęstą chmurą wspomnienia żołnierskich trudów, uśmiechał się i posepniał na przemian, stare kości trzeszczały sucho przy każdym gwałtowniejszym ruchu. W sukurs jego majakom przybywał Starzec o Surowej Twarzy, który coraz to rękę wyciągał. – Ja protestuję! – mamrotał, także we śnie przeżywając swoją minioną biografię działacza i społecznika. Inni też w swych małych pokoikach na piętrze i na parterze coś powtarzali, pojękiwali i pokrzykiwali. A księżyc bladym światłem wypełniał pokoje. I wielu w tę noc zrezygnowało z męczącego wyczekiwania na sen. Postępując dźwigali się z łózek, suwali bosymi stopami po podłodze, szukając bamboszy, i wymykali się na korytarz. Podążali do ubikacji. Od dawna już upodobali sobie to miejsce. Czuli się tam dobrze i spokojnie. Toteż i teraz, kiedy tylko znaleźli się w klozecie, raźniej uczyniło im się na duszy. Taki to był nocny klub starców. Żółte światło odrutowanej żarówki ukazywało białe kafelki na ścianach i rozlegało się monotonne kapanie wody z zepsutego rezerwuaru.

Stali starcy w pidżamach i nocnych koszulach, pokurczeni i smętni, milczeli przeważnie. Częstowali się tytoniem, popluwali na lśniące kafelki i z wysiłkiem oddawali mocz, nadzwyczaj skupieni i poważni przy tej czynności. Pogadywali niemrawo o pogodzie, zdrowiu i jeździe, a także chwilę rozważali, cóż tam może dziać się u kobiet. I kiwali głowami wpatrując się w kamienną posadzkę. Niżej, pod nimi, znajdowała się damska toaleta, w której starszki równie często zbierały się nocami.

Rozmowa wygasła powoli. Już tylko pojedyncze słowa, już tylko westchnienia przeciągłe. I tak stali, przestępując z nogi na nogę.

Posłyszeli narastający łoskot pociągu. Zwrócili się do okna, z trudem pokonując sztywność karków. Patrzyli w ciemność przetykaną światłami pociągu. I tak wsłuchali się w ten głos szerokiego światła, życia. A starca, który niegdyś był kolejarzem, dreszczem przeniknął sapliwy poświst lokomotywy. Przymknął oczy i widział siebie w kłębach pary, wychylającego się z okienka parowozu i pozdrawiającego małe, zagubione stacyjki na żelaznym szlaku. Ocknął się zaraz.

– Moskwa-Warszawa – stwierdził rzeczowo – międzynarodowy...

Ziewnął rozdzierająco. I nic go już nie wzruszało ani nic się nie przypominało. Zobojeźniał. Inni starcy też poziewywać zaczęli. Lecz to ziewanie wcale nie było dowodem nadchodzącego snu. Patrzyli w zaciek na ścianie. Wyglądał jak wielopalczasty stwór. Narzekać zaczęli na wilgoć i Kierownika. Ale też niemrawo. I martwa cisza nastąpiła ponownie. Podtrzymując opadające spodnie szykowali się już do wyjścia.

I wtedy, równocześnie ze wzmożonym, niecierpliwym pohukiwaniem puszczyka, dobiegło skrzypienie podłogi z korytarza. Rozeschnięte deski trzeszczały przenikliwie i ten hałas nieznośnie zakłócał ciszę nocy. Popatrzyli po sobie i nikły błysk ożywienia pojawił się w ich oczach. Nadśluchować zaczęli. Zaniepokoił się nawet, przypuszczając, że to Organizator w szpiegowaniu pogrążony skrada się korytarzem. Skrzypienie podłogi nie ustępowało, przybliżając się powoli. Wtedy Dziedzic ostrożnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi. I znieruchomiał z dłonią na klamce. Wyglądał jak wystraszony ptak z bindą usztywniającą wąsy, jego martwa dotąd twarz ożywiła się gwałtownie. Pozostali starcy również przysunęli się do drzwi. I zobaczyli w korytarzu ludzi dźwigających czarne, podłużne kształty. Ludzie ci posuwali się po-

woli, przygęci pod ciężarem, oświetlali sobie drogę latarkami i podążali w stronę schodów prowadzących na strych. W świetle latarek błyszczały metalowe okucia na czarnych, podłużnych kształtach. Przecierali starcy oczy, ale obraz nie ustępował. Patrzyli więc na ten pochód zjaw, a oswoiwszy wzrok z ciemnością rozpoznali złowrogie kształty trumien. Zbili się przy drzwiach w owczą gromadę. Oczy biegały im jak oszalałe i strach łomotał w piersiach niczym stukilowy młot. A skrzypienie posuwało się schodami coraz wyżej i wyżej. Unieśli głowy, gdyż wkrótce ten hałas był już nad nimi. Natarczywy i wyrazisty, wyolbrzymiony przez ciszę wokół. Niebawem zaś skrzypienie podłogi zaczęło się przesuwac z powrotem. Z góry na dół. Przywarli starcy do ścian. Przez szparę w drzwiach widzieli pochód zjaw podążających ze strychu. Tym razem już bez trumien. Tak powtarzało się to kilka razy. Trumienne skrzypienie na górę i powrót bez trumien. Potem usłyszeli zgrzyt otwieranych drzwi, kroki na żwirze przed Pałacykiem, śmiechy i szepty, a po chwili warkot odjeżdżającego samochodu. I cisza nastąpiła głucha. Niczym już nie zakłócana. Wtedy Dziedzic i Starzec o Surowej Twarzy podjęli decyzję. Postanowili udać się na strych. Odprowadzały ich pełne podziwu i strachu spojrzenia starców. Chwilę zatrzymali się w korytarzu, ale nic podejrzanego nie zobaczyli i nie usłyszeli. Przesuwając się przy ścianie skierowali się w stronę schodów. Wysoko unosili stopy, a skrzypienie drewnianych stopni paraliżowało im ruchy i oblewało zimnym potem. Wreszcie wsunęli się na strych. Paliło się tam światło. Stanęli na progu jak wryci i patrzyli, a choć w swym długim życiu wiele już widzieli, jednak to, co zobaczyli teraz, przeniknęło ich upiornym strachem i kroku już nawet postąpić nie mogli.

Kilkadziesiąt trumien pobłyskiwało politurą i sinawymi okuciami. Ustawione w równe, ponure rzędy. Starzec o Surowej Twarzy chwycił mimo woli Dziedzica za rękę, uścisk był kurczowy, palce spotniałe. Tamten odpowiedział tym samym. A kiedy opanowali się jako tako i przeliczyli trumny, to stwierdzili, że jest ich dokładnie tyle, ile starców przebywa w Pałacyku. Popatrzyli na siebie i żadnych już nie mieli wątpliwości.

– Będą wykańczać – powiedział Dziedzic.

– Będą wykańczać – powtórzył Starzec o Surowej Twarzy.

I powrócili na dół. Zadyszani wśliznęli się do ubikacji. I opowiedzieli w słowach prostych a przejmujących, co zobaczyli.

– Będą wykańczać – zakończył głuchym głosem Starzec o Surowej Twarzy.

Starcy zadygotali jak osiki i zbili się w ciasną gromadę, jakby w zespoleniu szukając oparcia, a strach w nich był szaleńczy.

W tej grozie naglej poczęły im się przypominać chwile z życia najstraszniejsze. Jak na taśmie przesuwały się obrazy, z wojen, powstań rozmaitych, sceny egzekucji, pożary, śmierć bliskich, okaleczone ciała przyjaciół i jęki katowanych. Nawet odległe już historyczne tragedie, przez przodków przekazywane we wspomnieniach, odżyły i stały się w tej chwili udziałem ich pamięci i doświadczenia.

Tak stali dygocąc i najbardziej o tej chwili wspomnień świadczyły oczy, nienaturalnie rozszerzone i intensywne w blasku.

Naraz rzucili się do drzwi, przepychając się bez pardonu i tratując.

Wtedy powstrzymał tę zaszczutą gromadę Starzec o Surowej Twarzy. Ręce władczo wyciągnął.

– Stać! – wykrzyknął głosem ostrym jak bicz.

Dziedzic również zagroził im drogę.

– Ja tam jak baran pod nóż nie pójdę – oświadczył i próbował się uśmiechnąć, ale tylko drganie konwulsyjne przebiegło mu po policzkach.

– Racja – poparł go Hallerczyk, ocknąwszy się ze zwierzęcego przerażenia. I wyprostował się dumnie, bo skoczyć jak prawdziwy żołnierz postanowił.

Tak narodziła się decyzja ucieczki, mobilizując wszystkich oraz pewien ład i równowagę w gromadę starców wprowadzając.

– Opuszczali ubikację w niejaki już porządku, nie przepychając się ani nie wyprzedzając. I biegiem dawno już w ich życiu nie praktykowanym opuścili się do swoich pokojów na piętrze i parterze. Budzić poczuli resztę.

Wyrwany gwałtownie ze snu ten przezywany Obcym, kiedy dowiedział się o przyczynie popłochu, zerwał się natychmiast i w jego oczach, dotąd przymglonych, już była zagłada. Biegać począł na oślep po pokoju targając siwe, lotne jak puch włosy, a z gardła przeciągły jęk mu się wydobywał. Dopiero Bradziaga mocnym szarpnięciem uciszył go jakoś i Obcy dał już sobą powodować jak manekin, bezradny i pusty w środku.

Szykowali się starcy do ucieczki. Niektórzy nawet nie ubierali się, tylko tak, jak stali, w pidżamach i nocnych koszulach, gotowi byli do drogi. Ale byli też tacy, którzy wciskali się do łóżek i zagrzebywali w pościel, szukając w swych legowiskach bezpieczeństwa i ratunku. Ci leżeli jak martwi, a z oczu zionął strach już nieodwołalnie skazanych. Wiedza o tym, co znajduje się na strychu, utrzymywała wszystkich w nieustannym napięciu. Niemoc potęgowała u jednych, a zwierzęcą ruchliwość u drugich. W tej bieganinie słyszeć się dały gorące słowa modlitewnych próśb i równie gorące przekleństwa i bluźnierstwa spod czarciego znaku.

Nad gotowymi do ucieczki przewodnictwo objęli Dziedzic i Starzec o Surowej Twarzy. Odrodzeni obaj w obliczu tej ostatniej sytuacji, opanowani i mocni, przebiegali od pokoju do pokoju, wprowadzając ład i porządek w rojowisku uciekinierów. Swym spokojem oraz głosem cichym a władczyim otuchy dodawali przerażonym i niesfornym do uległości zmuszani.

Szybko więc wynurzyli się starcy i staruszki ze swoich pokojów, już gotowi do drogi. Ruszyli długim korowodem, w dwójkową kolumnę formowani przez Hallerczyka. Był w tej gromadzie Listonosz podtrzymujący szarmancko pod ramię panią Ksenie, były jej przyjaciółki, wysuszone jak wiórki starowiny, dreptała z pękatym zawiniątkiem Pelagia, był też Budowniczy, który zupełnie zapomniał o swojej budowie, porzuconej w parkowym zakątku za świętą figurką, natarczywie do biegu ponaglał Organizator, drżący i histeryczny, inni, jeszcze inni... Zapobiegliwi z tobołkami, niektórzy w skąpym nocnym odzieniu tylko, kilku uzbrojonych w laski i kostury. Posuwali się bezszelestnie i zwinnie, sami sobie nawet sprawy nie zdając ze swojej nagle odzyskanej sprawności i siły. I już na dole, kiedy mijali ostatni pokój, nastąpiła rozdzierająca scena pożegnania. Na próg podczołgał się sparaliżowany starzec i wodził smutnymi oczyma za odchodzącymi. Zazdrość była w tym spojrzeniu i błogosławieństwo na drogę. Starali się nie patrzeć na niego, ale przyszła taka chwila i spojrzeli. A on odpowiedział wzrokiem pełnym rezygnacji i bólu. Stropili się uciekinierzy i zwolnili kroku. Ale parę sekund tylko to trwało, bo Dziedzic prowadzący pochód ponaglił niecierpliwym gestem. Przyspieszyli i już obojętnie minęli paralityka.

Drzwi wejściowe otworzono szeroko i powiało nocą, przestrzenią, wolnością.

Przebiegli jak wiatr przez park. A kiedy zatrzymywali się dla złapania oddechu, to odwracali się i patrzyli lękliwie na światła w okrągłych okienkach strychu. To patrzeć dodawało siły i biegli jeszcze zwawiej. Z murem otaczającym park też łatwo dali sobie radę. Wdrapywali się zwinnie, staruszki tak samo jak starcy, wymacując wypukłości i szczeliny w ceglach. A za murem czekał już na nich Teodor, czyli Dorek, żebrak i przyglupek tutejszy. Śmiał się radośnie, coś z wielkim ożywieniem bełkotał i gestykulował. Zrozumieli wreszcie, że on to był puszczykiem pohukującym natarczywie tej nocy. W taki sposób bowiem starał się ostrzec starców o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

I Dorek poprowadził pochód uciekinierów sobie znanymi ścieżkami i manowcami. Szli szybko, lecz nie czuli zmęczenia. Przeskakiwali wykroty i rozpadliny, gałęzie smagały im twarze, ale ból też był im obojętny, pragnęli jedynie jak najszybciej oddalić się od przekłętogo miejsca; tak zgodnie nazwali Pałacyk, mając nieustannie przed oczyma pudła trumienne zalegające strych. Tylko zwiększająca się odległość od Pałacyku ten strach koła i nadziei nieco przydawała.

Droga ucieczki prowadziła na przełaj przez olszynki i małe bagienka porośnięte karłowatą sosną, zwane Żółwią Błocią. Chlupotało groźnie bagnisko, lecz Dorek prowadził po twardym sekretnej ścieżynie. Sami uciekinierzy zresztą instynktownie wybierali bezpieczne przejścia, omijając zdradzieckie mchy, kryjące grząską toń.

Za bagniskami zaczynała się wioska Konik Nowy i starcy, przykuleni, przekradali się obok chałup opłotkami. W pobliżu zaszczekał pies, posłyszawszy podejrzane szmery. Za nim inne rozszczękały się zajadle. Miotły się w obejściach brzęcząc łańcuchami. Starcy znieruchomieli wystraszeni. Wtedy właśnie zaczął padać deszcz. Zrazu pojedyncze wielkie krople przyjemnie chodziły spocone ciała starców. Potem strugami zaczęło się lać z nieba i słyhać było ze wschodu głucho pomruki burzy, które zagłuszyły zupełnie ujadanie wioskowych psów.

Rozdział VI

W tę noc, pełną grozy dla starców, magazynier stolarskiej spółdzielni „Wieczność” pisał donos na Prezesa. Żona już spała i synowie-bliźniacy jak aniołki przytuleni słodko do siebie też, a on w białej nocnej koszuli z haftem usiadł przy stole, tarł bosą stopą włochatą łydkę i pisał. Całą tę sprawę z nierentowną specjalizacją i dzisiejsza sprzedaż nadwyżki opisał. Na podaniowym papierze w linie, zielonym atramentem. Pisał wysuwając język i mozolnie szukał odpowiednich słów. Litery kreślił kształtne i równiutkie, ozdabiając te przed kropką i po kropce malowniczymi zawijasami. A zakończył tak: „W trosce o społeczne dobro i zaniepokojony upadkiem wymienionego zakładu, czuje się w obowiązku powyższe fakty właściwym władzom przekazać”. I podpisał: „Obywatel”. Wysuszył bibułką atrament, położył papier na okiennym parapecie i ziewnął. Noc była ciepła i duszna, księżyc schował się za chmurami, gdzieś poszczekiwały psy. Wstał. W nocnej koszuli jego sylwetka z szerokimi biodrami i w pałąk wykrzywionymi nogami przypominała nieco pokracznego pająka. Tym bardziej jeszcze występowało to podobieństwo, kiedy szedł do łóżka długim i niezgrabnym krokiem, wysuwając do przodu głowę i mrużąc ślepawe oczy.

I spać się położył obok żony. I zasnął zaraz. Wkrótce spadł ulewny deszcz, bębnił po szybach i woda przez uchylone okno zaczęła się dostawać na parapet.

Więc kiedy rankiem wstał magazynier i papier z donosem wziął do ręki, to nie poznał swego pisma. Deszcz rozmył cały tekst, tak misternie napisany wieczorem, zielony atrament rozlał się po papierze wodnistymi plamami. Patrzył i patrzył magazynier, papier w palcach obracał. A ponieważ był przesądnego usposobienia, uznał tę sprawę z deszczem za zły omen i donosu już nie zrekonstruował. Podszedł do kuchni, pogrzewaczem odsunął fajerkę, zgniótł kartkę i wrzucił do ognia. Później zaś nawet myśleć o tym zaprzestał, bo gdy podążał do pracy, zauważył przed kościołem farnym sporą gromadę podnieconych i rozgadanych ludzi. Podsunął się do nich i słuchał. A to, co usłyszał, zelektryzowało go jak mocny prąd. I odtąd, jak innych tutaj, zaprzątnęła go bez reszty nagła ucieczka starców.

Historia ta rozniosła się od razu po Miasteczku, zataczając coraz szersze kręgi i rosnąc w ludzkiej fantazji do niebywałych rozmiarów. Nawet różdżkarze poszukiwali dzisiaj niemrawo wodnego źródła, a zatrzymując się raz po raz w chłodnych wnętrzach bram, zmęczeni po wczorajszym przepiciu, powtarzali w zadziwieniu:

– Dali dęba, popatrz, popatrz, co im się stało?

Długowłosi młodzi, zebrawszy się wśród nagrobkowych kamieni na kirkucie, też wcale nie żartowali ani na owocowe wino nie mieli ochoty, a ten, który był z gitarą, ani razu nie pomyślał bodaj o brzdąknięciu na instrumencie. W skupieniu słuchali tego, co mówił Tolunio.

– Widzicie! – gestykulował rozgorączkowany Tolunio. – Nawet oni!! Nawet oni!! – I patrzył na swych towarzyszy z wyrzutem.

Wtedy długowłosi młodzi wzburzyli się i powtarzać zaczęli w rosnącym podnieceniu:– Nawet oni!

Zaciskali pięści i wygrażali niewidzialnemu przeciwnikowi.

– Wstyd po prostu – mówił dalej Tolunio – tak całe życie przejdzie na niczym i ani się człowiek obejrzy, już będzie za późno... A starzy – zachłysłnął się aż – nie dali się... Poszli stąd... I w takim wieku...

Oczyrna wyobraźni widział ich wszystkich, pogiętych, zreumatyzowanych i bezradnych, jak nagle ożywiają się i wola jakaś nieugięta w nich wstępuje, prostując stare ciała, siłę i sprężystość im dając. I również zobaczył siebie jako nieustraszonego trybuna...

Niedługo jednak dawał się ponosić wyobraźni, skupił się zaraz i przywołał do siebie kolegów. Długowłosi młodzi zbili się w ciasny krąg i naradzali się szeptem. Najdłużej szeptał Tolunio. Pokiwali zgodnie głowami.

Swoją akcję zaczęli od Wytwórni Prefabrykatów. Ruszyli biegiem. Tam zresztą panowało już wzburzenie, bo więźniowie dowiedzieli się o ucieczce starców z Pałacyku. Toteż nie pracowali wcale tylko w małych grupkach pogrążeni byli w rozmowach, a strażnicy, roztargnieni dzisiaj i łagodni, tolerowali ten stan nieróbstwa i nie próbowali nawet ich rozpędzać. Ponadto większość strażników i majstrów wymknęła się do Miasteczka po najnowsze wiadomości.

- Chcieli ich wykończyć – szeptali więźniowie.
- Nocą do piwnicy i ba-bach!!
- A z piwnicy do parku...
- I w piach!
- Ale wyczuli i w ostatni czas dyla dali...

Tak poszeptywali i coraz bardziej wrogo spoglądać zaczęli na strażników, którzy w zmieszaniu opuszczali głowy i umykali ze spojrzzeniami.

Wzburzenie spotęgowało jeszcze pojawienie się kobieciny z wiklinowym koszykiem, która handlowała wódką. Kobiecina podeszła do siatki i podawać zaczęła więźniom butelki. Patrzyła na nich z litościwą czułością.

– Popijta se – mówiła – zagłada was i tak czeka, biedaczkowie... Popijta se... – i za darmo butelki z wódka rozdawała.

Strażnicy poruszyli się niemrawo i odpędzać ją poczęli. Wreszcie odeszła, ale kilka butelek zdążyła już podać. A to, co powiedziała o zagładzie, jeszcze większy niepokój posiało. I nawet wódkę pili więźniowie w milczeniu, patrząc przez siatkę na zwirową drogę i wsłuchując się w odgłosy z Miasteczka.

Wtedy to zbliżyli się do siatki otaczającej Wytwórnę długowłosi młodzi. Byli już zdecydowani i gotowi. Tolunio przedstawił więźniom sytuację. Mówił rzeczowo i przekonywująco.

- Należy uciekać, póki czas – zreasumował – a czasu jest niewiele...

Więźniowie dreptali niespokojnie, spoglądając tęsknie na świat wolności za siatką. A kiedy Tolunio skończył, dobiegł z rynku potężny jak huragan śpiew religijny. *Boże, coś Polskę...* To ludzie z Miasteczka zebrani w kościele farnym wyszli na rynek i tak żarliwie, gorąco śpiewali tę starą pieśń, a ksiądz proboszcz nie wiedział, co czynić, i tylko poruszał bezgłośnie ustami.

Ten śpiew zdopingował również długowłosych młodych. Tolunio, podniesiony przez kolegów i wsparty na ich ramionach, górował teraz nad wszystkimi. I przemawiał. Ognisty, namiętny trybun. Już nie Tolunio, ale ktoś inny. Wybuchały mu z ust potokiem jak lawa obrazy i formuły, dotąd stłoczone niejasno na dnie świadomości, obecnie klarowne i ostre. Długowłosi młodzi przerywali burzliwymi oklaskami.

To przemówienie Tolunia, a głos miał jak dzwon, czysty i przenikający, skupiło wszystkich więźniów przy siatce, a strażnicy, nie wiedząc, jak się zachować, na wszelki wypadek pochowali się w wartowni.

I długowłosi młodzi ponieśli na ramionach swego przywódcę. Skierowali się na rynek. Starsi z Miasteczka też się znaleźli w tym pochodzie, niezdecydowani i bierni, ale jacyś podnieceni i niecierpliwi, jasno jednak nie zdający sobie sprawy z przyczyn swego stanu.

Wtedy trzech najmłodszych więźniów podjęło decyzję. Chwilę rozglądali się jeszcze, strażników nie było widać, cywilni majstrowie odwrócili się plecami. Więc ci trzej młodzi zwinnie wspięli się na siatkę i skoczył na drugą stronę. Przyłączyli się do pochodu. Byli to chłopcy skazani za bójki uliczne, do końca wyroków brakowało im po dwa, trzy miesiące.

Inni więźniowie, poruszeni tym, krążyć zaczęli niespokojnie przy siatce, z coraz większą tęsknotą spoglądając na drugą stronę. Również śpiew religijny spod kościoła nie ustawał wcale, a wprost przeciwnie, nabierał jeszcze większej żarliwości, akcentów rozpaczliwych i

gniewnych. Coś w tym śpiewie chwyciło za serce więźniów jak ostatni sygnał alarmowy. Ale ten śpiew przecięty został nagle, jak brzytwą, przeraźliwym wyciem syren radiowozów. I rozległ się zaraz warkot samochodowych silników, coraz szybciej rosnący.

Tłum zastygł w pół kroku, wsłuchany w te groźne dźwięki. Ludzie poczuli się rozglądać płochliwie.

Pierwsi ocknęli się z zaskoczenia długowłosi młodzi i wkrótce powzięli decyzję właściwą w tej nowej sytuacji.

Tak rozpoczęła się interwencja władz wojewódzkich. Przybywały specjalne rezerwy strażackie. A interwencja ta nastąpiła z inicjatywy Prezesa, który jako członek Powiatowego Komitetu Ruchu Ludności zaproponował, ażeby wiadomość o ruchawce w Miasteczku przekazać do Województwa celem podjęcia odpowiednich kroków. Jego inicjatywę zaakceptowano większością głosów i określiwszy niepokój w Miasteczku jako skutek wrogiej propagandy zreagowano i wysłano odpowiedni telefonogram. I oto z wojewódzkiego miasta L. przybywały cztery wozy strażackie i cztery ciężarówki pełne strażackich rezerw, specjalnie przeszkolonych do trudnych akcji. Rośli, pleczyści strażacy w sino pobłyskujących hełmach siedzieli równymi rzędami w ciężarówkach, a od szarych mundurów kontrastowo odbijały parciane sikawki.

Samochodowa kolumna, rozproszywszy tłum, przystanęła na rynku przed farą i zaraz strażacy wyskoczywszy z wozów ruszyli gibką jak wąż tyralierą. Sikawek jeszcze nie używali.

Tłum, zbity w owczy kłęb, zaczął się cofać i pierzchać. Ludzie odruchowym gestem osłaniali ramionami głowy i cofali się pośpiesznie, niektórzy schronili się w kościele farnym, inni rozpraszali się po bramach i bocznych uliczkach.

Tymczasem dwa wozy, nie przestając zawodzić przeraźliwie, skierowały się w stronę Wytworni Prefabrykatów.

– Wycofujemy się!! – wysokim głosem zawołał Tolunio. I wskazał drogę ucieczki. Dygotał cały, ale nie ze strachu, tylko z emocji. Właściwie chęć oporu wzmagająca się w nim z sekundy na sekundę. I pojawienie się mundurów wołę oporu tylko w nim umocniło.

Na jego okrzyk długowłosi młodzi pochowali się w zaułkach i chaszczach skarpy nadrzecznej. Wraz z nimi również ci trzej zbiegli więźniowie.

Strażacy, którzy wyskoczyli z radiowozów, już żadnego z długowłosych młodych nie schwytały. Więc pojechali dalej. Zatrzymali się przed Wytwornią i otoczyli teren ciasnym kordonem. Zaraz wynurzyli się z wartowni ukryci tam strażnicy. Więźniowie, ponaglani przez nich, zabrali się do pracy, opuścili głowy i nawet ukradkowych spojrzeń zza siatki już nie rzucali. Wkrótce podniecenie wśród więźniów zupełnie wygasło, zresztą inne niepokoje zaprzętały im teraz głowy, strażnicy bowiem grozili im przeróżnymi represjami powołując się na regulamin. I więźniowie poczuli strach, strach przesłonił im wszystko.

Na tym odcinku więc sytuacja była opanowana. Ale choć wszędzie już po ulicach Miasteczka krążyły patrole, to jednak stan wrzenia nie ustępował. Ludzie przebiegali gromadami, rozpraszając się na widok strażaków, ale zaraz zbierając się w innym miejscu. A z kościoła niósł się ten smutny śpiew religijny, który atmosferę niepokoju utrzymywał.

I tak upływał czas, zgrzytały miarowe kroki patroli po żwirze, towarzyszył im zaraz pośpieszny tupot rozbiegającej się gawędzi, czasem jakiś historyczny głos przecinał napiętą ciszę.

Reasumując, sytuację w Miasteczku można było określić jako przydeптany ogień, który jednak z nagłą może wybuchnąć rozpasanym płomieniem.

W związku z powyższym od południa nieustannie zajęta była linia telefoniczna między Województwem a Miasteczkiem. Dzwonili z Zarządu, dzwonili z Magistratu, dzwonili też ze Związku Spółdzielczego, proponując dla Powiatu posiłki. Najbardziej przerażał gospodarzy Miasteczka nie wróżący nic dobrego głos Przewodniczącego, który nieustannie powtarzał w słuchawkę po drugiej stronie linii: – Informujcie na bieżąco i wszechstronnie, obywatele...

Truchleli na dźwięk tego głosu i zasychało im w gardłach. Prezes też od rana nie opuszczał Komitetu Ruchu Ludności, ponieważ obrady trwały nieustająco, aż do odwołania. Nastrój na obradach panował nieprzyjemny, mnóstwo kawy, kłęby tytoniowego dymu. Atmosfera niechęci wobec Prezesa zaostrzyła się, kiedy dowiedziano się o jego pomysły sprzedaży trumiennej nadwyżki do Pałacyku. Wilkiem popatrywano na niego i nie żałowano kąśliwych przytyków.

– Pomysł, trzeba przyznać, ciekawy, bardzo ciekawy – zauważył jadowicie Drugi.

– Trumny dla starców, wiadomo, starcy szybko kipną... – dodał ten od agit-prop.

I wszyscy popatrzyli na niego z jawną niechęcią.

Prezes nosił cierpliwie te złośliwości, zachowując kamienną twarz. A w pewnym momencie, sięgnawszy drżącą nieco ręką po filiżankę i popiwszy łąpczywie kawy, poprosił o głos. Mówił rzeczowo i ze spokojem. Wpierw patrzono na niego z poprzednią niechęcią i słuchano nieuważnie. Szybko jednak zainteresował i słuchać zaczęto w skupieniu.

– Koledzy... – skandował mocnym głosem Prezes i gesty nieczęste a dosadne czynił pięścią – nie należy poddawać się paraliżującej psychozie. Przyznaję, pochopny i niefortunny był mój pomysł – pięścią walnął się w pierś – ale przecież w zasadzie wynikał z ekonomicznego realizmu i nie godził w humanistyczne założenia naszego współżycia. Myślę więc, że nie należy tracić czasu na post factum analizę tego, co już się stało, ale organizować środki, które zapobiegą szerzeniu się anarchii i fermentu. A więc po pierwsze... – stuknęła kciukiem w stół. I kącikiem oka z ulgą spostrzegł, że Pierwszy Sekretarz słucha go uważnie, potakuje nawet. A jego osobisty wróg, komendant Straży Obywatelskiej, aż krzywi się z udreki, widząc, że Prezes znowu górą. I naraz rozterkotał się telefon. Pierwszy podskoczył do aparatu. Przyciskał coraz mocniej słuchawkę do ucha.

– Tak, tak... – powtarzał prężąc się, a twarz mu poszarzała.

Odłożył słuchawkę, głośno przełknął ślinę i oznajmił głuchym głosem:

– Z Województwa już wyjechała komisja. W dwie Wołgi i jedną Warszawę jadą...

Niepokój ogarnął zebranych.

– Kto na czele komisji? – powtarzać zaczęto. – Kto powinien witać?

Wnet też wysłano umyślnych na szosę, żeby wypatrywali samochodów i natychmiast powiadomili o ich pojawieniu się Komitet. A niepokój obradujących wzmógł się jeszcze z powodu śpiewu religijnego w farze, który już jakby wygasł i nagle wybuchł znów ze zdwojoną mocą. Okna z powodu duchoty były otwarte, fara blisko, i ten śpiew wypełnił sale konferencyjną, rozhulał się i dudnił, burząc porządek obrad i umysłem już przecież tak zmęczonym sprawność myślenia do reszty odbierając. Krzywić się poczęli towarzysze i wiercić. Aż Pierwszy z wściekłym łoskotem pozamykał wszystkie okna.

– No już po prostu nerwowo nie wytrzymuję... – uzalił się z ludzką, współczucie wzburzającą udreka. I bezradność, i znużenie przemożne wszystkich ogarnęło.

Wtedy Prezes uśmiechnął się chytrze, błysk w oku mu się pojawił i znowu poprosił o głos. Wyłożył delikatny a prosty sposób uspokojenia wzburzonej społeczności Miasteczka przy pomocy proboszcza z fary.

– Otóż tylko proboszcz – mówił – potrafi uspokoić autorytetem swym kapłańskim ludzkie umysły. W zamian za tę obywatelską misję należy ułatwić budowę kościoła w parafii Konik Nowy, o co tamtejsi wieśniacy starają się od lat. Wiadomo przecież, co to znaczyć będzie dla proboszcza i tak jego pozycję w kurii biskupiej wzmocni, co nie bez związku pozostaje z awansem dla niego po linii hierarchii duchownej. A wiecie, koledzy, jaki jest nasz proboszcz, ambitny chłop i wysoko mierzy. No nie?... Musi się na ten haczyk złapać... – zakończył Prezes – głupi nie jest, więc bezwarunkowo się złapie...

Członkowie Komitetu Ruchu Ludności popatrzyli na Prezesa z uznaniem. Wyglępił się paskudnie z tymi trumnami, ale tym razem koncepcja była świetna i rokująca powodzenie.

Aprobata Pierwszego przypieczętowała tę słuszną inicjatywę. Subtelnej misji na plebanii podjął się Prezes i dyrektor jedenastolatki. Podczas obrad często myślał o losach swego byłego ucznia Tolunia, którego w szkole lubił za inteligencję i niezależność poglądów.

Zaraz więc obaj wydelegowani opuścili budynek Komitetu i opłótkami udali się na plebanię. Podążali ukradkiem, unikając ludzi. A Prezesa rozzłościło nagle stado gołębi – śnieżna plama, krążąca na tle błękitnego nieba.

– Głupie ptaszzydła!! – zaklął półgłosem.

– Co mówicie? – zapytał dyrektor.

Prezes nie odpowiedział, tylko zaklął ponownie.

Było to stado krymków i wnerków Walczaka, stróża spółdzielczego i pijusa. Gołębie stado skojarzyło się więc Prezesowi z przebiegłą fioletową gębą właściciela. Wiedział też doskonale, zaufani mu donieśli, że kilka trumien z transportu do Pałacyku odłożył Walczak w krzaki dla prywatnej sprzedaży. I tak, patrząc na gołębią plamę na tle błękitnego nieba, uśmiechnął się naraz nieprzyjemnie. Znalazł już ofiarę niefortunnej transakcji z Pałacykiem, tą ofiarą stróż Walczak właśnie będzie.

– Szybciej, szybciej! – pogonił ociężałego dyrektora.

I pokłusowali żwawo. Przed nimi zamajaczyła plebania, przytulona do majestatycznej fary. A między ludźmi zgromadzonymi w farze dreptała niespokojnie babka Tolunia, dopytując się wszystkich o niego.

– Nie widział kto mojego wnuka?

Bardzo martwiła się o chłopaka, a dużo nasłuchiwała się o jego dzisiejszych wyczynach. Ale długowłosi zniknęli gdzieś z Miasteczka i nikt babci nie mógł nic wyjaśnić.

Rozdział VII

Brudni i wynędzniali dochodzili do Polany. Ustawiali już, ale Teodor, czyli Dorek, żebrak i przygłupek tutejszy, ponaglał niecierpliwie, gestami dając do zrozumienia, że tylko metry dzielą od celu. Wzdychając i jęcząc, zmęczeni wielogodzinnym marszem, rozsuwali ostatnie zarośla. Nie czuli smagających twarze gałęzi ani kolców raniących dłonie i szarpiących ubranie. Z trudów tego długiego marszu ciała mieli nieczułe na ból, a oczy mętne i prawie ślepe. Tak brnąc po omacku wychodzili na Polanę. Naraz uderzyły w nich pierwsze promienie złoto-światła i w czystym powietrzu na tle błękitnego nieba pokazywać się zaczęła słoneczna kula. Zaróżowił się horyzont poświatą intensywną, aby zaraz rozbłysnąć złotem i ogniem. Świat nagle poweselał, a szarość ustępować zaczęła czystym i pięknym kolorem. Zaczynał się wschód słońca.

Polana, która rozpostarła się przed wynurzającymi się z gąszczu uciekinierami, wyglądała jak uroczysko jakieś, bajkowe i urzekające. Był to rozległy kobierzec zieleni, poznaczonej fioletami wrzosów, starym złotem jesieni i srebrystością rosy. W oddali przeciwległa ściana lasu płonęła rudymi bukami jak słoma, bursztynowymi i koloru krwistego wina gdzieniegdzie. Słońce podniosło się wyżej, zaczęło oświetlać ukośnie czubki drzew, a one stały jak w pożarze.

I zatrzymali się starcy na skraju Polany oczarowani, zmęczenie zaczęło opuszczać ciała, poczuli się rześko i lekko. Twarze wygładziły się zaraz, uwalniając się od wyrazu strachu i zaszczucia. Patrzyli w milczeniu, oszołomieni ciszą i nierealną urodą tego uroczyska. Niedaleko ciemniało jezioro o granatowej toni, prześwitujące przez kępę olch. Kilka samotnych, majestatycznych drzew widniało na Polanie. A ciszę śródleśną delikatnie przerywały pierwsze śpiewy ptaków.

Postąpili bliżej i stopy ich nie czuły zimnej wilgoci jesiennej trawy, przyjmując jedynie miękką, aksamitną wilgotność, która usuwała zmęczenie i przywracała utrudzonym kończy-
nom sprężystość. I tak z rozkoszą stąpali po tym dywanie z rosą pobłyskującą jak warstewka srebra.

Dorek, żebrak i przygłupek tutejszy, ich przewodnik po leśnych ostępach, ucieszył się zachwytem starców, Polana bowiem od lat była jego miejscem sekretnym i tutaj spędzał długie godziny wsłuchany w śpiew ptaków, swobodny i rozluźniony. Bełkotał więc coś i poklepywał czule uciekinierów.

Nagle Bradziaga szarpnął panią Ksenię za ramię. Ona, wyrwana tak gwałtownie z kontemplacji, spojrzała na niego z oburzeniem.

– Cóż za poufałość... – zaczęła.

Ale Bradziaga nie stropił się wcale i tylko, wyciągając drugą rękę przed siebie, powtarzał z uniesieniem: – Tam!! Tam!! – spojrzeli w stronę sosnowego młodnika, który klinem wdierał się w Polanę od północy. Przed młodnikiem pasło się stado saren. Zwierzęta jeszcze nie zauważyły ludzi. Pełne gracji i szlachetnej smukłości, szczypały trawę.

Był to widok piękny i słodki. Patrzyli checiwie. Nawet oschła twarz starca działacza złagodniała nieco. A niektórzy rozchylali dziecinne usta. Pani Ksenia przytrzymała mocno brudną dłoń Bradziagi. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie zachwycającego. Jej twarz stała się nagle młoda i ładna, a upiorność rozmazanego różu niewidoczna prawie. I za chwilę Bradziaga zaczął posuwać się ostrożnie, przykulony i napięty, starając się nie spłoszyć zwierząt. Przypadł do ziemi. Za nim inni starcy. Czołgali się powoli. Rogacz, przewodnik stada, niósł kształtną głowę. Poruszał się niespokojnie i począł wietrzyć. Sarny przestały skubać trawę. A po chwili jak zjawy zniknęły w gęstwinie.

Starzy patrzyli na miejsce opuszczone przez leśne zwierzęta. Przymykali oczy, chcąc raz jeszcze przywołać ich obraz. I już rozłożywszy się na wypoczynek pod dębem-olbrzymem, długo rozprawiali o tym wydarzeniu i patrzyli z nadzieją w las, wyczekując nowych niespodzianek. Wystawili twarze do słońca, rozkosz ciepła i spokoju przenikała ozdrowiająco, rosa wyschła już i świergot ptaków stał się swawolny, natarczywy

Niedługo jednak trwała ta błoga bezczynność, gdyż Budowniczy wystąpił z propozycją postawienia szałasów.

– Z pogodą nigdy nic nie wiadomo... Zresztą ma się do zimy, więc dach i ciepły kąć musi być – zakończył tak i już patyczkiem począł kreślić coś na piachu, mnożąc i dzieląc w pamięci.

Przystali na to wszyscy i wkrótce zapanował na Polanie ożywiony ruch. Uciekinierzy, rozdzielwszy się na robocze drużyny, zabrali się ochoczo do pracy, a pieczę nad całością miał Budowniczy. Jego wyśmiewana dotąd dziecinna pasja tu, na Polanie, nabrała sensu i zasadniczej wagi.

Oczyszczali teren z zarośli i krecich kopczyków, ściągali z lasu gałęzie i wyrwane przez huragan mniejsze drzewa. Z tych drzew mieli żerdzie, które wkopywali w ziemię, szykując w ten sposób szkielet przyszłej siedziby. Patykami wypełniono boczne ściany, splatając je w gęstą kratownicę i pokrywając gałązkami, artretyczni starcy zaś (i ci z żylakami również) oddawali swe elastyczne bandaże do wiązania żerdzi u szczytów...

Budowniczy czujnym spojrzeniem ogarniał każdy odcinek pracy i nic nie uszło jego uwagi. Cierpliwie i łagodnie pouczał Starca o Surowej Twarzy, który ze wstydem szeptał: – Nigdy tego nie robiłem –. strofował zbyt prędkiego Oświęcimiaka, surowo też poganiał opieszających i sam pokazywał, jak pracować należy.

Słuchali go starcy i wnet dochodzić zaczęli do niejkiej wprawy, skutecznie poczynając sobie ze wznoszeniem szałasów. Nawet pogwizdywali sobie wesołą melodię, która umilała trud budowania. A ponieważ głód coraz natarczywiej dawał znać o sobie, w głąb lasu wyruszyła ekipa żywnościowa pod przewodnictwem Dziedzica. Gęsiego posuwali się wąską ścieżką wśród chaszczki, marzenia o potrawach rozmaitych snuli i mimo głodu nastrój panował wesoły. Prowadził Dorek, który po drodze zatrzymywał się tu i tam, pokazywał swoje ulubione drzewa, stare buki i klony, tęsknie popatrując w górę, brała go bowiem przemożna ochota wspinaczki na wierzchołek.

Zatrzymali się też przy kopcu pokrytym rojowiskiem czerwonych mrówek, rozbiegających się z wielką ruchliwością szlakami swoich pracowitych wędrówek. Zamyślił się nad życiem tej wielomilionowej społeczności, pogrążonej w nieustannym trudzie bez odpoczynku. Dopiero okrzyki bólu przerwały refleksyjną zadumę. To czerwone mrówki wspinały się już po stopach i łydkach starców, kęsając niemilosiernie. Wiele było z tego powodu śmiesznego podrygiwania przetrząsania ubrań. Uciekli stamtąd czym prędzej.

Po półgodzinnym marszu las przerzedził się znacznie i zobaczyli pola uprawne, a w dali słomiane strzechy chałup. Wypatrzyli rozległe kartoflisko i tam poprowadził ich Dziedzic, przykulonych i czujnych jak kłusownicy. Na klęczkach posuwali się bruzdami i wygrzebywać zaczęli ziemniaki.

– Almy... – określił gatunek Dziedzic. Zaraz też ożywił się po gospodarsku, rozcierał w palcach grudki ziemi, badał jej jakość i rodzaj. – stwierdził – kiepska raczej...

I już w głos wspominać zaczął dawny swój majątek zachwalając żyzne gleby i plon z nich obfity. A starcy pracownicy wyrwali suchą jak pieprz nać i wygrzebywali ziemniaki. Dziedzic zaraz też zawstydził się swego gadulstwa i przyłączył się do nich. Pracowali w milczeniu i szybko. Już odchodząc ze zdobyczą w kieszeniach i za pazuchami, chwilę jeszcze popatrzyli na zabudowania widoczne w oddali. Skrzypiały studzienne żurawie, dymy snuły się z kominów. Ogarnęła ich tęsknota za własną siedzibą. I pomyśleli o wznoszonych na Polanie szałasach.

Ruszyli w powrotną drogę. Weszli w leszczynowy zagajnik. Jesienna obfitość laskowych orzechów spowodowała wśród nich znaczne ożywienie. Ale zaraz pomyśleli o swoich gołych dziąsłach lub słabych, nieużytecznych zębach, więc ze zrywania orzechów zrezygnowali. I nie patrząc już na leszczyny posuwali się szybkim krokiem.

Nieoczekiwanie naprzeciw starców wysunęło się z zarośli stado krów, pędzone przez dwóch pastuszków. Pastuszkowie, zobaczywszy uciekinierów, stanęli jak skamieniali. I tak stali blisko siebie. Pierwsi rzucili się do ucieczki chłopcy. Tylko krowy pozostały obojętne, gapiąc się aksamitnymi oczyma i przeżuając miarowo pokarm.

Starcy zaśmiewali się z tego spotkania, ciągle mając przed oczyma przestrach pastuszków.

Dziedzic nagle spowaźniał, zbliżył się do krów i z uznaniem popatrzył na ich pełne wymiona. Były prowadzone do południowego udoju i obfitość mleka aż rozsadała różową skórę tych naturalnych zbiorników. Obudziło się w Dziedzicu dokuczliwe pragnienie i oblizwał wargi. Stał przy graniastej krowie, zręcznie uchylał się przed jej zamaszystym, oblepionym nawozem ogonem i patrzył. Hallerczyk pomyślał chwilę i ściągnął z głowy swą błękitną maciejówkę z lakierowanym daszkiem. Dziedzic, już mając czapkę w dłoni, przykucnął przy krowie. Doił ją szybko sprawnie, a ona porykiwała smętnie. Ugasił pragnienie. Za jego przykładem inni starcy skorzystali z maciejówki i z rozkoszą popijali biały, pianisty płyn. Przy tej okazji odbyła się lekcja dojenia, bo umiejętność to nieprosta i niektórzy, choć z całej siły wyciskali sutki, nie mogli wydobyć ani kropelki mleka.

Kiedy, zaspokoiwszy już pragnienie, zanurzali się w wysokopienny bór o gęstym podszyciu, gdzie pod liściastym sklepieniem panował wieczny mrok i chłód, nikt z nich nie zauważył wsiowej babiny, która zbierała chrust w zapaskę. Babina wyprostowała zbolące krzyże i otarła pot z czoła. Zobaczyła pochód zjaw znikający w gęstwinie. Ostatnia ze zjaw bełkotała, a gębę miała wymazaną bielą i para buchała jej z ust.

– Wszelki duch... – wymamrotała babina i zasłoniła oczy. Słyszała jeszcze trzask łamanych gałązek i gwar dziwny, niby ludzki, bardziej jednak zbliżony do czarciego.

Starcy wchodząc na Polanę zobaczyli dwa szałas-y już prawie gotowe. Jeden dla niewiast, a drugi dla mężczyzn. Patrzyli i była w nich satysfakcja z posiadania własnego dachu nad głową. Oni zaś przyjęci zostali z entuzjastyczną radością. Zbiegli się wszyscy, oglądali i obmacywali ziemniaki, wyobrażając sobie ich rychłe pieczenie w ogniu i spożywanie. Budowniczy wnet jednak rozpedził to zbiegowisko, wysyłając beczynnych po mech, liście i jedlinę do wymoszczenia legowisk w szałasach. Najzwawiej wykonywał jego polecenia Bradziaga, pragnąc się zrehabilitować za wczorajsze zdarzenie w parku. Więc obracał już drugi raz z ogromnym naręczem mchu i uśmiech Budowniczego sprawił mu niebywałą przyjemność. Tylko starzec zwany Obcym, nie zatrudniony przy budowie z powodu słabego zdrowia, obchodził wkoło szałas-y i zacierał dłonie; przypominała mu się wędrowna historia jego narodu, bo powtarzał ze wzruszeniem: –Z ziemi egipskiej, domu niewoli... – I po raz pierwszy od lat dopiero tutaj, na Polanie, poczuł się bezpieczny i zespolony więzią najgłębszą ze wszystkimi uciekinierami. Zaśmiał się więc pogodnie i pragnąc nie być tak zupełnie nieużytecznym, zabrał się do wyściełania mchem wnętrza szałasów. Staruszki również nie próżnowały. W jezioru prały brudną odzież starców i suszyły ją na trawie. Na drugim brzegu, oparty o pień olchy, odpoczywał Starzec o Surowej Twarzy. Patrzy w toń. W prześwietlonej słońcem wodzie płały małe rybki.

– I pomyśleć... Nigdy tak nie patrzyłem – powiedział z zadumą.

Nic niewarte i jałowe wydawało mu się dawne jego życie. I ta chwila teraz, kiedy po granatowej tafli wody sunie skokami błonoskrzydła ważka, była dla niego cenniejsza od wszystkiego. Patrzył i uśmiechał się łagodnie.

Podobnie myślał Dziedzic, zbierający właśnie chrust na ognisko. Ułożył w stosik suche gałązki, poprzesypywał liśćmi na podpałkę i tak przez chwilę znieruchomiał, sięgając pamię-

cią do układania opału. A ci, co podrzemywali po pracy, od razu śnili, sny mieli przepiękne, pokazywało im się lato na Polanie, soczysta zieleń, upalne słońce, dobrze, słodko, błogo...

Bo wszystkim z leśnej perspektywy życie w Pałacyku wydawało się odległe i nierealne. Tutaj przecież był ich odnaleziony Dom. Dowodem harmonijnego współżycia z przyrodą niech będzie fakt, że wkrótce znów na skraju Polany przy sosnowym młodniku pokazało się stado saren. Pasły się spokojnie, nie obawiając się wcale starców. Oni też leśnym zwierzętom zbytnią ciekawością nie przeszkadzali.

Oto duktem wybrała się na spacer pani Ksenia ze swoim wiernym adoratorem Listonoszem. Popatrzyli na sarny i zaraz oddalili się cicho, bezszelestnie. Cieszył ich las, zwierzęta, słońce, wszystko. Z rzadka spoglądali na siebie i zaraz wstydliwie opuszczali głowy. Pani Ksenia zrywała paprocie, zebrała spory bukiet. Przystanęli i wsłuchali się w stukot dziecięcia na pobliskim drzewie. Dojrzeli jego przekorny łepok z długim dziobem.

Listonosz zdobył się na odwagę i powiedział nienaturalnie zdławionym głosem: – Każdy jest kowalem swego losu... – Pani Ksenia przytaknęła z powagą. I sami nie wiedzieli, jak to się stało. Po prostu oboje objęli się i byli bardzo wzruszeni.

Wzdłuż duktu, przedzierając się przez maliniak, minęli ich Bradziaga wraz z Dorkiem, którzy jako zwiadowcy krążyli wokół obozu, dbając o bezpieczeństwo uciekinierów. Równocześnie odwrócili głowy, nie chcąc przeszkadzać zakochanym w ich intymnych sprawach. Tylko wsłuchali się w śpiewany głos pani Kseni. Mówiła o sile miłości, która daje nadzieję i przywraca do życia. A Listonosz pochrząkiwał z zapalem.

Też wzruszyli się jakoś i ocknąwszy się, zawstydzeni przyspieszyli kroku.

Na rozstajnych ścieżkach zwiadowcy rozstali się i już na powrót, czujni jak ogary, myskować zaczęli po gęstwinach. Bradziaga odkrył małą polankę, gdzie znajdował się cmentarzyk powstańców z 1863 roku. A między mogiłami zobaczył zającą skubiącego jakieś ziele. Spodobał mu się ten młody szarak wśród poczerniałych, obrosłych mchem krzyżów. Ożywiał martwość tego miejsca i smutne wspomnienie dawnych czasów rozpraszał. Uśmiechnął się czule Bradziaga i już miał odchodzić, kiedy naraz obudziła się w nim myśliwska chęć. Przykulił się więc i wsunąwszy się na cmentarzyk zamknął za sobą furtkę. I już inaczej zaczął patrzeć na szaraka. Przestał się uśmiechać i zęby mu pobłyskiwały jak kły. Zając też znieruchomiał, zastrzygł słuchami i dostrzegł niebezpieczeństwo. A Bradziaga, cały napięty drapieźnie, zbliżał się do niego. W dłoni ścisnął kozik z długim jak szpikulec ostrzem. Młody ten zając, przerażony i ogłupiały, dał się zagonić w kąt cmentarnego ogrodzenia. Stamtąd już nie miał gdzie uciekać i jak oszalały walił łbem o siatkę. Odbijał się i padał. Bradziaga dopadł go i rzucił się nań całym ciałem. Przygniótł do ziemi. Czuł pod sobą same tylko mięśnie i strach. Zając zacharczał straszliwie. Ten charkot przerodził się w ludzki jęk. Znieruchomiał, bezsilny, tylko serce biło jak oszalałe. Wtedy to wzruszyła Bradziagę rozpacz dzikiego zwierzęcia w pułapce bez nadziei. Odeszła go myśliwska żądza, puścił zwierzyńkę, a kozik ze wstydem schował do kieszeni. Zając jeszcze się nie ruszał, jeszcze nie wierzył. Bradziaga otworzył szeroko cmentarną furtkę i uczyniwszy zapraszający gest odsunął się nieco. Za chwilę szarak wielkim susem wyprysnął z pułapki. Popędził wzbijając za sobą obłoczek kurzu.

A Dorek, który posłyszał ten przeraźliwy jęk, wypadł z lasu, rozejrzał się i zobaczywszy obłok kurzu wzbijany przez zającą, doszedł już powoli do cmentarza. Objął Bradziagę i pocałował zamasyście w oba policzki, dziękując w ten sposób za wolność darowaną zwierzęciu. Bradziaga zawstydził się bardzo i niezgrabnie wysunął się z jego objęcia.

Zamyśleni i milczący skierowali się na Polanę. Zbliżał się już zmierzch i światło dnia stało się zamglone i nieprzejrzyste, a nad jeziorkiem wznosiły się przedwieczorne opary. Starcy siedzieli w krąg przy ognisku i spożywali posiłek, składający się z pieczonych ziemniaków i borówek, których obfitość odkryli na Polanie. Gwarzyli z ożywieniem, wspominając miniony dzień i snując zamiary na jutro. Ten o Surowej Twarzy stał nieco na uboczu i dumiał nad tą

spokojną idyllą, która panowała na Polanie. Powiódł spojrzeniem po kręgu starych kobiet i mężczyzn przy ognisku i powiedział niegłęboko, ale z przekonaniem:

–Cud! – I jego laicka, nigdy dotąd nie pogodzona z Bogiem dusza otworzyła się na przyjęcie Wszechmogącego. Półgłosem żarliwym dziękować począł za łaskawość wobec istnień jeszcze niedawno nad krawędzią stojących, a teraz cudownie życiu przywróconych. Tak patrzył po twarzach uciekinierów i czuł w nich to samo szczęście i wdzięczność dla Wszechmogącego. A warty na krańcach Polany wykrzykiwały przeciągle: – Czuj! Czuj! Czuwaj!

– Więc jeśli wszystkich zbiegów z Pałacyku przepelniała pogoda i szczęście, a nawał zajęć i wrażeń był taki, że zapomnieli o wszystkich animozjach między sobą, to tylko starzec zwany Organizatorem, mały, ruchliwy, o kosych przebiegłych oczach poczuł się nagle nieużyteczny jak popsuty mechanizm. A choć jeszcze próbował nie poddawać się i do południa nawet intrygował przeciw Dziedzicowi i Budowniczemu, przecież żadnych szans nie miał, bo nie znał się zupełnie na budowie szałasów ani na dojeniu krów, nie potrafił też rozniecić ognia ani kierunku wiatru i stron świata określić. Ponadto przerażała go przyroda i na leśną gęstwinię patrzył z głęboką obawą. I kiedy tylko popróbował swych śliskich intryg, wszyscy odsunęli się od niego, pozostał wzgardzony i zupełnie samotny. Ale zawrzał w nim głuchy gniew. Cały dzień siedział w zaroślach i rozmyślał ponuro. A beczynność i świeże powietrze lubieżność w nim spotęgowały. Znany już był z tego w Pałacyku, gdzie próbował obmacywać kucharki i nieraz obrywał od nich kopyścią. I siedząc w krzakach patrzył z rosnącym pożądaniem na panią Ksenię, która w jezioru prała starcom brudną odzież. Aż zaszedł ja z tyłu i objąć spróbował, sapiąc odrażająco. Pani Ksenia walnęła go kułakiem między oczy. Przewrócił się. – Precz, precz, lubieżny kocurze!! – krzyknęła z oburzeniem pani Ksenia.

Przybiegł Listonosz. Przybiegli inni starcy. Organizator, zwijając się ze strachu jak robak, odczołgał się w krzaki. Tam posiedział do zmroku i teraz, patrząc na ognisko i radosny krąg wokół niego, postanowił powrócić do Miasteczka i powiadomić władze o miejscu pobytu uciekinierów. Jak pomyślał, tak uczynił: uśmiechając się mściwie ruszył w drogę powrotną, pokonując obawę przed groźną ciemnością lasu.

Rozdział VIII

Pogoń posuwała się już tropem uciekinierów. A na tym tropie znajdowano nawet rozmaite drobiazgi. Były to zgubione w drodze bambosze nie od pary, jeden filcowy i drugi skórzany z dziurą w noskach, a także damska chusteczka z monogramem. Szybko też według listy pensjonariuszy Pałacyku ustalono nazwisko właścicielki zguby. Tą właśnie batystową chusteczką natarto psom pyski tak mocno, że powarkiwać zaczęły wrywając się niecierpliwie. Psy strażackie, specjalnie szkolone owczary alzackie, wzięły zapach w nozdrza i pobiegły ścieżyną po zboczu skarpy, kierując się w stronę bagiennych rozlewisk nadrzecznych. Tam na podmokłym gruncie odkryto odciski wielu stóp, potwierdzające obrany kierunek. tutaj w pewnym miejscu psy przystanąły, zaszczekały krótko i uniosły pyski w górę, poszukując dalszej drogi. A równocześnie, już na suchym gruncie, w krzakach głogu kłębiących się kolczastą gęstwiną, zwiadowcy znaleźli binde, tasiemkę służącą do stroszenia wąsów, zawieszoną na gałęzi. Ustalenie nazwiska właściciela nie sprawiło żadnej trudności. Był nim przecież znany z zawodniackiego wąsa pensjonariusz przezywany dziedzicem. Psy obwąchały tę nową zdobycz i ruszyły ostrym kłusem z powrotem na bagniska, ciągnąc strażaków-opiekunów trzymających je na smyczy. I wtedy pewna niesubordynacja się przytrafiła. Mianowicie, jeden z psich opiekunów, leniwy i ociężały, który z wzrastającą niechęcią dawał sobą powodować niecierpliwemu owczarowi alzackiemu z białą plamą na czole starał się go powstrzymać, za tę chyżość jął go smagać smyczą po grzbiecie. Pies rozszczękał się żałośnie, nie mógł bowiem pojąć przyczyny kary, tak pilny i pracowity przecież w swym tropicielskim obowiązku. Wydarzenie powyższe zauważył pewien strażak, już od dawna na pieńku mający z psimi opiekunami, wywyższającymi się nie wiedzieć czemu nad całą strażacką bracią, i z satysfakcją zameldował to kapitanowi kierującemu pogonią. Opiekun psa z białą plamką na czole został wpisany do karnego raportu. Po tym incydencie powodującym kilkuminutowy postój ruszono dalej. Skończyły się wreszcie bagniska, co wszyscy powitali z ulgą, i szlak ucieczki starców opłotkami wsi Konin Nowy prowadził do pobliskich lasów, zwartych masywem zalegających całą północną część powiatu, tworzących dwa nadleśnictwa i, jak informowała mapapolówka, łączących się z Puszcza Czarna, co stropiło pogoń, gdyż zdawano sobie sprawę z faktu, że jeśli starcy zdążą tam dotrzeć, poszukiwania przeciągną się niebywale. Ślady jednak i zachowanie psów strażackich potwierdzały niezbitcie ten północny kierunek. Tutaj, w pobliżu lasu, zarządzono postój i komendant strażacki w randze kapitana dowodzący pogonią sporządził notatkę służbową z przebiegu tego etapu akcji.

Brzmiała ona, jak następuje: „W dalszym ciągu pogoni psom dałem do nawęszenia ślady, a po podjęciu wiatru poprowadziły drogą przez bagna zwane Żółwia Błoc w kierunku północnym do rejonu wsi Konin Nowy, między zabudowania Ignacego i Antoniego Aksamitów oraz Jana Zwolennika. Ogólna długość trasy tropienia na terenie otwartym wyniosła około 5 km. Wynik osiągnięto pozytywny i po szczegółowej penetracji wybrano kilka śladów czytelnych, z których jeden, to znaczy but z lewej nogi, opisano, jak następuje: długość 28 cm, długość obcasa 10 cm, szerokość obcasa 6,5 cm. Oględzin dokonano w porze dziennej, temperatura otoczenia +10 st. C, pogoda słoneczna, wiatr zanikający, ziemia wilgotna po nocnych opadach, postawa ludności w okolicy dwuznaczna”.

Po sporządzeniu notatki kapitan zwiększył tempo marszu, nadrabiając stratę spowodowaną postojem. Podążali trójkową kolumną, czujki na czoło i boki pochodu wystawiając, a w miarę zbliżania się do lasu iść zaczęli gęsiego gdyż droga zwęziła się znacznie. Właściwie z ulgą powitali wszyscy wejście do lasu. A to z tego powodu, że posuwanie się po odkrytym terenie było niezwykle krępujące ze względu na gawiedź z okolicznych wiosek, zalegającą trasę ich

marszu licznymi grupkami. W dodatku wioskowa ta ludność komentowała akcję z zabobonnym przerażeniem, próbując nawet intonować pieśni religijne i wystawiając chorągwie parafii z wizerunkami świętych patronów. Ta przykra okoliczność denerwowała pogoń i rozpraszała uwagę, demobilizując czujność i sprawność strażaków.

Dlatego z taką ulgą powitali wszyscy wkroczenie w leśne ostępy.

Prowadził oddział doświadczony w podobnych akcjach kapitan (ujęcie dwóch groźnych podpalaczy zbiegłych z wojewódzkiego więzienia w L. to jego sukces właśnie), który polecenia dla zwiadowców przekazywał krótkofalówką typu japońskiego, „walkie-talkie”, ciesząc się jak dziecko tym niezawodnym przyrządem, niedawno zresztą przydzielonym na stan dla specjalnych oddziałów.

Z tej przyczyny często bez powodu mówił w mikrofon nadajnika: – No, jak tam, chłopaki? – i czekał na odpowiedź zwiadowców, rozkoszując się sprawnym funkcjonowaniem aparatury.

Obok kapitana szedł Kierownik Pałacyku z ciężko zwieszoną głową, przybladły i postarzały. Przybladł tak i postarzał się po wydarzeniach ostatniej nocy. Dramat starców dotknął go boleśnie i wciąż prześladował obraz dzisiejszego poranka, kiedy niemile zdziwiła go pustka w jadalni. Mimo wielokrotnego dzwonka zwołującego na posiłek nikt ze starców się nie pojawił. Wtedy tknięty niedobrym przeczuciem udał się na górę do pokojów pensjonariuszy. I ciągle w bolesnym przypomnieniu skrzyp otwieranych drzwi i widok porozrzucanej w nieładzie pościeli na łóżkach i tych nielicznych pozostałych starców, którzy, jęcząc przejmująco, głębiej wciskali się w posłania. Wtedy jeszcze tylko zdziwiony przypomniał im o posiłku i uczynił gest zapraszający do jadalni.

– Nie! Nie! – poczęły wykrzykiwać, wijąc się na łóżkach i rzucając na niego przerażone spojrzenia. A gdy pochylił się nad najbliższym łóżkiem i dotknął starca-paralityka, przeniknięty został jak prądem drżeniem jego ciała i trzepotaniem serca oszalałym.

– Ludzie, co wam się stało?! – zawołał już ze grozą.

I wtedy szept wydobył się z ust starców, szept jak modlitwa, nie do niego właściwie skierowany, ale gdzieś w przestrzeń, szept bez nadziei, głuchy i zamierający.

– Będą wykańczać...

A potem spojrzenia wszystkich w górę skierowane, pełne zwierzęcego lęku i zaraz od sufitu umykające.

– Będą wykańczać! – powtórzył Kierownik chwytając się oburącz za głowę.

I teraz też, potykając się o wykroty, chwycił się za głowę rozsadaną natłokiem ponurych myśli i jęczeć począł. Najbliższy ze strażaków wzdrygnął się. Popatrzył badawczo na Kierownika i puknął się w czoło.

– Szajba – poinformował szeptem kolegów.

Więc szedł Kierownik jak w lunatycznym transie wraz ze strażacką kolumną i wyobrażał sobie gromadę starców, znękaną i przerażoną, szukającą ratunku przed wymyśloną zagładą.

Tymczasem akcja poszukiwań skomplikowała się nieco, ponieważ psy biegły w prawo poszczekując niecierpliwie, zwiadowcy zaś z lewej strony kolumny przekazali meldunek za pomocą krótkofalówek „walkie-talkie”, że w zasięgu ich penetracji w głębi leszczynowych zarośli pokrywających parów dostrzegli głosy. Kolumna stanęła na rozdrożu i rozgorzał spór między opiekunami psów, którzy wierzyli niezachwianie w swoje zwierzęta, a zwiadowcami. Obserwacja zwiadowców (zawsze to ludzie przecież, świadomością, a nie instynktem, jak zwierzęta, obdarzeni) przeważała jednak i zrezygnowano z psiego tropu prowadzącego w prawa stronę boru. Więc kolumna uformowała się w tyralierę, otaczając półkolem parów porośniętych leszczynami.

Wkrótce kapitan dowodzący akcją i Kierownik Pałacyku wyraźnie dostrzegli podejrzany ruch w gęstwinie. Przesuwały się cienie i słychać było zduszone szepty. Następnie zobaczono

dość liczną grupę postaci, zatartych już nieco w zapadającym zmroku, wycofującą się chyłkiem z parowu do starego wysokopiennego boru.

Strażacy, zalegający dotąd w trawie, poderwali się do pościgu z okrzykiem: – Stój!

Ale tamci byli szybsi i dopadli starodrzewu. Może właśnie ta szybkość starców zastanowiła kapitana. Ale że z doświadczenia przecież doskonale wiedział, co strach może zrobić z człowiekiem, uznał ten bieg starców za taki szczególny przypadek. Podążano więc za uciekinierami w głąb starego lasu. Zapał spowodowany nieuchronnym zbliżaniem się do kulminacji ogarnął wszystkich. Kapitan już wyobrażał sobie zadowolenie zwierzchników, kiedy poinformuje ich o tak szybkim finale akcji, a również myśl o awansie nie była mu obca. Z tego powodu jako wzrokową halucynację potraktował oświadczenie jednego ze zwiadowców, sprytnego i inteligentnego skądinąd kaprała, że uciekinierzy mają całkiem młode twarze.

– Czyście zwariowali?! – ofuknął go kapitan.

Kaprał, wyśmiany publicznie, stropił się wyraźnie i już przy swoim nie obstawał.

Mimo to prześladowały go nadal młode twarze zbiegów i mąciły równowagę ducha. I machinalnie przecierając oczy, jakby we wzroku była przyczyna omyłki, wycofał się na tyły. A Kierownik przez chwilę zaczął przypuszczać, że to ucieczka tak odmłodziła uciekinierów. Chciał się jeszcze dowiedzieć czegoś więcej od zwiadowcy-kaprała, ale tamten nie chciał już nic mówić, podniecony, jak wszyscy, zbliżającą się kulminacją akcji. W tym myśliwskim podnieceniu poczuł się Kierownik wśród ludzi z kolumny samotny i obcy. Jego dotychczasowe postępowanie ze starcami wydało mu się nieludzkie i bezduszne. Z masochistyczną zapalczywością gromił siebie i poniżał, nie znajdując żadnego usprawiedliwienia. I nigdzie nie mogąc znaleźć sobie miejsca, snuł się na tyłach obławy, budząc wśród niektórych współczucie swą tragiczną twarzą.

Nagle rozszczękały się zaciekle psy i usłyszano bliskie szmery, a zaraz trzask łamanych gałęzi i tupot. Uciekinierzy byli tuż, tuż... Kapitan, przeniknięty zapałem, wymachiwał rękoma i powtarzał: – Mamy dziadów! Mamy dziadów!!

Tyraliera podrywała się już do biegu. Niestety, nastąpiła znów pewna nieprzewidziana okoliczność, wstrzymująca na pewien czas akcję. Oto nadeszły nowe, sprzeczne z poprzednimi, meldunki. Szperacze tyłowi doprowadzili przed oblicze dowódcy dwóch pastuszków, wypasających w okolicy krowy. Umorusani chłopcy, wystraszeni i niezbyt rozzębieni, zaczęli chaotycznie opowiadać swoje spostrzeżenia, raz po raz przewijało się słowo: „zmory!”.

– Zmory... – roześmiał się kapitan.

– A tak, panie – powtarzali pastuszkowie – pędzimy my krowy z Niedźwiedziego Wykrotu, a tu jak ony nie wyskoczą, będzie ich ze sto, tak znikąd wyskoczyły, ślepią wielką, zębami zgrzytają... – wzdrgnęli się chłopcy na to wspomnienie. Ale kapitan nie potraktował tego poważnie i parsknął wzgardliwym śmiechem.

– Ciemnota i zabobon – zreasumował zwracając się do podwładnych, przytakujących mu gorliwie – ot co, mamy już sputniki, telewizory – spojrzął z upodobaniem na „walkie-talkie” – a po lasach diabłów pełno...

– Prawda to, panie – wtrąciła doprowadzona razem z pastuszkami wiekowa babina. – Jak raz chrust zbierałam, a toto do boru wchodziło, siła jakaś nieczysta... pokrętniki takie... – przeżegnała się zamaszycie. – Z więzienia zbóje puciekały albo co, tylko patrzeć, jak rabować i palić zacząć...

Pewna komplikacja dla pościgu wynikająca z tych zeznań spowodowana była faktem, że zarówno pastuszkowie, jak i babina, choć rozpytywani byli osobno, a więc nie mieli możliwości uzgodnienia zeznań między sobą, powtarzali jednak zgodnie, że „wymienione zjawy” grasowały po lewej stronie od rozgrywającego się teraz teatru działań.

– Ki czort... – zamruczał kapitan i potarł nie ogolony policzek. Wyciągnął z mapnika polówkę, rozłożył na murawie i kucnąwszy wodził palcem po obszarze oznaczonym zielenią na mapie.

Po chwili wstał i rozglądał się zdezorientowany to na prawo, to na lewo.

Ekipa strażacka, korzystając z tego nieprzewidzianego postoju, legła pod drzwiami i jeła posilać się żywnościowymi racjami przydzielonymi na tę wyprawę. Apetyt na świeżym powietrzu dopisywał, wieczór był ciepły, więc zapanował nastrój jak na pikniku, nawet śmiechy zaczęły się rozlegać, a też kłótnia wybuchła, bo niektórzy drażnili psy, doprowadzając w ten sposób opiekunów do gniewu.

– Milczeć! – huknął kapitan i wnet poderwał odpoczywających podkomendnych. Zdecydował już i przystąpiono do dalszej akcji.

Informacje o „zjawach” po lewej stronie uznał kapitan za objaw zabobonnego zamęcenia świadomości ludu wiejskiego, nic wspólnego z prawdą obiektywną nie mający. Ruszono więc w raz już obranym kierunku, tym bardziej że, jak świadczyła penetracja czujek, tam właśnie podążali uciekinierzy.

Strażacy szerokim kołem otoczyli podejrzany las i wolno, krok za krokiem, zaczęli zacieśniać obręcz. Zapadła już noc, kiedy krąg stał się tak ciasny, że słyhać było wyraźnie pełne niepokoju głosy uciekinierów.

Obława rozpoczęła się wokół cmentarzyka powstańców z 1863 roku, gdyż tam schronili się osaczeni starcy. Na gwizdek kapitana zerwali się wszyscy zalegający w zaroślach, a myśliwskie podniecenie przeniknęło wszystkim. Tylko Kierownik Pałacyku usunął się na ubocze, oczekując z niepokojem wrzawy, tupotów i jęków. Uciekinierzy bowiem nie chcieli się poddać dobrowolnie i na zbliżających się strażaków posypał się grad kamieni i grud. Niektórzy odczuli to bardzo dotkliwie, pojękiwali i kleli.

A sam komendant, który poderwał oddział do ataku, dostał kamieniem w policzek i czuł, jak puchnie mu uderzone miejsce, zmniejszając widoczność w prawym oku. To nastawiło go nienawistnie do starców i rzucił się pierwszy. Już wdzierał się na cmentarz, już otwierał furtkę, którą przytrzymało od wewnątrz kilku obrońców. Jednak, popchnięty omyłkowo przez swoich ludzi, stracił równowagę i upadł jak długi, rozkrzyżowawszy ręce. Ten ośmieszający wypadek doprowadził go zgoła do furii, poderwał się szybko i z głową pochyloną do przodu stał dysząc ciężko i wygrażając pięścią. Jednak jego ludzie obsypani gradem kamieni cofnęli się zaraz i za nimi musiał się cofnąć także i on sam. Teraz w bezpiecznej odległości od cmentarza znów uformowano bojowy szyk i na gwizdek dowódcy ponowiono atak.

Wstrząśnięty zaciekłym oporem starców Kierownik wysunął się przed tyralierę, podbiegł do furty i zakrzyknął wielkim głosem: – Ludzie! Kochani! Nic wam się nie stanie! Poddajcie się!!

Z cmentarnego bastionu posypały się na niego obelgi: – Sprzedawczyk! Sługus!

Przygarbił się jeszcze bardziej, wstrząśnięty pogardą i nieprzejednaną wrogością obrońców.

– Ludzie... – zaczął znów.

Grad kamieni nie pozwolił mu dokończyć. Osłonił głowę i wycofał się.

Ponowna szarża z użyciem sikawek przełamała opór obrońców. Strażacy wdarli się na cmentarz i zawrzała walka między mogiłami. Szamotanina wręcz, pełna charkotu, jęków i przekleństw oraz słabnących okrzyków wyłapywanych ludzi zagrzewających się nawzajem do wytrwałości. Jednak na nic już nie zdał się ten zaciekły opór. Schwytano i obezwładniono wszystkich. I kiedy zaczęto oświetlać latarkami twarze, nastąpiła konsternacja. To nie byli wcale starcy, lecz długowłosi młodzi z Miasteczka.

Kapitan zatrzymał się między dwoma rzędami leżących jeńców i twarz miał osłupiałą, a usta szeroko rozchylone. Długowłosi młodzi, leżąc pokotem, skrępowani mocnymi więzami, nic nie stracili z animuszu i nadal zachowywali się hardo, szydząc z nieudolności pogoni. Najśmiej w kpinach poczynał sobie Tolunio, przywódca długowłosych. Wkrótce wyjaśniono, że długowłosi młodzi ruszyli w ślad za kolumną ratowniczą z Miasteczka, aby utrudnić

pościg za starcami i w nim przeszkodzić. I zmyliwszy pogoń, a następnie wprowadziwszy ją na swój trop, zyskali dla starców czas, zwiększyli szansę cennego oddalenia się.

Wykpiony w ten sposób komendant tupiąc nogami wykrzykiwał:

– Ja was nauczę, szczeniaki!!

A długowłosi młodzi czynili w jego kierunku nieprzyzwoite gesty i dalej naigrywali się ze ścigających. Należy nadmienić, że wśród schwytanych było też trzech więźniów, który zbiegli z Wytwórni Prefabrykatów podczas zamieszek w Miasteczku. Ci młodzi więźniowie zachowywali się hardo jak wszyscy i wcale się nie przejmowali swoim losem, mimo że groziły im poważne następstwa z powodu ucieczki. A Kierownik Pałacyku ucieszył się nie wiedzieć czemu, że to nie starcy zostali schwytani. Patrzył na długowłosych młodych i uśmiechał się do nich przyjaźnie. Kapitan kierujący akcją zaraz opuścił jeńców i rozłożywszy na mogile mapę-polówkę, którą dwaj sierżanci oświetlili latarkami, przystąpił do opracowania dalszego planu pogoni. Postanowił udać się w kierunku wytyczonym przez pastuszków i psy. Niebawem więc ruszono w ciemność, pozostawiając dla eskorty młodych, których kapitan polecił odstawić do Miasteczka, siedmioosobową grupę strażacką i dwa groźne psy, warczące nieustannie i odsłaniające białe zęby i czarne podniebienia.

Wymieniona eskorta prowadząc już chłopców powrotną drogą do miasteczka, natknęła się przy mogile dowódcy powojennego oddziału, majora – „Wilka” (który tutaj, osaczony przez wojsko i zdradzony przez swoich ludzi zastrzelił się), na leżącego przy płotku, otaczającym porośnięty chwastami kopczyk z brzozowym krzyżem, starca, zmarłego najwyżej przed godziną. Był to starzec z Pałacyku zwany Organizatorem, który chciał zostać konfidentem. Dążąc przez las do Miasteczka zawadził rękawem o gwóźdź wystający ze sztachety i zatrzymany w ten gwałtowny sposób nie wytrzymał emocji. Stare przerażone serce bić przestało i już przy mogile pozostał. Jednak smutny to był widok, bo też nie wiadano o powodach tym starcem w wędrownicy do Miasteczka kierujących. Więc i strażacy, i długowłosi młodzi zdjęli czapki i postali chwilę w żalobnym milczeniu nad trupem.

Zaraz rozległ się warkot i minęły ich dwa gaziki i karetka pogotowia mknąca leśnym duktem. Była to komisja z Województwa, która na wieść o wypadkach w Miasteczku przybyła tam i teraz doganiała strażacką pogoń. Wśród nich był Prezes, niepewny jeszcze, ale gadatliwy i sztucznie wesoły, choć ręce całe miał mokre od nerwowego potu. Gaziki zwolniły nieco. Strażacy zaszalutowali. Członkowie komisji wychylili się z terenowych wozów i popatrzyli z zainteresowaniem na młodzieńców; martwego starca nie zobaczyli, gdyż był zasłonięty przez ludzi z eskorty.

Gaziki, kołyszac się na wybojach, zniknęły w lesie i nie wiadomo czemu zajęczał nagle głos syreny ambulansu.

Rozdział IX

Wkrótce dwa gaziki i ambulans dopędziły strażacką kolumnę. Członkowie komisji piechotą już dołączyli do pościgu. Samochody nie mogły dalej jechać, gdyż droga zwężała się znacznie, zmieniając się w wąską ścieżynę, zarośniętą i podmokłą.

Kapitan stropił się bardzo, zobaczywszy tak znaczne osobistości z Województwa przed sobą. Stanął w postawie zasadniczej i złożył raport o przebiegu akcji.

– Czy aby trop na pewno właściwy? – dopytywali się ludzie z komisji.

– Bezwarunkowo – odparł stanowczo kapitan. – I psy, i ludzie są tego samego zdania co do kierunku...

Z tyłu, poza światłem reflektorów, stał Prezes i chciwie słuchał raportu kapitana. A choć miną nadrabiał, gryzł go nie ustępujący niepokój. Dlatego wołał z tyłu się trzymać i nie wlażyć nikomu w pole widzenia. Pamiętał też słowa najwyższego rangą członka komisji, wypowiedziane podczas jazdy gazikiem.

– Zbyt pochopnie działacie, bierzecie pod uwagę ekonomiczny aspekt zagadnienia, a pomijacie inne...

I oczy tamtego widział, surowe, bez życzliwości najmniejszej. Wiercił się więc teraz i ludzi unikał. A zobaczywszy po chwili Kierownika Pałacyku, podbiegł do niego, mówiąc z przyjazną naganą:

– Ale kłopot z twoimi starowinami, co? – I szturchnął go rubasznie.

Niemalym dla niego zaskoczeniem był silny cios w pierś, którym odepchnął go Kierownik.

– Coś ty... – zaczął, zdumiony siłą i gwałtownością swego przyjaciela-mięczaka.

I w tym samym momencie rozległo się donośne klaśnięcie. Prezes otrzymał siarczysty i hańbiący policzek od Kierownika.

Stał przez chwilę znieruchomiały, przyciskając dłoń do palącej części twarzy. A w świetle reflektorów, którymi oświetlono drogę, oczy Kierownika wyglądały groźnie i obco. Zaraz Prezes rozejrzał się płochliwie, czy aby ktoś nie zobaczył tej przykrej dla niego sceny. Na szczęście strażacy i członkowie komisji, zajęci omawianiem dalszej akcji, na nic nie zwrócili uwagi.

Tylko psy strażackie powarkiwac zaczęły z cicha. Ale psy są nieważne, więc Prezes odechnął z ulgą. Następnie pięści zacisnął i zaczął złowrogim szeptem:

– Ty gnojku, ty gnojku... – Postąpił krok do przodu.

Jednak ta twarz Kierownika, złowroga, nie znana mu dotąd, speszyła go niezmiernie i zatrzymał się niezdecydowany.

Wtedy to Kierownik też do przodu postąpił, a dłonie również w pięści zacisnął.

Więc odskakując śmiesznie zdążył Prezes wymamrotać:

– Jeszcze zobaczysz!! Już ja ci dam popalić!!

I pobiegł z powrotem w pobliżu komisji. Policzek piekł go jeszcze ale wkrótce o tym zapomniał. Zaczął bowiem brać udział w obradach, żeby pozycję swą wzmocnić. Z troską analizował przyczynę ucieczki starców, pomniejszając i bagatelizując umiejętnie sprzedaż trumien i nocny ich transport do Pałacyku, podkreślając natomiast niezdrową psychozę w Miasteczku, wywoływaną przez wrogie elementy.

– Czujność!! – bil się w pierś. – Przyznaję, ot co, czujność nasza szwankowała...

Również przyznali mu rację członkowie komisji, nawet sympatię pewną w ich oczach odkrył za szczerłość samokrytyczną swej wypowiedzi.

W związku z tym pewniej się poczuł i już śmiało brał udział w tym obradowaniu.

Jeden z przedstawicieli Województwa spróbował pogłodzić psa strażackiego, który podbiegł w pobliżu komisji, a wysiusiawszy się zaległ pod drzewem. Był to ten owczar z białą plamką, niesłusznie smyczą wysmagany podejrzliwie odtąd do ludzi nastawiony. Pies zjeżył się i zawarczał bulgotliwie, odsłaniając ostre kły. Przedstawiciel Województwa cofnął czym prędzej rękę i odsunął się od niesympatycznego zwierzęcia.

– Rzecz w tym, szanowni obywatele – powiedział po chwili, ochłonawszy – żeby sprawa nie dotarła do centrali...

Przytaknęli wszyscy, a Najważniejszy udał, że nie słyszy, albowiem autorytet jego takiej reakcji wymagał.

– Bezwarunkowo trzeba sprawie łeb ukreć – wtrącił któryś, podlizując się wyraźnie Najważniejszemu, bo na niego cały czas patrzył z oddaniem i pilnością, jakby z jego twarzy czytał jak z księgi otwartej.

Wszyscy przytaknęli ponownie.

– U nasady łeb ukreć – powiedział znowu ten, który miał incydent z psem.

Kapitan dowodzący akcją przestał się od pewnego czasu interesować tym dialogiem, skoncentrowawszy uwagę na jednym tylko członku komisji, swoim bezpośrednim zwierzchniku.

Myślał długą chwilę intensywnie, wreszcie wybałał pokonując nieśmiałość:

– Obywatelu dowódcu, pozwolę sobie zauważyć, czytałem, bardzo wartościową rzecz, bardzo... – zabrakło mu słów.

Zwierzchnik ożywił się i poklepał go po ramieniu.

Tym klepieniem pokrzepił kapitana, który dokończył już płynnie:

– I ośmielam się prosić o dedykację, w najbliższym czasie zamelduję się w komendzie...

Zwierzchnik poklepał go jeszcze życzliwiej. Prośba kapitana dotyczyła pracy zwierzchnika niedawno opublikowanej w postaci książkowej, a opowiadającej o walce z reakcyjnym podziemiem po wojnie.

Więc tak obaj uśmiechali się do siebie, nie interesując się już w ogóle rozmową między członkami komisji. Pierwszy ocknął się z tego nastroju kapitan i wydał swoim ludziom rozkaz posuwania się w głąb lasu i dokładnego przeczesywania gęstwiny.

Kolumna ruszyła ostrym krokiem, urwały się rozmowy i słychać było tylko trzask łamanych gałązek oraz suchy szelest jesiennych liści. Posuwali się w głębokiej ciemności, gdyż nie używali reflektorów, żeby nie spłoszyć starców.

Niebawem zwiadowcy, którzy w szpicie penetrowali lasu ciemność, wrócili nadzwyczaj ożywieni. Szeptem złożyli raport kapitanowi. A ten poinformował zaraz komisję głosem pełnym satysfakcji: – No, mamy nareszcie tych dziadów...

Wnet też wszyscy zobaczyli czerwony płomień przebijający się przez ciemność lasu i noc.

To starcy palili ognisko na Polanie.

Strażacka tyraliera zaczęła otaczać ten obszar. Psy skomlały niespokojnie, a ludzie w białych fartuchach, z Pogotowia Ratunkowego, przygotowywali nosze. A kiedy wkraczali już na Polanę, oszołomiła ich dziarska, radosna pieśń starców.

Bo starcy siedzieli w krąg przy ognisku, zapatrzeni błogo w płomień, wyciągali patykami z popiołu ziemniaki, obdzierali ze zwęglonej skóry i zjadali z wielkim smakiem. Tak na przemian jedli i śpiewali.

A ta pieśń była jakaś trudna do zrozumienia, gdyż słowa, wymawiane niewyraźnie, zbijają się w nieartykułowany ciąg i zacierały, ale na pewno wesoła i beztraska.

Śpiewali, obejmując się za ramiona i kołysząc, melodia wzbijała się wraz z płomieniem coraz wyżej i wyżej, pełna wdzięku i radości życia.

Pogoń, zwartym kręgiem otoczywszy ten rozśpiewany krąg przy ognisku, stanęła zdezorientowana i zdumiona. Stali strażacy i ludzie z komisji, patrzyli na pogodną i ogorzalą w

zmiennych poblaskach ognia twarze uciekinierów, wdzieli ich oczy radosne, kipiące energią i swobodą.

I uwierzyć w ten obraz długą chwilę nie mogli.

Psy strażackie też szczekać przestały, a zamerdały przyjaźnie ogonami, wyrwijając się z rąk swych opiekunów i łaszcząc się do uciekinierów.

Starzy zaś nie byli wcale zdziwieni otaczającą ich mundurową pogonią. Patrzyli obojętnie, bez wrogości i strachu, dalej śpiewali.

Kierownik Pałacyku rozepchnął strażaków i podbiegł do ogniska. Oczy miał błędne i twarz pełną udreki.

– Ludzie! – zawołał. – Ludzie! Dlaczego uciekliście?

Starcy popatrzyli na niego bez zdziwienia. Dalej śpiewali, tylko nieco ciszej.

– Ludzie! – powtórzył Kierownik, wyciągając błagalnie ręce.

Wtedy uśmiechnęli się do niego przyjaźnie. Zapraszać zaczęli do śpiewającego kręgu. On jak lunatyk wszedł między nich. Rozsunęli się i ujęli go pod rękę.

W tej właśnie chwili siedzący poza blaskiem płomienia Teodor, czyli Dorek, żebrak i przygłupek tutejszy, już od dłuższego czasu przypatrujący się ludziom z pogoni czujnie i z napięciem, skulił się i bardzo powoli począł odsuwać się od ognia. Dotarł do wysokiej trawy i pełzając w niej oddalał się coraz szybciej. Nikt nie zauważył jego ucieczki. Zaś piosenka przy ognisku dalej dźwięczała bez słów, refrenem powtarzało się wesołe i kpiarskie: – Tra-la-la.

Wraz ze starcami Kierownik udreńczony i skołowany, powtarzać począł: – Tra-la-la.

Ognisko już dogasało, ziemniaki zostały zjedzone, więc i piosenka też się wkrótce urwała. I kiedy zapanowała cisza, uczestnicy pogoni otrząsnęli się z tego dziwnego nastroju, który panował na Polanie, i wyprowadzać zaczęli starców. Oświetlali im drogę latarkami, ujmowali delikatnie za ręce i wskazywali nosze gotowe do przyjęcia niedołącznych chorych. Lecz starcy nie chcieli korzystać z żadnej pomocy, odpychali usłużne ramiona i szli sami, żwawo i lekko, gwarząc sobie beztrudnie. Prezes również nie pozostał bezczynny, zauważył dwie zasuszone i nikłe staruszki, więc ujął je pod rękę pomagając w marszu, choć one odpychały go z oburzeniem.

Na widok tej gorliwości Prezesa zakipiał wzburzeniem Kierownik, dotąd ciągle jak osłupiały. Zerwał się od ogniska, a obłęd jakiś nim targnął, bo wołać zaczął: – Szatan! Szatan! – I wzrok miał pełen błyskawic. Przez chwilę zapanowało zdumienie. Przystanęli starcy i strażacy. Ale ten okrzyk: – Szatan! Szatan!! – począł się oddalać i cichnąć.

Biegł Kierownik gdzieś przed siebie w ciemność. Wkrótce zniknął w leśnej gęstwinie.

Rychło o tym incydencie zapomniano, bo wielka przecież była satysfakcja z powodu szybkiego ujęcia uciekinierów. I wszyscy podążać zaczęli powrotną drogą. Pochód zamykała komisja. A niektórzy jej członkowie jeszcze raz na odchodne z niejakim podziwem patrzyli na okazałe szałasowe wzniesione przez starców. Wyglądały jak budowle forteczne na tle nocy, w blasku zamierającego ognia.

Za chwilę ogień zagasł zupełnie. Polana opustoszała i tylko słychać było oddalające się głosy i suchy szelest liści pod stopami.

W bezpiecznej odległości za wszystkimi posuwał się Dorek, czujny i ostrożny jak dzikie zwierzę. A gdzieś na przedzie biegł Kierownik, potykając się i bijąc twarzą o gałęzie, ślepy i nieczuły na ból, gnany rozpaczą i poczuciem upadku świata, który z takim wysiłkiem sobie stworzył.

Droga powrotna bardziej była uciążliwa dla eskortujących niż dla eskortowanych. Ci bowiem ciągle szli dziarsko, śmiejąc się i gwarząc. A dużo miejsca w rozmowach poświęcali rozpamiętywaniu życia na Polanie, budowie szałasów, zdobywaniu pożywienia, spacerom po lesie czy odpoczynkowi nad wodą w cieniu olch; tak wspominali wszystko i pamięć zachowali niezwykłą, obojętni równocześnie na obecność strażaków i psy specjalnie szkolone. Na-

tomiast eskortujący potykali się i zwalniali kroku, sapiąc i ocierając pot z twarzy, mocno już czując w kościach tę forsowną eskapadę.

Dwie godziny trwał intensywny marsz, a starcy ani razu nie zapragnęli odpoczynku i nie skorzystali z pomocy lekarza, który, zdumiony taką kondycją osób bardzo przecież podeszłego wieku, powtarzał tylko: – zadziwiające, zadziwiające.

Skończył się las i dotarli do wsi Konik Nowy. Tutaj komisja z Województwa postanowiła jednak zorganizować wygodne środki transportu dla starców. Zaspany sołtys, podtrzymując opadające gacie, chodził od chałupy do chałupy i słyhać było tupot końskich kopyt i brzęk uprzęży. Szykowano podwozy. Starcy zaś odpoczywali pod GS-em, chichocząc i gadając z nieustającym ożywieniem.

Więc stąd już wracali do Pałacyku podwodami. Karawana chłopskich furek, kolebiąc się i skrzypiąc na wybojach, posuwała się drogą wśród bagnistych łąk i olszyniaków, woźnice pokrzykiwali: – Wio, wio, wiśta – starcy, siedząc na wymoszczonych słomą furach, otuleni derkami, podrzemywali teraz i bezwładnie kołysały im się głowy.

I kiedy ta karawana dotarła do rzeźbiście oświetlonego Pałacyku, to rozległy się dźwięki strażackiej orkiestry, która marszem witała odnalezionych uciekinierów. A pozostali pensjonariusze, zgromadziwszy się przy oknach, patrzyli na powracających pełni pobłażliwości i satysfakcji z powodu niecelowości ich ucieczki. Czuli się przez to wywyższeni i znaczniejsi.

Lecz kiedy zobaczyli roześmiane twarze uciekinierów oraz ich pełne nie znanego tutaj, w Pałacyku, blasku i ożywienia, kiedy usłyszeli również ich głosy kipiące czymś nieznanym i fascynującym, przygaśli jakoś i stracili rezon.

Patrzyli coraz bardziej zadziwieni, a zazdrość i nieokreślony smutek zaczęły z nagłą ich uwierać. I widzieli, jak pani Ksenia, pełna wdzięku i lekkości, opuszczając furkę, z galanterią podtrzymywana przez Listonosza, weszła na schody przyciskając do piersi bukiet leśnych paproci, a patrzyła czule i marzycielsko, ale wcale nie na starców ani na Pałacyk, tylko jakby gdzieś dalej, daleko.

I słyszeli, jak wchodząc na schody powiedziała: Pięknie tam było.

Bradziaga skwapliwie pokiwał głową i dodał: – Jeszcze jak!

Inni uciekinierzy również mówili coś chaotycznie i gdzieś przed siebie pokazywali, patrząc w nocną dal. Więc do reszty już przygaśli i pokurczyli się Ci Którzy Pozostali, bo zazdrość i smutek były w nich nie do wytrzymania.

I jeszcze wiele było śmiechu, tupotu kroków, zamaszystych gestów, wspomnień z Polany, oszałamiających i nie do pojęcia dla Tych Którzy Pozostali.

Grała ciągle strażacka orkiestra, trąby, puzony, klarnety i flety.

Na uboczu tego widowiska stali ogłupieni i speszeni (też coś trudnego do określenia w tym speszeniu) członkowie komisji z Województwa i eskorta, a jeden z komisji, mężczyzna w średnim wieku, milczącego usposobienia, poczuł wstyd (ten wstyd – optymistyczny – w przyszłości może być ważny) i opuścił głowę. Z zapatrzenia wyrwał komisję strażak na motocyklu, który przyjechał z Miasteczka i poinformował o długowłosych młodych zatrzymanych w areszcie i oczekujących na decyzję w sprawie ich losu. Więc komisja udała się do Miasteczka, o los starców przecież już spokojna.

W powitalnym gwarze, pełnym muzyki i krzątania, nikt nie zauważył ani ich odejścia, ani odejścia Kierownika. Stał Kierownik od dawna już (pierwszy tutaj przybył) i patrzył na wszystko ślepymi oczyma. Nagle poruszył się gwałtownie, pożegnalnym spojrzeniem objął Pałacyk, park, starców i poszedł przed siebie. Oddalał się od tego miejsca coraz szybciej i już nie obejrzał się ani razu.

Jego zniknięcie dostrzegł tylko Dorek, ukryty w zaroślach i błogo wsłuchany w dźwięk muzyki. Zaniepokoił się i wkrótce susem jak płochliwy zajęć wyprysnął z parkowej bramy na zwirową drogę. Orkiestra przestała grać. Starcy rozchodzili się do swoich pokoików. Wygaszać zaczęła iluminacja Pałacyku.

Opustoszało to miejsce powitalne na gazonie i tylko warty strażackie stąpały miarowo po parkowych alejkach. Więc pustka już wszędzie i cisza, a na schodach siedział jeszcze Prezes. Był bardzo zmęczony i jakiś smutek albo kac dokuczał mu natarczywie. Siedział ze zwieszoną głową i przez chwilę pomyślał też o Kierowniku. Jeszcze niżej pochylił głowę i w skroniach zadudniły mu młoteczki. I przypomniał sobie o Jadzi, bufetowej z „Marzanny”. I zapragnął nagle męskiej satysfakcji i ukojenia. Poderwał się energicznie, przepędził precz czad z głowy i podążył do Miasteczka. W miarę zbliżania się dyszał z pośpiechu i obudzonej żądy, a w oczach miał duże, bujne ciało Jadzi.

Dotarł do „Marzanny” z nadzieją (bo wiedział, że ona w tę noc sporządza remanent) i nie omylił się. W oknach gospody paliły się jeszcze światła. Przylepił twarz do szyby i zapatrzył się chciwie. Jadzia stoi przy bufecie, pisze coś, tyłem odwrócona, wypięta niepokojąco i duża. Zapukał gwałtownie w okno. Ona odwróciła się wystraszona. Rozpoznawszy go, rozpromieniła się zaraz i wpuściła do wnętrza. Była to miłość pośpieszna i gorąca. Wzdychała Jadzia, starał się Prezes. A wychodząc z „Marzanny” już o bladym świetle, postanowił stanowczo i nieodwołalnie: To już ostatni raz!

W tej porze bladego świtu z miejscowej remizy wywożono młodych prowodyrów zamieszek w Miasteczku i utarczki na cmentarzu powstańców z 1863 roku. Wsiadali kolejno do ciężarówki z budą. Otaczały ich matki i długonogie dziewczyny w mini-spódniczkach, a z tyłu popychali się ich młodszy bracia. matki wtykały zatrzymanym zawiniątka z jedzeniem na drogę. Babka Tolunia zawodziła posepnie.

– Nie za dużo mu dadzą – pocieszył ja dzielnicowy Fronczak, który był miękkiego serca.

Babka splunęła mu pod nogi i powiedziała z nieprzejednaną wrogością:

– Wszyscyście dobre gagatki.

Tolunio wchodząc do wnętrza ciężarówki odwrócił się jeszcze i uśmiechnął dumnie.

– To wcale nie... – chciał dalej mówić, ale nie dokończył. Popchnięty, znikł w czeluści pojazdu. Strażacy siedząc okrakiem na klapie z tyłu samochodu narzekali na głos, że pomp i sikawek nie używali ni razu, albowiem pożaru żadnego wcale nie było.

A życie w Miasteczku znów potoczyło się spokojnym, równym nurtem, jak dawniej.

Jeszcze tego dnia różdkarze ruszyli na poszukiwanie źródła. Tym razem wodę znaleźli. Upili się z tego powodu, wraz z nimi referent melioracji.

Śpiewali we trzech w „Marzannie”: – „Cicha woda brzegi rwie...” – Syta po miłosnej nocy bufetowa Jadzia uśmiechała się do nich wyrozumiale.

Prezes wyszedł cało z tej opresji spowodowanej niefortunną sprzedażą trumien. Zrećnie się wytłumaczył, a na ofiarę przeznaczył stróża Walczaka. O nieudolność w transporcie go oskarżył, wytykając w dodatku opilstwo. Pisemko odnośne do Województwa wysłał. Winni są młodzi, winien jest stróż Walczak. Tymi ofiarami całkowicie uspokojono Województwo. I w związku z powyższym w spółdzielni stolarskiej „Wieczność” odbyła się masówka, gdzie jednomyślnie potępiono Walczaka. Stał stróż przed zebranymi, otepiały i pokorny. Prezes gromił go za niedbalstwo i brak świadomości.

Stróż gniótł w dłoniach czapkę-rogatywkę i przytakiwał: – Fakt... fakt...

W trakcie zebrania magazynier obiecał sobie solennie nie kopać więcej dołków pod Prezesem. Tak sobie wydedukował logicznie i patrzył wiernie a poddańczo w niego. Prezes w lot się zorientował, że zyskał człowieka, i uśmiechnął się łaskawie. Więc Walczaka usunięto z zajmowanego stanowiska.

Trumiennej specjalizacji zaprzestała zupełnie spółdzielnia „Wieczność”. Przerzuciła się na kozły do ćwiczeń gimnastycznych, zamówień sporo, dla szkół szczególnie. Tak zakończyła się historia niespodzianej ucieczki starców z Pałacyku i przez podjęcie właściwych środków zlikwidowano nabrzmiałą i trudną sytuację. Tylko Kierownik zniknął bez śladu. Nie pokazał się już w Miasteczku nigdy więcej i wszelki słuch o nim zaginął.

– Na umyśle zawsze był słaby – tak podsumował jego zniknięcie prezes, sugerując wiadomy koniec.

Ale to wszystko to jedynie wróżby z fusów jakby, niestosowne wyprzedzanie czasu teraźniejszego. Bo na razie był jeszcze świt. Starcy znów sen mieli ciężki i męczący. Pojękiwali i stękali, a ten zwany Obcym począł się rzucać na posłaniu i historią pełną pożarów i krwi ogarnięty wołał przerażająco.

Wszystkie twarze wklęsnięte i żółte, jak maski pośmiertne. A kiedy zbudzą się, to pomyślą zapewne, że cała Polana snem tylko była, albo zapomną o niej zupełnie.

Wieże fary majaczyły coraz wyraźniej i gdzieś już zapiał pierwszy kogut.

Ciężarówka z młodzieńcami wyjeżdżała akurat z rynku, uliczką Krynoliny (nazwa wymyślona przez referenta-poetę) skierowała się do ulicy Czerwonej Gwardii, która dalej przechodziła w szosę prowadzącą do wojewódzkiego miasta L.

Młodszy bracia długowłosych, ukryci po bramach i opłotkach, śledzili bacznie pojazd, ale tym razem nie patrzyli na strażackie tasaki z czerwonymi trzonkami i hełmy złocistego koloru, pięknie błyszczące we wschodzącym słońcu, ani na parciane węże zwinięte w grube pęta; patrzyli jakby gdzieś wyżej i dygotali z przejęcia, a w oczach ich było jakieś przedwczesne jak na ten wiek dziecięcy zamyślenie.

1972

Spis treści

Wesele raz jeszcze
Zdarzenie w miasteczku